

Egz. archiwalny IBL



HRABIA AUGUST.

NOTATKI I WRAŻENIA.

WYDAŁ

Aleksander Mańkowski.

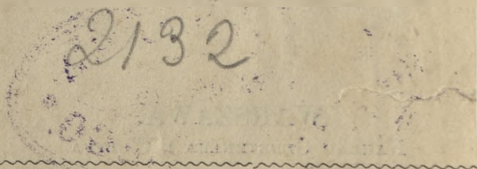


WARSZAWA.
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—
1890.



Дозволено Цензурою.
Варшава 12 Іюня 1890 года.



Друк J. Sikorskiego, pod zarządem A. Saładyckiego, Warecka, 14.

Od Wydawców.

Zaznaczamy, że niniejsze studyum, które z d. 27-ym marca r. b. zaczęło wychodzić w odcinku *Gazety polskiej*, opatrzone było następującem zastrzeżeniem Redakcyi: „Czyniąc zadość życzeniu Autora, nadmieniamy, że powieść niniejsza była nam komunikowana w kwietniu r. z.

Czerwiec r. 1890.





Warszawa, 15 kwietnia 188.

Każdy przystępujący do spisywania swoich wrażeń lub wspomnień czuje niejako obowiązek wyklamać się przed czytelnikiem i nawet przed samym sobą z pobudek, dla jakich bierze pióro do ręki.

I słusznie, bo, choć jeden zasłania się tem, że patrzył na rzeczy ciekawe, drugi tłómaczy się zażyłością i stosunkami z ludźmi wybitnymi, inny znów broni się od przewidywanych zarzutów przysięgą, że tylko dla swoich najbliższych układa kroniczkę, każdy niemal rozwodzi się nad swoją własną i kochaną osobą. Rzeczy ciekawe i ludzie wybitni o tyle tylko nabierają wagi, o ile z samym autorem weszli w zetknięcie. A im kto solennie zapewnia, że jego nieudolna bazgranina nigdy nie ukaże się w druku, tem mniej mu wierzyć potrzeba.

Co do mnie,—mam przekonanie, że najbar-

dziej nieudolna bazgranina, byleby tylko pisana była szczerze, zawsze jakąś wartość mieć będzie.

A teraz muszę i ja opowiedzieć, dlaczego „biorę pióro do ręki“.

Najprzód więc piszę dlatego, że pisać lubię. Pisanie jest zajęciem, które zamiast pobudzać do ruchu przymusza do spokojnego siedzenia w wygodnym fotelu, a ja spokój kocham.

Powtóre piszę dlatego, że mam pismo ładne, ręczne, i sprawia mi to pewnego rodzaju uciechę. Niezbyt twardem piórem, czarnym kolorem ręką zahaftowywać białe arkusze papieru.

Potrzenie—lubię zajmować się sobą, siebie studyować, notować rozmaite objawy i zmiany we własnej osobie. Choćbym ja tylko jeden miał czytać te ulotne notatki, powinno mi to przynieść korzyść. Jak każdy człowiek, obdarzony duszą i mózgiem, dążę do upatrzonogo celu, który się wyraźnie zarysowuje przedemną. Tym celem jest harmonia i piękno. Mając przeto zanotowane, że tu albo tam okazałem się brzydkim, zatem nieharmonijnym, na przyszłość w podobnym wypadku będę się starał być pięknym.

Poczwarte i przedewszystkiem piszę dlatego, że mam dużo, że mam bardzo dużo, okropnie dużo zbywającego czasu.

Sen, jedzenie, toaleta zapełniają mi połowę
mojego dnia.

Co robić z resztą?

17 kwietnia.

Zosia przyjeżdża do Warszawy.

25 kwietnia.

Zosia co roku piękniejsza i świeższa.

27 kwietnia.

Śliczna!

A jednak każdy mężczyzna żenić się nie
może. Do tego potrzeba specjalnych kwalifikacji i odrębnego powołania.

Ślub potrafi wziąć każdy, ale żyć potem
z kobietą, być jej mężem, umieć być naprze-
mian jej panem albo sługą, starać się jej da-
wać to, czego się niewidzi i w co się niewie-
rzy,—szczęście, na to potrzeba być bohaterem.

Gdybyż to jeszcze chodziło o jedną tylko
kobietę!.. Ale ich tu cały batalion.

Kobieta wywdzięcza się mężowi dziećmi,
a te znów pociągają za sobą niańki, guwer-
nantki, bony... wszystko to piszczy, kaprysi,
krzyczy, choruje...

Jakże tu wyżyć wpośród tego wszystkiego?

Szczęście—to spokój. Absolutnego spokoju
niema na świecie. Ale można do niego dążyć,
szukać go i tak sobie urządzić życie, aby, o ile

można, zbliżyć się do ideału. Rodzina ze wszystkim, co za nią się ciśnie w szeregu, jest wrogiem spokoju, wrogiem, tem straszniejszym, że z łaski wszelkich bon i nianiek — w rodzinie przemaga żywioł kobiecy.

A jednak nieprzyjacielem kobiet nie jestem. Przeciwnie tych, którzy się o kobietach odzywają z lekceważeniem, pogardą albo i nienawiścią, jeżeli tylko wierzę w ich szczerłość, uważam za ludzi chorych.

Kaleką jest każdy mężczyzna, który nie lubi kobiety.

Kobieta jest ślicznem i misternem cackiem, któremu miło jest od czasu do czasu kilka minut poświęcić.

Ale kaleką jest także mężczyzna, który się cały oddaje kobietom. Życie zanadto jest drogie i krótkie, aby je wyłącznie zapełniać fraszkami.

Niewpadając w skrajności, kroczyć tedy drogą środkową, a tu, jak i wszędzie, droga środkowa jest najlepsza.

W ten sposób, utrzymując się w równowadze, niedając się unosić ani w prawo, ani w lewo, przeżyłem dotychczas bez szwanku i nie ożeniłem się.

A blisko było już tego.

Prawda, że ja Zosię bardzo kochałem. Kochałem ją całym uczuciem młodego i silnego

serca. Kilka lat od tego czasu minęło, a do tej pory nie umiem bez pewnego wzruszenia wspominać tych dawnych dziejów.

Miałem lat dwadzieścia jeden, a ona — sze-snaście. O niej myślałem na jawie i we śnie i po całych dniach śpiewałem śliczną *chanson de Fortunio*:

Si vous croyez, que je vais dire

Qui j'ose aimer. . .

Upłynęło lat kilka, a już mi się ta piosnka nie wydaje tak ładną, i — nie umiem się kochać.

Szkoda!

Zosia dzisiaj piękniejsza, niż dawniej, a jednak, gdy z nią rozmawiam, — sprawia mi to tylko przyjemność, — nic więcej.

A dawniej tak unosił!

Dzisiaj mnie tylko mogą poruszyć wspomnienia czasów dawnych. Prawda, że wpośród nich obok Zosi widzę siebie, o lat kilka młodszego, a młodość ma serce świeże, duszę prostą i pełną wiary, która każde złudzenie umie brać za prawdę.

Ja wówczas śniłem, wierzyłem i nawet nie mogłem przypuścić, że na świecie istnieją jakieś ścieżki środkowe. Jak dziki kozioł alpejski, biegałem drogami skrajnymi gdzieś po nad urwiskami i nawet nie dostawałem zawrotu głowy.

Szczęściem cało z młodości wyszedłem i w żadnej przepaści nie zostawiłem kości.

Zosia mnie bardzo kochała. Zналиśmy się od lat kilku.

Było to za granicą—daleko. Zosia pod okiem rodziców uczyła się grać, śpiewać, malować... jak wszystkie nasze panienki... ja, jak wszyscy nasi panicze, byłem zapisany na uniwersytecie.

Od naszych paniczów tem się chyba różniłem, że, gdy oni zawsze tak pilnie uczęszczają na uniwersyteckie wykłady, aż rodzice ich rozplywają się z radości, ja zrzadka tylko chodziłem zobaczyć, czy też się nie przewrócił gmach uniwersytetu, chyba że mnie specjalnie wabiły jakieś wykłady, niewchodzące w program moich poważnych nauk.

Bo, jako przyszyły obywatel-hreczkosiej, zapisany byłem na wydziale prawnym. Taka to u nas już moda. Człowiek, mający zostać szewcem, — uczy się muzyki. Hreczkosiej — studjuje prawo.

Wszakże nie uległem modzie, ale miłości spokoju, która się we mnie objawiała od lat dziecinnych.

Rodziców już nie miałem. Matki nie pamiętam wcale, a ojciec mój umarł, gdy byłem jeszcze dzieckiem.

Zapracował się.

Objąwszy po rodzicach znaczny, ale zadłużony majątek, od młodości gorąco się wziął do pracy, a raz się do niej wciągnąwszy, gdy już miał prawo odpocząć, dalej bez wytchnienia pracował. Praca go zabijała, a jednocześnie bez niej żyć nie umiał. Ciężko już chory, jeszcze się ruszał i krzątał.

Umarł młodo, zostawiając mi wielką fortunę.

Prawdopodobnie takie wyteżenie wszystkich sił i zdolności w jednej generacji wywołało w następnej instynktową i niepohamowaną dążność do spokoju. Choć lubię gawędę z lekarzami, nigdyśmy jakoś nie poruszyli tej kwestyi. Prawda, że, kiedy nas doktor odwiedza, zazwyczaj — z nim mówimy o sobie a nie — o rodzicach.

Bądź, co bądź, czy to dlatego, że mój ojciec się ruszał, czy też dla innych przyczyn, to wiem z pewnością, iż rzeczą najdoskonalszą na świecie jest turecki *kef*.

Turcy znają się na rzeczach dobrych. Oni wypoczywać umieją.

Otóż — dla miłości spokoju zostałem studentem na wydziale prawnym.

Z prawników robią dyplomatów, ambasadorów, a do ambasadorów mówi się „Ekscencyo!”

Tak rozumowali ci, którzy czuwali nademną

i w ogrodzie mojej duszy starali się piękne kwiaty hodować, a wypleniać chwasty.

Nie rozumieli tego, że, zostawiając mi znaczny majątek, ojciec już był mi przygotował stanowisko, wyższe od stanowiska ambasadora albo ministra. Miałem prawo zostać człowiekiem, używającym tytułów „wolnego“, „swobodnego“, „niezawisłego“...

Ale nie! Im chciało się mówić do mnie: „Ekscelencyo“.

Dla uniknięcia niepotrzebnych i długich dyskusji wstąpiłem do przyrządu za pomocą którego wyrabiają patentowanych dyplomatów. Wszakże nie posunąłem swojej powołności do tego stopnia, aby na wykłady prawa uczęszczać. Za to słuchałem wykładów z historii, literatury, sztuki... a przede wszystkim robiłem dalekie wycieczki, szukałem drzew, gór, słońca, powietrza i pilnie uczęszczałem na opery i koncerty.

W teatrze widywałem przeróżne „ekscelencye“. Kłaniały się na wszystkie strony, bo kłaniać się musiały.

Ja, człowiek swobodny,—do niczego nie byłem zmuszony, a jeśli się Zosi kłaniałem, to jedynie dlatego, że taka była moja dobra wola.

Prawda, że Zosia była śliczna!

Była tak śliczna, że jej opisywać nie myślę. Zaznaczę tylko jasne jej włosy, nieco kędzie-

rzawe przy skroniach,—ładny owal twarzy, duże, inteligentne oczy siwego koloru,—cienki, zaokrąglony nosek... Usta, trochę mięsiste, nie przypominały ani koralu, ani wiśni, ani żadnej jagody. Miały swój własny różowy kolor, ale musiały być ładne, skoro, patrząc tylko na nie, można było zakochać się w całej osobie.

Wprawdzie ja nie ograniczałem się na ustach. Patrzałem i na Zosię, a za każdym razem patrzałem dłużej, mocniej i tęskniej.

Byłem wesół, lubiłem ze wszystkiego żartować. Zosia nie знаła prawie nikogo, miała lat szesnaście i zakochała się we mnie.

Żartowanie jest bezwarunkowo jedną z silniejszych broni, którą się zdobywa serce kobiety. Westchnienia, jęki albo pozawracane do góry oczy nudzą ją, jeżeli nie śmieszają. W żarcie jest pewna junakierya, szczególnie jeżeli się żartuje z rzeczy, które tuzinkowy ogół uważa za jakieś świętości, które uznał, które przywykł zgodnie chwalić albo wielbić... naprzykład dziwaczne stroje hrabiny Izy albo szeplenienie księżny Natalii...

Kto wobec kobiety targnie się na takie nawet świętości, ten może mieć powódzenie. Pokona ją do reszty, jeżeli z niej samej zacznie żartować.

Ale wracam do Zosi.

Kochaliśmy się strasznie, choć nigdyśmy so-

bie o tem słowa nie powiedzieli. I na cóż słowa były potrzebne, kiedy doskonale wiedzieliśmy o tem, że się kochamy, i — jak się kochamy; kiedy byliśmy pod tym względem spokojni i wierzyliśmy w siebie.

Ani sobie, ani nikomu nie zwierzyliśmy się z tego, co działo się w naszych sercach. Wszakże ludzie o tem wiedzieli i gadali.

Ludzie zawsze wiedzą to, czego się im nie mówi.

Na naszą miłość łaskawie patrzyło oko rodziców Zosi.

Prosta rzecz, iż, gdy dwoje osób składa się na to, aby mieć jedno tylko oko, tak zwane „okiem rodziców“, stan ich jest bliski ślepoty. I czworo oczu — to niezawiele dla rodziców.

Dzięki urodzeniu i majątkowi przedstawiałem doskonałą partycję dla Zosi. Nic więc dziwnego, że jej rodzice tak łaskawie na mnie patrzyli. Sądzę, że, gdyby nie wyjątkowa piękność córki, nawetby nie marzyli o tem, iż kiedyś nazwą mnie zięciem.

Ale, choć się zapamiętałem kochałem, ani razu nie pomyślałem o tem, żeby się z Zosią ożenić. Nie zastanawiałem się nad tem, czy była dla mnie stosowną partycją, bo zawsze miałem wstręt do gatunkowania ludzi na partycje i sądzę, że, skoro mężczyzna z kobietą szczerze pragną się pobrać, wtedy są zawsze dla siebie

najstosowniejszymi partjami, chociażby on był „ekscelencyą“, a ona—baletnicą. Nikomu nic do tego.

Nie pomyślałem o tem, żeby się z Zosią ożenić, dlatego, że w ogóle z nikim nie pragnąłem się żenić.

Kochałem i byłem kochany. Czytaliśmy sobie nasze uczucia w spojrzeniach, ruchach, uśmiechach, dźwięku mowy, i dobrze nam z tem było, i nie marzyliśmy o czem innem. Żyliśmy terażniejszością, niefrasując się o jutro.

„Jutro“ zatruwa i okwasza najprzyjemniejsze „dzisiaj“.

Z czasem jednak począłem się zastanawiać poważniej nad Zosią i nad sobą.

Nie! Ja nie mogłem na samym wstępie do życia zawiązywać go sobie na zawsze—i dobrowolnie wyzuwać się z jedyne go bogactwa, jakie nam ono daje,—ze swobody.

Kochałem Zosię, byłem zdolny kochać ją jeszcze długo, ale nie czułem w sobie dosyć sił, aby jej zastąpić i ojca, i matkę, i wujaszków, i ciocię, i wszystko, coby dla mnie rzuciła.

Słowem —małżeństwo nie było wynalezione dla mnie.

Jeżeli nawet wówczas przypuszczałem możliwość ożenienia się kiedyś, chciałem przed-

tem wyzyskać swoją wolność i pokosztować wszystkiego.

A byłem jeszcze ciekawy. To właściwość lat młodych.

Pewnego dnia w poufnej gawędzie ojciec Zosi uchylił nieco przedemną zasłonę, po za którą zwykł był ukrywać swoje najskrytsze marzenia, i zobaczyłem w całej nagości to, czego się tylko zaczynałem domyślać.

Liczono na mnie na pewno.

Należało coś na razie wykombinować, ale nie znalazłem jednego słowa. Zacząłem się głupio uśmiechać, a nawet się cicho zaśmiałem:

— Che! che! che!

Ojciec Zosi, pełen jeszcze złudzeń, dobrodusznie poklepał mnie po kolanie i także się śmiać zaczął, a jako starszy wobec młodzika i pewny swojej sprawy, śmiał się głośniej:

— Cha! cha! cha!

Poczem, naśmiawszy się tak do syta, mocno sobie uścisnęliśmy dłonie. Ojciec Zosi miał ochotę przyprowadzić żonę, aby się z nami śmiała, ale ja wolałem wyraźniejszą rozmowę odroczyć i pożegnałem go. Nie zatrzymywał mnie, nie chcąc zbyt ostro nacierać. Postawiwszy kategoryczne pytanie, dał mi do czasu spokój.

Co miałem robić?

Ponieważ o małżeństwie niemogło być mowy, należało wycofać się jaknajśpieszniej i z Zosią się rozstać.

Serce mi się na tę myśl krajało, ale rozumiałem, że inaczej postąpić nie mogłem. Dal-
sze bałamucenie jej byłoby okrucieństwem. Zanadto ją kochałem, aby dla własnej przy-
jemności gotować dla niej łzy i cierpienia.

Wolałem przecierpieć sam.

Z ojcem Zosi nie rozmówiłem się nigdy. Spotkałem go w parę dni po naszej rozmowie na balu, ale nie znalazłem sposobności pomó-
wienia z nim sam na sam. Prawda, że nie szu-
kałem tej sposobności.

Drugi raz go spotkałem trzy lata temu przy zielonym stoliku, i zaczęliśmy rozma-
wiać.

Ja powiedziałem—*pik*, a on na to—*pas*, po-
czem zamilkłem.

Potem znów się odezwał. Powiedział mi *karo*, a ja odrzekłem *bez atu*.

W ten sposób w ciągu wieczoru kilkana-
ście razy pomiędzy nami nastąpiła wymiana
myśli, poczem rozeszliśmy się jaknajzgodniej.
Prawda, żeśmy na wspólną wygrali z osiem-
naście rubli.

Prawda także, iż Zosia już od lat kilku by-
ła zameżna.

Od tej pory już go nie widziałem. Los go na tamten świat wysłał, a mnie zostawił w Warszawie.

Otóż na tym balu, o którym wspominałem, po raz pierwszy Zosię w świat wypuszczano.

W białej sukience, zarumieniona, nieśmiała, uśmiechnięta, wyglądała, jak ptaszek, który się z klatki wyrwał do pięknego ogrodu. Nie tańczyła, ale fruwała, nie mówiła, lecz szczebiotała,—co chwila, urywając rozmowę, jakby spłoszona dźwiękiem własnego głosu w tym tłumie...

Ładne dziewczątko na pierwszym swym balu—to cały poemat.

Dziś jeszcze ją widzę w tej białej sukience i napatrzeć się na nią nie mogę.

Boże! Tak to już dawno!

Ale na tym wieczorze, choć na nią patrzyłem, nie zbliżyłem się do niej, nie zapraszałem do tańca, nie rozmawiałem z nią... Serce mi pękało.

Widocznie drażniło ją moje zachowanie. Co chwila, na mnie szybko i niespokojnie rzucała okiem.

Grano walce, polki, kadryle, zagrano mazurę; tańczyłem trochę przez grzeczność, ale—nie z Zosią.

Zbliżyła się i wybrała mnie do figury.

— Co panu jest? — zapytała i niespokojnie

zajrzała mi w oczy. Ręką jej, którą lekko trzymałem, drżała. Chciało mi się płakać.

— Jutro odjeżdżam,—odrzekłem krótko.

Zosia zatrzymała się i popatrzała na mnie.

— A... a nauki?—spytała.

— Skończone.

— Jakto?.. tak.. w środku semestru?

Zosia wiedziała doskonale, co to jest semestr. Ba! znała nawet nazwiska moich profesorów, rektora, dziekana wydziału prawnego... Wszystko wiedziała.

— Pan już nie wrócisz?—rzekła po chwili.

— *Rond*—krzyknął młodzieniec, prowadzący tańce, a tak poważnie wyglądał, jakgdyby już był „ekscelencyą.“ Także studyował prawo.

Zrobiliśmy koło. Poczęto szarpać w różne strony; trzymaliśmy rozmaite ręce, potem je puszczaaliśmy; bieглиśmy do kominka, a potem do okna; podskakiwaliśmy w jednym miejscu, a sunęliśmy w drugim; następowaliśmy sobie na nogi, mówiliśmy: *pardon!* ojcowie i matki, siedzący pod ścianami, migali nam przed oczami, słowem trudno mi było dalej prowadzić rozpoczętą z Zosią rozmowę.

Pracowaliśmy sumiennie, automatycznie, zabawa szła świetnie, ale obojgu nam było bardzo jakoś ciężko.

Po skończonej figurze Zosia wybiegła z sa-

lonu. Długo nie powracała, a gdy ukazała się wreszcie, oczy jej wydały mi się lekko zaczerwienione.

Po kolacyi nastąpił kotylion.

Nie tańczyłem. Rozsądek kazał mi bal opuścić, ale serce burzyło się przeciw rozsądkowi. Ostatni raz Zosię widziałem. Chciałem się na nią napatrzeć i zostałem.

Zosia miała zaszczyt tańczyć w pierwszej parze z tym, który tańce prowadził; wszakże było widocznem, że bez uwagi słuchała tego, co jej opowiadał. Od czasu do czasu ręką dotykała czoła, od czasu do czasu w moją stronę rzucała trwożne spojrzenia.

Był to jej pierwszy bal. Szła na tę zabawę, wesola, z sercem, pełnem uczucia i wiary, szła bawić się, kosztować szczęścia...

Ja jej powiedziałem, że jadę. Po co? Dlaczego jej ten bal zatrąłem?

Byłem na siebie zły. Mogłem przecie odjechać, nikomu słowa niemówiąc, a Zosia byłaby do rana wesoło tańczyła.

Nie! Ja jej brutalnie powiedziałem, że jadę.

Czy chciałem jej dać tem do zrozumienia, że smutny jestem z tego odjazdu?.. Nie!

Czy chciałem zobaczyć, jakie na niej ten wyjazd zrobi wrażenie?.. Także nie! Wiedziałem, że ją zasmucę.

Więc chciałem poprostu widzieć jej łzy i jej smutek? Zapewne. W poczciwym nawet człowieku tkwi jakaś piekielna ciekawość do lez osoby kochanej i kochającej.

A teraz się na siebie gniewałem.

Zosia podeszła do mnie, trzymając w rękę dekorację, przedstawiającą jaskółkę w pełnym locie, i drżącymi palcami przypięła mi ją do fraka, przyczem uśmiechała się smutnie.

— Umyślnie dla pana wybrałam,—rzekła nieśmiało, zajrzawszy mi w oczy.—Jaskółka to godło podróżnych.

— Prawda!—odpowiedziałem. — One także odlatywać muszą.

— Ale wracają,—szepnęła Zosia i lekko się zarumieniła.

Biedne, biedne stworzenie! Uciekałem od niej, a ona słabemi siłami próbowała mnie zatrzymać... i może się łudziła nadzieją, że moją wolę przełamie.

Przetańczywszy jedno koło, niepatrząc na nią, ukłoniłem się i śpiesznie powróciłem do swego kąta, ale, choć nie patrzałem, czułem całą siłę jej wzroku, ciężącego na mnie. Czułem, jak swoim spojrzeniem silila się podnieść moje powieki, umyślnie spuszczone.

Ale byłem silniejszy od tego wątlęgo dziewczęcia.

Młody prawnik-dyplomata, który prowadził tańce, miał wielką słabość do dekoracyi; nie mogąc sobie na piersiach rozwieszać prawdziwych, zadawała się tymczasowo kartonowymi i bardzo się o nie na wszystkich balach ubiegał. Ponieważ tańczył niezmordowanie i zapamiętałe nadskakiwał panienom, na każdym wieczorze zbierał spore zapasy kotylionowych świecidełek. Rzucił na nie ukośne spojrzenia, lubował się nimi, rachował je, poprawiał te, które się niemocno trzymały, a jeśli przypadkiem zgubił które z nich, szukał go, obiegał salon, zaglądał pod krzesła, a nawet kontrolował cudze fraki w obawie tego, co się w dyplomatycznym stylu nazywa—aneksją.

Lubił dekoracje.

Trudno mu to mieć za złe: był młody, a młodość musi mieć swoje ideały. Bez ideałów młodość jest trupią.

Rozmawiając z Zosią, spuścił oczy i zobaczył z przestraczem, że zginęła mu jakaś gwiazdka czy kokardka. Przeprosiwszy przeto tancerkę, wstał z krzesła; rozpoczął swoją pielgrzymkę po salonie, wszystkich się dopytując o swoją zgubę. Szukając, nieznacznie zbliżał się do mnie.

Zosia na mnie patrzyła. Była smutna. Oba rączkami ścisnęła zamknięty wachlarzyk.

— Kiedy już wie, że jadę,—pomyślałem,—

lepiej, aby się odrazu dowiedziała o wszystkim.—I odpiąłem swoją jedyną dekoracyę, tę, którą Zosia umyślnie dla mnie wybrała.

— Pan nie znalazłeś przypadkiem dekoracyi?—zapytał mnie młody dyplomata.

— Owszem,—rzekłem, pokazując mu swoją jaskółkę.—Czy ta?

— Ach! ta. Ta sama! Dziękuję!—zawołał dyplomata bez zająknięcia i, schwyciwszy dekoracyę, przypiął ją sobie do fraka.

Ręce Zosi drgnęły konwulsyjnie, zacisnęły się mocniej, i złamały wachlarzyk.

— Wie wszystko,—pomyślałem.—Tak będzie lepiej.

A jednak ja ją kochałem.

Gdy wachlarz pękł jej w ręku, uczułem, jakby i we mnie coś się złamało.

Uciekłem, niemając odwagi wytrzymać jej spojrzenia. Nie śmiałem nawet na pożegnanie okiem na nią rzucić.

Wybiegłem na ulicę i długo chodziłem, nie mogąc się uspokoić.

Wróciwszy do domu, rzuciłem się na łóżko, próbując zasnąć. Ale sen nie przychodził. Myśli nawet zebrać nie mogłem. Pojmowałem tylko, że zrobiłem coś okropnego, że ta rzecz okropna nie da się nigdy naprawić.

Zacząłem szlochać, jęczeć, ryczeć...

— Podły! podły! podły!—mówiłem do siebie wśród płaczu.

Zerwałem się. Chciałem na bal powrócić, upaść Zosi do nóg i całować je, całować, aż mi przebaczy, aż mi przyrzeknie, że moją żoną zostanie.

Ale już słońce wschodziło. Bal dawno już się skończył.

Płakałem dalej; wkońcu, fizycznie i moralnie zmęczony, zasnąłem.

Spałem do wieczora. Obudziłem się, zupełnie wypoczęty i trzeźwy, i począłem z rozwagą rozpatrywać to, co wczoraj zaszło.

Mogłem jeszcze wszystko naprawić. Zamiast uciekać z miasta mogłem pobiedz do rodziców Zosi, oświadczyć się o nią...

Ale nie! To, co w bezsennej gorączce nazywałem podłością, obecnie mi się przedstawiało inaczej. Zrobiłem to, co zrobić należało, skoro nie miałem zamiaru bałamucenia uczciwej panny, z którą się żenić nie chciałem.

A ja stanowczo żenić się nie chciałem.

O północy opuściłem miasto.

Tych godzin, we łzach spędzonych, nigdy nie zapomnę, bom nigdy tyle nie cierpiał. Ileż to Zosia tejsze nocy cierpieć musiała! Była słaba i zależna cd rodziców, a miłość jej była

może silniejsza od mojej, bo ja jeszcze mogłem rozumować.

Czuwająca nademną opieka składała się z kawałka wuja i całej ciotki. Wuj mógł mi się tylko częściowo udzielać, bo miał trochę dzieci i dużo wyścigowych koni. Ciotka zaś prócz mnie nie miała nikogo, chyba niezbyt dokuczliwe newralgie.

Opieka spróbowała protestować przeciw temu nagłemu powrotowi wychowanka na jej łono.

Ale wychowaniec, który się kłócić nie lubił, odrazu pokazał swoją metrykę, która świadczyła, że miał już lat dwadzieścia dwa.

To był argument wymowny. Wszakże dla formy trochę podyskutowano, choć w gruncie rzeczy moje nauki prawne były dość obojętne i wujowi, i ciotce.

Mój wuj pocieszył się prędko. Niemogąc mnie „ekscelencyą“ nazywać, nazwał tak jednego ze swych koni. Pocieszył się do reszty, gdy raz na wyścigach tenże koń właśnie byłby niezawodnie otrzymał pierwszą nagrodę, gdyby nie jakiś osioł, który mu zajechał drogę, nieumiejąc zapanować nad swoim rozhukanym wierzchowcem.

W cztery lata potem Zosia wyszła za mąż za bogatego i porządnego obywatela z królestwa, którego nazywają Anglikiem z powodu niczem

niezamałconego spokoju. Zimna krew jego weszła w przysłowie. Podobno się nigdy nie uniósł.

Zosia nie ma dzieci, ale z mężem żyje szczęśliwa. Mówią, że kocha ją bardzo.

Po co ja to piszę? Jaki moralny sens tego wszystkiego?

Usiadłem do dziennika, a to na pamiętniki zakrawa.

Prostu na widok Zosi rozmarzyła mnie ta cała dawna historia. Potrzebowałem wyznać się, choćby przed samym sobą.

I stawiam sobie pytanie:

— Czy dzisiaj żałuję, że taki, a nie inny kierunek nadał tej sercowej sprawie? Czy żałuję, że nie ożeniłem się z Zosią, którą kochałem, którą zachwycałem się dziś jeszcze?

Nie!

Nie żałuję tego ani dla siebie, ani dla niej. Co się mnie tyczy, spokój i swobodę przenoszę nad wszystko. Co do Zosi, nie byłaby ze mną szczęśliwa. Nie umiałbym być dobrym mężem.

Zatem—wszystko, co się stało, stało się dobrze.

Oto się rozписаłem! Już północ. Mój lokaj łazi po korytarzu i czeka. Chciałby światła pogasić i pójść spać.

Gdyby nie deszcz, który padał od rana, ni-

gdybym nie był tyle napisał. Ale nie mogłem ruszyć się krokiem z domu, zasiadłem więc do dziennika, a raz zacząwszy, nie mogłem już oderwać się od rozpoczętej historyi. Nigdy w życiu nie napisałem tak dużo.

Oby to u mnie nie przerodziło się w jakąś manię.

28-go kwietnia.

Jasnowłosa Zosia przypomina mi boginie Tycyana, a chociaż nie posiada ich form w pełnym rozkwicie, ich zdrowia i siły,—w jej skórze jest dużo tego ciepłego kolorytu, jaki się u weneckich mistrzów spotyka, równie jak i jej włosy, które zamiast chłodnej i niezdrowej barwy, właściwej pospolitym blondynkom północy, tłumią w sobie jakieś iskry i promienie; zda się, że to żar, który się kryje pod warstwą popiołu.

Zosia ma typ Wenecyanki.

Byłem dziś u niej. Ożywiona, swobodna, przyjęła mnie uprzejmie, ale bawiłem niedługo. Przyjechała tutaj na krótko, bardzo jest zajęta i wyprosiła mnie wkońcu od siebie.

I czemże tak zajęta? Naturalnie sukniami i kapeluszkami. Nie byłaby kobietą, gdyby jej to nie zajmowało. Nie potępiam kobiet za tę wrodzoną potrzebę strojenia się, jak nie mogę

potępiać ładnego ptaszka o barwnych piórach, gdy, usiadłszy na gałązce, strzepuje skrzydełka i dziobkiem gładzi piórka. Kobieta, nie dbająca o stroje, byłaby nienaturalną i brzydką.

Zosia tak się zdawała swobodną, że mimowoli stawiałem sobie pytanie, czy jeszcze dawne dzieje pamięta, czy mocniej bije jej serce, gdy je sobie przypomni.

Zdaje się, że ja sam tylko pamiętam. Prawda, że mi nie w głowie ani gałgany, ani kapelusze.

To też jeszcze dzisiaj zawadza mi trochę ta kartka z mojej młodości. Dziś jeszcze widzę i Zosię, i kartonową jaskółkę, i złamany wachlarzyk...

Być może, iż, jako kobieta, wrażliwsza odemnie i więcej nerwowa, Zosia w danym razie kochała gwałtowniej i mocniej... ale moja miłość była dłuższa i trwalsza.

W rozmowie parę razy zbliżyliśmy się do drażliwego dla nas wspomnienia, i, gdy ja, wzruszony, starałem się rozmowę odwrócić, Zosia była zupełnie spokojna i śmiało mi w oczy patrzyła.

Tak, uczucia mężczyzn są trwalsze, chociaż się objawiają mniej gwałtownie.

Wyszedłem od niej zaintrygowany, ciekawy, co o mnie myśli i w jaki sposób mnie sądzi.

Nie chcę wierzyć, aby trochę czasu i kilkanaście sukni mogło zupełnie wypędzić z serca to, co niegdyś je przepelniało. Ona musi sobie coś przypominać, mój obraz musi się czasem wciskać do jej myśli, trudno więc, aby o mnie nie miała wyrobionego zdania.

I może mnie sądzi fałszywie, może do tej pory nie odgadła, że ucieczka moja była największym dowodem czci i miłości, jaką dać można kobiecie.

Niemogąc się z nią ożenić, uciekłem, aby jej spokój przywrócić.

A zresztą, skoro dzisiaj ma męża i żyje z nim szczęśliwie, nie ma prawa mnie potępiać. Powinnaby mi być owszem wdzięczną.

W każdym razie nie jest to przyjemnem myśleć, że kto inny zajął moje miejsce w jej sercu, że wszystkie uczucia, zachwyty, uznania, cały szacunek oddała innemu, że wobec niego każdy wydaje się jej marną drugorzędną figurką.

Ale czy ona męża kocha w istocie?

2 maja.

Kilka razy ją spotykałem. Raz nawet spędziłem z nią wieczór. Zawsze swobodna i śmiała, a chociaż wita uprzejmie, — kiedy odchodzę, nie widzę, aby to na niej sprawiało



wrażenie. Gdyby mnie potępiała, — nie byłaby tak uprzejma. Czułaby się skrępowaną... Zosia przedewszystkiem jest szczerą.

Wczoraj zrobiłem przy niej wzmiankę o tem, że zacząłem spisywać swój dziennik.

— Dawno już? — zapytała.

— Ze dwa tygodnie.

— Oho!.. I pan jeszcze nie rzuciłeś swojej roboty?

— Nie. Dlaczego bym ją miał rzucać?

— Tak... nie... nie wiem... — i Zosia urwała rozmowę.

Czyżby to była jaka daleka aluzya? Być może. Upatruje we mnie brak wytrwałości, ona, która ze mną taka swobodna, gdy ja jeszcze bez lekkiego wzruszenia na nią patrzeć nie umiem.

— Szkoda, że to dziennik! — zawołała Zosia.

— Czemu?

— Wolałabym pamiętnik albo wspomnienia. Pan byś mi je dał przeczytać.

Nieostrożna, po ostrych nożach chodziła!

— Ja bardzo lubię pamiętniki, — dodała, — czytając je i porównywając z historią, prawdą, faktami, widzi się, ile to zapoznanych przez świat bohaterów żyło albo żyje jeszcze.

Drwiła ze mnie.

— Spotkałby panią zawód, co do mnie, —

odrzekłem, — bo pamiętniki czy dziennik, to, co piszę, piszę dla siebie; po prostu prowadzę rodzaj rachunkowej księgi mojego sumienia.

— Właśnie, — powiedziała Zosia.

Drwiła jeszcze; zatem — jeszcze pamięta, osądza mnie i potępia.

Więc dlaczegoż ten rodzaj życzliwości, jaką mi okazuje?

Nie wiem.

To wiem, że pogoda i słońce dopisują ciągle, że Zosia jest ładna. Więc i ja jestem pogodny, jak wiosna. Jestem zdrow, czuję w sobie równowagę moralną, harmonię, czuję, iż żyję, i cieszę się z tego.

3 maja.

Przyjechał Zosi mąż, — Anglik. Choć go już niepierwszy raz widzę, przypatrywałem mu się ciekawie.

Wysoki jest i przystojny. W oczach jego i zaciśnięciu ust maluje się żelazny, nieugięty charakter, ale, choć widać, że wie, czego chce, że, raz coś postanowiwszy, przed niczem się nie cofnie, widać także, iż ten człowiek nie zechce rzeczy nieprawej. Twarz jego ma jakiś wyraz poczciwy. To też widok jego sprawia wrażenie uspokajające, choć jednocześnie trochę onieśmiela, i — mimowoli w jego obec-

ności wszyscy się trochę poprawiają i krygują, pragnąc się przed nim wydać jaknajlepiej. Dba się o szacunek tego człowieka.

Słowem — jest sympatyczny, lubo ubiera się brzydko i w ruchach trochę niezgrabny.

Anglik zdaje się bardzo kochać żonę. Wobec niej energia ustępuje mu z twarzy, i zostają tylko dobroć i dziwna jakaś pokora.

To też uwaga moja była rozdzielona pomiędzy Zosię i jej męża. Nie mogłem się nim nie lubować; stawał się piękny, gdy mu się tak, co chwila, twarz mieniła. Studyowałem go z ciekawością artysty.

Kiedy zwracał się do mnie, widziałem granitowego olbrzyma. Kiedy patrzył na żonę, — wyglądał, jak słabe dziecko.

Bóg wynagrodził Zosi jej łzy i boleść. Dostała takiego męża, jakimbym nigdy zostać nie potrafił; — nie dziwię się, że ze mną taka swobodna i śmiała. Gdy się czuje pod stopami fundament, tak mocny, jak miłość i opieka tego dziwnego i niepospolitego człowieka, można na cały świat patrzeć z wysoka.

I raz jeszcze, powtarzam, że dobrze ongi zrobiłem, kiedy od niej uciekłem.

4-go maja.

Dziś dzień feralny.

Przez cały ranek szukałem pantofli, bo mo-

je już dogorywają, a nawykłszy do jednego rodzaju i koloru, chciałem mieć takie same.

Ale nie...

Warszawa chce mieć wszystko własne i od paryskiego lepsze. Dlatego też nic tutaj dostać niemożna, — nawet safianowych pantofli. I kolor nierówny, jakiś w plamy, i skóra nie-tak wyprawiona, słowem — karykatura tego, czego szukałem, choć mnie zapewniano solennie, że lepszego towaru nie dostanę w samym Paryżu.

Takie głupstwo pochłoneło mi parę godzin czasu i oprócz niepotrzebnej irytacji nie przyniosło nic. Miasto, w którem nie można dostać nawet pary pantofli, nie jest miastem.

Sam nie rozumiem, po co tu siedzę, mieszkam i duże wydaję pieniądze na to, aby za nie nic nie mieć.

Dzień, źle rozpoczęty, źle ciągnął się dalej.

Śniadanie zjadłem w domu. Mój nowy lokaj stanowczo mi się nie podoba. Wino mi podał, zanadto wygrzane, a talerze zimne. W dodatku nazywa się — Alfred. Czy słyszał kto, aby się lokaj nazywał Alfredem?

Jeszcze tego dożyję, że usługiwać mi będzie jaki August.

Wyjechałem na miasto i w Aleje, alem nigdzie Zosi nie spotkał. Zrobiłem parę wizyt

w nadziei zobaczenia jej — daremnie!

Na obiad poszedłem do knajpy. Ciasno, pełno dymu, gorąco i za dużo znajomych. W dodatku Kazio popsuł mi humor, jak zawsze, błazeństwem.

Wyciągnął z kieszeni zegarek i nagle mi go pod sam nos podsunął.

— Widzisz? — zapytał.

— Widzę, — odrzekłem i pociągnąłem nosem.

— Cóż?

— Zdaje się, że nietombakowy.

Kazio ruszył ramionami i pokazał na sekundową igliczkę, która żwawo się obracała.

— Patrz, — rzekł, — jak biegnie.

— Widzę.

— To tak życie ucieka! — zawołał z miną, jakgdyby przynajmniej odkrył nową część świata.

Cymbał!

Wiem i bez niego, iż życie ucieka. Po co to przypominać?

Ale Kazio od pewnego czasu bawi się w filozofa i zrobił się niemożliwym. Zawsze znajdzie coś przykrego do powiedzenia każdemu.

Wieczór przepędzam w domu. Na dworze deszcz pada, wiatr wieje. Ogień na kominku pali się niedobrze, a w drugim pokoju Alfred

ściele łóżko. Choć go nie widzę, czuję że nie-
tak kołdrę pod materac zasuwa, jak do tego
przywykłem.

Do zakończenia złego dnia braknie jeszcze
złej nocy.

Dzień był prawdziwie feralny.

Choć w zabobony nie wierzę, mimowoli
wszystkie dzisiejsze niepowodzenia przypisuję
spotkaniu pani Klaudyny, którą zastałem u
jednego z szewców. Ja szukałem czerwonych
pantofli, — ona, zbłądziwszy, musiała szukać
niebieskich pończoch. Nie znoszę tej baby.

Niby pisze, niby demokratka, niby się zna
na sztuce, niby dowcipna i wykształcona... to
też każdy od niej ucieka.

Jeżeli już doprawdy kobieta trawić nie może
bez pomocy literatury, niechże jej zażywa, ale
po cichu, tak aby nikt o tem nie wiedział.
Czyż człowiek, chory na niestrawność, zaraz
o tem trąbi po świecie i ogłasza, jakimi środ-
kami ją zwalcza?

5 maja.

Spałem nieźle; kawa była dobra. Może się
z Alfredem pogodzę, bo dużo ma dobrych
chęci.

Ale ciężko jest głupi.

Proponowałem mu podwyższyć płacę pod

warunkiem, że przezwę go Józefem. Jego poprzednik tak się nazywał, — i nawykłem już wołać Józefa, łajać Józefa, Józefowi wydawać rozkazy.

Ale pan Alfred przywiązany jest do swego imienia. Nadto mu się wydaje, że za podanie płaszcza albo odniesienie listu hojniej obdarzą Alfreda, niż jakiegoś pospolitego Józefa. Kto wie? Może to imię jest tylko spekulacją? Może się nie nazywa Alfredem? Nie chce rozumieć, że, gdybym mieszkał na poddaszu, magiczne jego imię na nicby mu się nie przydało. Zamiast hojnie obdarzać—jeszczeby go wyzyskiwano.

Ale trudno było się z nim sprzeczać,—pozostał więc Alfredem. Tylko dla uspokojenia mnie dodał, że, gdybym uważał za stosowne podnieść mu płacę, nie miałby nic przeciw temu.

— To pańska wola,—rzekł pokornie.

Na spacerze znowu nie spotkałem Zosi i znowu dzień zmarnowałem.

Za to widziałem Lola na nowokupionym koniu i raz jeszcze miałem dowód, że się na koniach nie zna. Unosi się nad lada szkapą, byleby miała ładną głowę, zapominając, że prócz głowy koń miewa i nogi, i pierś, i szyję... Wolno mu nie znać się,—ale niechże przynajmniej nie udaje znawcy.

A iluż to na świecie jest znawców tego samego kalibru!.. I, dlatego że gdzieś coś zaśłyszeli, zaraz na katedrę włączają i chcieliby nauczać... w dodatku dopominają się, aby ich słuchano!

Ledwie Lola porzucił, spotkałem także znawcę,—Silberfische. W miarę jak mu złoto do kieszeni napływa, obudzają się w nim gusta, które on nazywa estetycznymi. Buduje, przerabia, mebluje, wszędzie kapie od złota, ale kapie źle i nie w porę, choć niektóre dzienniki unoszą się nad wszystkim, co u siebie wyrabia. Szkoda, że się wprzód nie porozumiały z sobą, bo, gdy jedne coś bredzą o stylu odrodzenia, inne mającą o anglo - gotyce... Tymczasem w tem wszystkim jest styl je len,—styl zylberfiszowski.

Najciekawszem jest to, że sam Silberfisch coraz odważniej zaczyna mówić o epokach i stylach, a ponieważ coś słyszał o kupcach florenckich, którzy się nazywali Medyceuszami, nie wątpi, że go kiedyś nazwą Medyceuszem Warszawy.

I cóż? Gdyby do swoich dobrych chęci i piędzy wiele dołożył gustu i nauki,—zostałby nieśmiertelnym, bo jedyna tylko sztuka i to, co z nią związane, mogą na tym świecie jaką taką nieśmiertelność zapewnić.

Medyceusze nie zdobywali żadnych państw i wielkich bitew nie staczali, ale ich rządy dały się rozwinąć sztuce w całej pełni, nazwisko ich ściśle związane z imionami ludzi, którzy tworzyli arcydzieła, więc je dziś jeszcze znamy i jutro pamiętać je będziemy.

Co dzisiaj pozostało z potęgi Persów, Egiptu albo dawnego Rzymu? Wszystko w gruzach już leży. Głośne imiona zdobywców zacierają się w pamięci, zostają o nich wzmianki w historycznych dziełach, o tyle tylko zajmujące, o ile w nie historyk wlał własnego talentu.

Kapłani sztuki żyją i żyć będą, bo codzien podziwiamy ślady ich pobytu na ziemi. Szczęśliwy, kto potrafił ucześcić się ich rozgłosu. O Karolu V-ym wiemy to przedewszystkiem, że podniósł pędzel Tycyana. Książęta Ferrary znani są dlatego, że na ich dworze bawił Tasso.

Franciszek I-y zwraca uwagę tem, że zwerbował do siebie Benvenuto Cellini'ego. Z łaski Molière'a żywiej nas obchodzi Ludwik XIV-ty, a o Napoleonie I-m zaczynamy już to pamiętać, że się od Talmy uczył chodzić i mówić. A Giotto, Dante, Michał Anioł, Rafael, Shakespeare?.. Każdy z nich opromienia ludzi, którzy w swoim czasie mieli wielkość i potęgę.

gę, a dzisiaj byliby pogrążeni w wiecznem zapomnieniu.

Chwała, bogactwa, zdobycze—to marności, bez jutra. Tylko piękno jest wieczne, a z niem ci, co je tworzyli.

Chociaż się znam oddawna z naszym Medyceuszem - Silberfischem, nie bywamy u siebie. Dziś, ośmielony dłuższą ze mną rozmową, spróbował mnie, jako znawcę, zwabić i zaproponował śniadanie... tak, bez ceremonii. Odpowiedziałem, że jestem na dyecie.

Zaczeplił mnie o moją galeryjkę obrazów. Dotychczas jej nie zna, a od tak dawna pragnąłby ją zobaczyć.

— Wpadnę kiedy do hrabiego,—rzekł reżolutnie.

— Wpadnij pan, — powiedziałem, — ale ja w domu tylko nocuję. Lekarze zalecili mi dużo ruchu...

Silberfisch odszedł zafrasowany, bo zrozumiał, o co mi chodziło. Żal mi się go zrobiło, bo to niezły żydek. Wszakże za nim nie pobieglęm, obawiając się następstw jednego nierozważnego kroku. Silberfisch byłby pociągnął Silberbauma, a Silberbaum — Silberzweiga, a Silberzweig — Silbersteina... i tam dalej i dalej... a nigdy w sobie nie czułem popędów do tej całej kompanii. Niech sobie robią pieniądze, niechaj się bawią, roz-

koszują, zbytują, niech nawet trzęsą światem, ja im przeszkadzać nie myślę, ba! nawet wiele w nich zalet uznaję, szanuję... O jedną rzecz tylko ich proszę: niechaj do mnie nie chodzą.

Zdaje się, że wymagam niewiele.

6 maja.

Dziwnie marny spędziłem dziś wieczór, ale to wina Zosi. Wiedziałem, co mnie czeka, i dla niej tylko na ten wieczór poszedłem.

Rano na ulicy złapała mnie hrabina Idalia i zaprosiła na herbatkę do siebie. Mieszka aż na Żórawiej ulicy.

Gdy się mieszka tak daleko, sama delikatność nakazuje wstrzymywać się od dawania wieczorków wtedy nawet, kiedy, jak dzisiaj, chodziło o pożegnanie Zosi, która na wieś odjeżdża.

— Pana nigdzie niewidać, — mówiła pani Idalia, — zrobisz mi pan prawdziwą przyjemność...

Jej się zawsze wydaje, że, kto do niej nie chodzi, ten nie bywa „nigdzie”, że jej salon — to jakieś „wszędzie”.

— Poznasz pan śliczną panienkę, — dodała na przynętę.

Trzeba mieszkać aż na Żórawiej, aby mnie w ten sposób zachęcać i jeszcze się ludzi myśla, że ja przedstawiam materyał na męża.

Jednak obiecałem przyjść i wieczorem święcie dotrzymałem słowa. Trzeba Zosię pożegnać.

Zastałem liczne zebranie,— dużo pań i bardzo mało mężczyzn. Zosia siedziała w kącie, otoczona rozmaitemi paniami; niemożna do niej się precisnąć. W drugim kącie flegmatycznie nudził się jej małżonek.

A nudy były rezolutne, wściekłe.

Przy fortepianie siedział Koko, becząc po polsku kawałki z operetek francuskich. Koko jest młody, ma dużo czasu przed sobą, więc się nigdy nie śpieszy i rozwałkowuje piosneczki, których cały szyk polega na szybkim ich przenuceniu. Przytem nigdy w porę odetchnąć nie umie, ale za to oddycha głośno i ciężko.

W pokoju gorąco.

Panie mocno się wachlują, czoła im błyszczą pod grzywkami, a nosy czerwienieją i świecą się.

— *Charmant! charmant!*—mówi jedna.

— *Charmant!*—wołają drugie.

— *Encore!*—prosi pani Idalia.

Szukam oczami obiecanej mi ślicznej panienci, ale żadnej nie widzę. Same filary kościoła, *matryarchy*, opiekunki sierot, podrzutków,

szpitalików różnych... Pomiędzy niemi Zosia jedynie jest młodą.

A jednak panienki nie są daleko. Z powodu piosneczek Koka musiano je wyprosić do drugiego salonu. Wiadomo jest, że nieprzyzwoitości francuskie tylko matkom są dozwolone. Panienom do nich—wara!

Siedzą więc w drugim pokoju i milczą w nadziei, że może zaleci do nich coś z tych ciekawych i zabawnych rzeczy, od których się mamy na fotelach aż trzęsą.

Szczęściem Koko śpiewać nie umie, wyrazy połyka i, jeżeli do pańienek co zalatuje, to chyba złą jego metoda.

Dociskam się do Zosi i zaczynam z nią rozmawiać; ale, ponieważ Koko dużo robi hałasu, muszę głos podnosić.

Koko zatrzymuje się, zdumiony moim brakiem nabożeństwa.

— Niech pan nie uważa,— mówię, starając się go uspokoić. Zosia przygryza wargi, Koko śpiewa dalej, poczem nastaje pauza, bo wnoszą do salonu lody.

Ale Koko od fortepianu nie wstaje i kręci się na śrubowym stołku. Widać, że gotów śpiewać jeszcze.

Lokaj z lodami staje przed nim, ale on ręką odtrąca tacę.

— *Une glace?*—pyta pani Idalia.

— *Jamais!*—mówi Koko i ręką pokazuje na gardło.

— Prawda!—powiada pani Idalia i nie śmie nalegać, bo wie, jak artyści muszą gardło szanować, jak wystrzegają się orzechów i lodów. W gronie tych pań Koko uchodzi za artystę. Nieraz słyszałem tego rodzaju bluznierstwa.

— Panie Koko! pan, który jesteś artystą...

Obałwaniony tem wszystkim Koko rozprawia o muzyce, lubi jedno, lekceważy drugie... Zupełnie, jak Silberfisch, mówiący o sztuce.

Odebrano mi Zosię, panie ją formalnie obległy, i poczęto szczebiotać. Panienek nieprzywołano, aby nie przeszkadzały. Dziwnie bo to niepotrzebne stworzenia te biedne panielki! Ani przy nich rozmawiać, ani żartować, ani śpiewać... Wszędzie i zawsze muszą zawadzać.

Rozmowa toczyła się po francusku. Słysząc tam było: *rue de Mazovie, Nouveau-Monde, rue Propre, l'Ordinat...* albo, że pani X. była Y. *de maison*, słowem dokoła dźwięczała ta jedyna w swoim rodzaju, typowa, warszawska francuzczyzna.

Zdaje mi się, że nawet raz zasłyszałem *rue de Królevie*.

Gorąco nieznośne, rozmowa zaczynała ciężać każdemu.

Koko ruszył się, taburet pod nim skrzypnął, pani Idalia uśmiechnęła się...

— Prawda! — rzekła, — jeszcze się nam należy walc z Gasparone.

— Koniecznie! koniecznie! — zawołało kilka pań, a jedna z nich zaczęła nucić półgłosem pierwszą zwrotkę walca.

Koko odchrząknął i zaczął śpiewać.

Panie słuchały. Pootwieraly usta, bo robiło się coraz goręcej, a w ten sposób daleko większa powierzchnia ciała wchodzi w zetknięcie z zewnętrznym powietrzem.

Po zimnych lodach były na nie obfite poty.

Nikommu przez myśl nieprzeszło otworzyć okna. Prawda, że pani Idalia cierpi na reumatyzmy i nie znosi przeciągów. Przytem — przed samym wieczorem kazała mocno nakazać w salonach, a szkoda zapach kadzidła marnować i wypuszczać przez okno na Żórawią ulicę.

Panie słuchały. Czasami jedna na drugą mrugnęła. Inna znów zasłaniała wachlarzem tajemniczy uśmiech, zastosowany do słów piosneczki, które, jak egoistka przeżuwała samotnie.

Słuchały i lubowały się.

A jednak pomiędzy niemi znajdowały się kobiety z wykształceniem, które podróżowały i rzeczy piękne widziały, słyszały...

Ale stado ma swoje prawa.

Niejeden człowiek do rzeczy—w tłoku staje się głupim. Zaraża się od tego tłoku, przejmując się jego gustami, instynktami, sposobem myślenia i ani się opatrzy, jak zostaje w tem stadzie jednostką, niczem się nieróżniącą od innych jednostek.

Nie były to w tej chwili kobiety, obdarzone darem myślenia, wolą, duszą, nie były to nawet baby... Były to jakieś porozrzucane pokanapach i odęte od napojów sakwy, którym dokuczało gorąco, które niczego nie chciały, a które monotonny śpiew Koka jako tako kołysał i przyjemnie podrażniał.

Wstyd mi się zrobiło, że i ja się znajdowałem w ich gronie. Nie mogłem pojąć, po co się tu wcisnąłem.

Wstałem i, skłoniwszy się ode drzwi, uciekłem.

Na ulicy odetchnąłem swobodniej.

Wieczór był piękny. Odesławszy konie do domu, poszedłem piechotą, chcąc się otrząsnąć z wrażeń wieczoru, zapomnieć... bo czułem, jak mnie coś jeszcze za gardło ścisnęło. Ale ani ruch, ani powietrze nie pomogły.

W uszach brzęczał mi głos Koka. Przed

oczami stawał niewielki salonik hrabiny Idalii, wypełniony meblami, ozdobiony lichymi obrazami, pociągniętymi lekką warstwą *umbry* albo *noir d'os* dla nadania im piętna antyków. Widziałem podwójne i potrójne firanki, zakurzone draperye, jakąś komódkę, nabijaną bronzami, a na niej cały las ramek z fotografiami osób, które mnie nic a nic nie obchodziły. Widziałem półki najeżone, porcelanowymi fraszkami i krajowymi majolikami, które tak zawsze typowo kuleją i chyba jedynie pod względem ceny nie ustępują zagranicznym... A wszystko to zanurzone w mglistym powietrzu, przesyconem dławiącym zapachem perfum. To coś było ohydneho i banalnego, jakieś nagromadzenie tysiąca gratów, z których żaden nie przedstawia artystycznej wartości, słowem—typ nowożytnego salonu w stylu... *cocotte*, typ powtarzający się wszędzie, w każdym niemal domu.

Do powyższego spisu dodać należy ogromną gdańską szafę, postawioną w ciemnym i ciasnym przedpokoiku, o którą, wychodząc z salonu, każdy musi zawadzić ramieniem, biodrem, kolanem, a czasem nawet i głową.

Ta szafa dziwnie jest twarda i strasznie ostre ma kąty. Przytem mocna. Stoi tam od lat tylu, pani Idalia tak dużo osób przyjmuje, a tej szafie dotychczas —nic!

Nieśpieszno mi było do domu, więc się błąkałem po mieście, uciekając od wrażeń, które za mną natarczywie goniły. Wkońcu poczęły się zwolna zacierać.

Udało mi się zegnanie Zosil

W ten sposób włócząc się, znalazłem się aż na *rue du Miel*. Od *rue des Grues*, przy której mieszka pani Idalia, to spacer dobry. Zawróciłem przeto do domu i przez *rue des Chevres*, nieśpiesząc się dotarłem do swego mieszkania, pełny nadziei, że po dobrym spacerze dobrze spać będę.

Gdzie tam!

Alfred coś sobie zrobił na palcu i grubo go płatką obwinął. Rozbierając mnie, ciągle mi przed oczami migał tym palcem, a nie znam nic wstrętniejszego od lokajskiego palca, owiniętego w płatek.

Ledwie z siebie wytrząsałem wspomnienie herbatki, a tu mi się sunie przed oczy nowy przedmiot wstrętny, na który *de facto* jestem niemniej czuły od dobrze wychowanej Angielki w teorii.

I zamiast spokojnie usnąć, zasiadłem do pisania.

Nareszcie kleją mi się oczy.

7 maja.

Po co ja siedzę w Warszawie? Srogi An-

glik już porwał mi Zosię, i sam nie wiem, coby mnie mogło tutaj zatrzymać. Nie unoszę się nad warszawskim brukiem, nie będę żałował wieczorków pani Idalii ani tych wszystkich „naszych niezrównanych“, których nazwiska czytam na afiszach. Żal mi będzie może Łazienek, ale wodę i drzewa wszędzie znaleźć można.

Przez chwilę myślałem puścić się w pogoń za Zosią. Pojechałbym do krewnych, którzy o pół mili od niej mieszkają, a ztamtądbym dojeżdżał.

Gra niewarta świecy.

Na wsi każda rzecz wydaje się sto razy straszniejszą, niż w mieście. Ludzie gotowi sobie, Bóg wie, co uroić dlatego, że zrobię kilka wizyt u Zosi, a tych kilka wizyt musiałbym okupić dwoma lub trzema tygodniami pobytu na łonie rodziny. Tego rodzaju *sport* nie leży w mojej naturze. W dodatku—Zosia z mężem jadą wkrótce do wód, podobno do Karlsbadu. Pokazuje się, że Anglik spokojny jest powierzchownie, ale coś w nim burzy się nieraz i kipi. Ztąd —potrzeba kuracyi.

Na wieś więc nie pojedę, nim zaś nadejdzie zima, a z nią Zosia ukaże się w Warszawie, przejadę się po Europie.

Na Paryż już trochę zapóźno. Paryż uroczy jest, kiedy budzi się wiosna. Niemiec nie lu-

bię, bo zanadto ponure. Ostrołuki, igły, mistyczne potworki i djabełki, wychudzone ciała, wizerunki piekła; cała ta gotycka dekoracya naprowadza melancholię pomimo swojej piękności i wyglądu pańskiego.

Pod względem sztuki jestem poganinem z XVI-go wieku i przedewszystkiem kocham odrodzenie, które mnie unosi prostotą i harmonią. W niem widzę słoneczny spokój i prawdę. Zamiast trapić, straszyć, zatrutować życie, jak gotyk, rozwesela je i godzi z niem. To też z natury skłonny do smutku, instynktowo tęsknię do tego, co mi daje zdrowie i wesołość.

A jak o to łatwo we Włoszech! Lada facyata, kawałek gzymsu, złamek marmuru albo oprawa okna, już sprawia uciechę i zostawia wrażenie na długo.

Pojadę do Wenecyi. Tam jeszcze bardzo przyjemnie; gdy zaczną upały doskwierać, przeniosę się nad włoskie jeziora, a potem udam się do Szwajcaryi.

Mam ochotę wziąć z sobą Alfreda. Podróżował już zagranicą i może się przydać.

Zakrzyczą mnie moi spadkobiercy, którzy i bez tego już zemnie są niezadowoleni. Trzymam drogiego kucharza, podczas gdy w mie-

ście mamy takie dobre restauracye. Trzymam konie, podczas gdy w Warszawie można zaw-
sze dostać dorożkę.

Co gorsza, żadnego z nich nigdy nie zaproszę na obiad, żadnemu nie dam się przejechać moim powozem. Unikam ich, —zapewne dlatego, że są moimi spadkobiercami i chcieliby już dziś dysponować tem, co należy do mnie. Mnie to drażni; sądzę, że jestem jeszcze młody, i nienależy już dzisiaj brać ze mnie miary na trumnę.

Nie ożenię się, dzieci nie zostawię, to pewna, ale mogę jeszcze żyć długo, i—to pytanie, kto komu *de profundis* zaśpiewa.

Nie lubię moich kuzynków.

To też już sporządziłem testament. Niechże przynajmniej po mojej śmierci będzie prawdziwy pożytek z moich pieniędzy. Cały majątek przeznaczam na dobroczynne fundacye.

Moi krewni i tak już dość bogaci. Nieje-den z nich trzyma kucharza albo konie, bo im to wolno, — ja po nich nie biorę sukcesyi. Niechże moje pieniądze dostaną się takim, którzy nie wiedzą, co to jest codzien zjeść kawałek chleba.

Z jednej strony nastąpi płacz, ale za to z drugiej—będą się szczęki zwawo ruszały, żołądki będą z upojeniem trawiły, i może się

znajdzie jaki syty biedak, który mnie za to pochwali i powie:

— Niech mu to Bóg wynagrodzi.

Tymczasem nie widzę, dlaczegobym miał sobie w czemkolwiek ujmować. Czego sobie dzisiaj odmówię, tego nie odłapię już nigdy.

Alfred pojedzie do Wenecyi.

Wystawiam sobie jego głupią minę w gondoli.

Zadzwońłem. Wszedł Alfred, i oznajmiłem mu, że go z sobą biorę. Oczy mu się zaiskrzyły.

Lokaje niemniej od Aglików lubią podróże. W podróży nietylko, że nic sami nie robią, ale jeszcze po hotelach każą sobie usługiwać. W dodatku codzień mają sposobność podawania rachunków. Alfred ma żonę i dzieci,— to też do buchalteryi ma słabość.

Wyszedł rozpromieniony, i zdaje mi się, że w przedpokoju trzasnął stawami palców, chociaż mu to surowo wzbronione.

Tak... ale, biorąc go z sobą, będę obwoził przypomnienie wszystkiego, o czembym chciał zapomnieć. W jego twarzy prócz ozdób naturalnych widziałbym jakieś odbicie całej Warszawy ze znajomymi, z Żórawią ulicą, widziałbym kulawe majoliki, nietrzepane kretony,—słowem cały jakiś niesmaczny ekstrakt, który mi popsuje wakacye.

Dziwna rzecz. ile może różnych rzeczy przypomnieć jedna twarz! A im banalniejsza, tem więcej nasuwa wspomnień.

Twarz charakterystyczna sama przez się zajmuje i nie daje widzieć czego innego. Kiedy patrzę na Zosię,—widzę tylko Zosię.

Gdy spojrzę na Alfreda, — widzę otchłań warszawskich obrazków, a ja przecie od nich uciekam.

Alfred zostanie.

Teraz dopiero głupią zrobi minę!

Zadzwońłem.

— Już ze mną nie pojedziesz,—rzekłem.

Alfred spuścił oczy i trochę poczerwieniał. Zrobiło mi się żal biedaka, ale trudno na to poradzić. Chciałem zupełnych wakacyi, swobody, samotności.

Dla ukojenia jego lokajskiej boleści począłem mu łagodnie i rozwlekle dawać instrukcye, dotyczące pakowania moich manatków. Był to dowód łaski, bo dla utrzymania rygoru mam zwyczaj krótkie i suche wydawać rozporządzenia. Ale Alfred nie dał złapać się na tę łaskę i już do samego wieczora nie rozjaśnił wygolonego oblicza.

8 maja.

Przed chwilą miałem wizytę, która mi wielką zrobiła przyjemność. Prawda, że mi przy-

pomniała czasy, jeszcze dawniejsze, niż te, jakie mi przypomina Zosia.

Dziecinne lata! najlepsze lata! Lata niestającej pogody i słońca. A kiedy bezpowrotnie minęły, zaczęło się brnąć, brnąć, brnąć... i coraz puściej, i coraz mniej słońca na świecie.

Dobre to lata!

Było się dzieckiem, więc—aniołkiem, który w to chyba wierzyć nie umiał, że z łaski dwojga ludzi, węża i jednego jabłka — niema rajy na ziemi. Przeciwnie, aniołek widział dokoła samych aniołów, a świat mu się wydawał rajem.

Nietylko ludzie byli lepsi. Wszystko było piękniejsze i lepsze. Dziś już wiosenne fijołki, bzy, konwalie nie pachną tak przyjemnie; już takich róż, jak dawniej,— niewidać; konie jakieś brzydsze, każdy z nich ma wadę, a psy nie-takie już wierne...

A dawniejsze zabawki, cukierki! Dzisiaj już takich nie robią.

Albo kąpiel na wsi pod młynem! Co to była za rozkosz! Woda pędziła, rwała, rzeźwiła...

Czy dzisiaj się kto kąpie pod młynem?

Ludzie kąpią się w morzu albo w wannie. Morze męczy, wanna osłabia.

Szkoda, że ludzie nie mogą zostać wiecznie dziećmi.

Kochana Marynia! Wielką mi zrobiła przyjemność swoją wizytą.

Od lat tylu już ją z oczu straciłem.

Nie miałem roku, kiedy moja matka umarła. Kuzynka jej, mieszkająca w naszym sąsiedztwie, zabrała mnie do siebie za zgodą mojego ojca, który sądził, że opieka kobiety była mi potrzebniejsza od tego, co sam dla mnie mógł zrobić. Przytem dzięki sąsiedztwu mógł mnie często widywać.

Spędziłem więc dziecinne lata w domu ciotki i wychowywałem się razem z jej dziećmi,— Jasiem i Marynią.

Jaś, o kilka lat odemnie starszy, nigdy prawie się ze mną nie bawił. Za to z Marynią całe dnie razem spędzałem.

Razem zajadaliśmy kaszkę albo kotleciki z kury, razem robiliśmy wycieczki po dużym i cieniastym ogrodzie, razem, najadłszy się malin i poplamivszy białe sukienki, pierwszy raz skłamaliśmy, dowodząc badającej nas ciotce, że nic do ust nie braliśmy. Razem po tych malinach chorowaliśmy ciężko, bo porcyja była zawielfka, razem spożywaliśmy leki...

Ciotka była dobra, doskonała, jak wszystko, co było dawniej. Marynia niemniej była poczciwa, a wiedząc od matki, że byłem sierotą,

starala się wynagrodzić mi to, jak umiała, i, chociaż odemnie trochę młodsza, otaczała mnie swoją opieką, ustępując we wszystkim. Pomimo to nieraz jej dokuczałem, czasem nawet z mojej winy płakała, ale nigdy nie skarżyła się na mnie, bo byłem sierotą, biedakiem, który nie ma mamy.

Pewnego dnia, bawiąc się nieuważnie, potrąciłem ją. Upadła na podłogę, mocno uderzywszy głową o róg szafy.

W jednej chwili wielki guz wyskoczył na czoło.

Wstała, trzymając się za głowę i zanosząc się od płaczu, ale starala się płakać cicho, aby tego nieposłyszano z sąsiedniego pokoju.

Byłem przestraszony. I mnie się na płacz zbierało.

— Nie bój się, Guciu,—rzekła Marynia cieniutkim głosem, — ja tego nikomu nie powiem.

I patrzała mi w oczy uspokajająco. Bolało ją, a ona o mnie myślała.

Święta, kochana Marynia!

Była nieładna. Nos miała gruby, a oczy maleńkie, trochę ukośne, ale żywe, figlarne i takie poczciwe, że wydawały się ładne.

Nie umiała nigdy nauczyć się wymawiania litery *r*. Mówiła *rl*.

— *Brlavo!*—wołała, klaszcząc w dłonie, gdy

mi się udało popisać przed nią z jakąś nadzwyczajnością. A często tak wołać musiała, bo w jej oczach wszystko, co robiłem, było nadzwyczajne. Nawet Jaś, starszy i silniejszy odemnie, wszystko zawsze gorzej robił, bo ja byłem *sierlota*.

Kiedy mój ojciec umarł, musiałem zleźć z piedestału, na jakim mnie utrzymywała Marynia, bo zabrano mnie z domu ciotki. Miałem bliższych krewnych, tych właśnie, którzy mieli z czasem wy kierować mnie na *ekscelencyę*, i — oni to się mojami dalszemi losami zajęli.

Bardzo płakałem, wyjeżdżając z domu ciotki. Ona także łzy miała w oczach, a Marynia wprost chorowała od płaczu.

— Jak tobie będzie tam źle, — szepnęła mi, — *wrótć* do nas. Ja tobie *dartuję* połowę mojej mamy.

Ale już nie wróciłem. Z biegiem lat oboje poczęliśmy z raju schodzić na ziemię. Ja się nie ożeniłem, a ona wyszła zamąż za pana Zygmunta Krawińskiego obywatela, posiadającego znaczny, ale zadłużony majątek. To też Marynia bieduje, bo, choć pana Zygmunta losy obdarzyły zawikłanemi interesami, nie dały mu głowy, któraby im podolała. Zresztą to człowiek uczciwy i dobry, tylko żonę trochę obcesowo traktuje.

Jako prawy syn naszego wieku, — Zygmunt

jest specjalistą: pasyami lubi rzodkiew, może jej zjeść bardzo dużo i trawi wszystką.

Od pamiętnego dnia, w którym pocziwa Marynia chciała się ze mną swoją matką podzielić, spotykałem ją tylko z rzadka i zawsze na krótko. Ja na wsi nie bywam, a ona się ze wsi prawie nie rusza. Wszakże szczerze się kochamy, jak za lat dawnych. Być może, iż nasza miłość dlatego taka żywa i świeża, że, pamiętając czasy dziecinne, nie znamy siebie takimi, jakimi nas lata zrobiły, a te wszystko psują.

Marynia nie wyładniała, oczki jej zawsze krzywe, i do tej pory nie umie wymówić litery *r*.

Ledwie wysiadła z wagonu, wpadła do mnie na chwilę, aby się przywitać i na obiad zaprosić. Zygmunt z nią także przyjechał, lecz został w hotelu.

Ciekawy jestem, czy, gdyby Marynia miała prawo do sukcesyi po mnie, potrafiłbym ją mniej kochać? Zdaje się, że dla niej zrobiłbym wyjątek.

Należy do trójcy kobiet, które uwielbiam i szanuję. Dwie drugie — to jej matka i Zosia.

Jedna z nich stara, druga — brzydka, trzecia — cudowna, a sam nie wiem, która w mojem sercu zajmuje pierwsze miejsce. Bodaj czy nie Marynia.



Zygmunt ma w lewem oku nerwowy tyk, jakieś figlarne mruganie, dzięki któremu w oczach niektórych osób uchodzi za koncepcistę, choć, od kiedy żyje, — nigdy myślą, mową ani uczynkiem nie zdobył się na nic figlarnego.

Przeciwnie — jest ciężki i nudny. Jednak się trochę przy obiedzie rozruszał. Marynia, mną wyłącznie zajęta, wypytywała mnie o wszystko, jak matka.

— Czemu się nie żenisz? — spytała.

— Nie żenię się dla tych samych powodów, dla jakich inni się żenią, dla jakich jeden nosi wąsy, a drugi — faworyty. To kwestya gustu.

Wszakże, niechcąc się kłócić, najsolenniej przyrzekłem Maryni, że, jak się tylko zakocham ożenię się, doniosę jej o tem i na ślub zaproszę.

— Ja nie rozumiem małżeństwa bez miłości, — rzekłem.

— To dobrze! — powiedziała Marynia, uspokojona zupełnie. Zasiedziawszy się gdzieś na wsi, jest przekonana, że się można zakochać.

To długie życie na wsi przebija się u niej we wszystkim, w mowie, poglądach i stroju.

Rzadko kiedy zwracam uwagę na to, jak się ubierają kobiety, ale tutaj niemogło mi nie wpaść w oczy, że Marynia, Bóg wie, po jakie-

mu ubrana. Wyznaję szczerze, że zrobiłoby mi to pewnego rodzaju przykrość — razem z nią ukazać się na ulicy albo w teatrze. I kapelusze ma dziwaczne, i mantylki a nawet chód i wogóle ruchy.

Ale dobra zawsze. To także w oczy bije. Dosyć jest spojrzeć na jej ukośne oczki, aby zapomnieć, jak wygląda jej suknia. Kiedy na mnie popatrzy, robi mi się jakoś przyjemnie i ciepło.

Czas szybko uciekał. Zygmunt stłumił ziewnięcie. Wstałem z krzesła.

— Zostań,— poprosiła Marynia.

— Zostań,— miękko powtórzył Zygmunt.

I znowu usiadłem. Dobra to rzecz dawne wspomnienia!

Wkońcu już i mnie spać się zachciało.

— Zobaczymy się *jutrło*? — zapytała Marynia.

— Naturalnie,— odrzekłem, — przyjdę się z wami pożegnać.

— Jakto! Odjeżdżasz?

— Tak, do Wenecyi.

— Koniecznie? *Jutrło*?

— Muszę wyjechać z Warszawy.

Krzywe oczki Maryni mrugnęły kilka razy.

— Szkoda! — rzekła z westchnieniem.— Przyjechaliśmy tutaj na tydzień. Miałam na-

dzieję, że z sobą tych kilka dni spędzimy... Szkoda!..

— Muszę, — powtórzyłem, — ja potrzebuję wypocząć. Muie Warszawa zabija, nie czuję się dobrze.

Marynia popatrzała na mnie z zajęciem.

— A! To jedź!—rzekła, — ale szkoda!— I trochę się odwróciła dla ukrycia przedemną zwilżonych oczu.

Wyszedłem od niej markotny, wahałem się i wreszcie postanowiłem jeszcze jeden dzień jej poświęcić.

Ale przy drzwiach hotelu natknąłem się na Koka; dalej zobaczyłem światło w mieszkaniu pani Heleny; wreszcie, co krok, widziałem znajome domy, szyldy, figury, i moja nostalgia wzięła górę nad chwilowem wahaniem. Moralnie chory, w rychłej ucieczce mogłem tylko znaleźć ratunek.

Ale za to, kiedy powrócę zdrów, wypoczęty i żwawy, nie dzień, ale cały tydzień poświęcę Maryni; jeżeli będzie potrzeba, nawet na wieś pojedę.

Zygmunt mi opowiadał, że mają tam dobre polowania.

Wenecya, 12 maja.

Boże! jak mi tu dobrze, jaki ten świat jest uroczy!

A dwa dni temu jeszcze znajdowałem, że wszystko szkaradne.

Jechałem, niezatrzymując się nigdzie i tak manewrując, aby w Wiedniu nawet nie nocować. Dziwny zawsze wstręt miałem do tej naddunajskiej Jerozolimy, pełnej gwaru, hałasu i niesmacznych pałaców żydowskich. Ulice tutaj zawąskie, Ringi zaszerokie, wiatr wieje wszędzie, a co krok, spotyka się malowaną i wadowaną kobietę.

Na Semmeringu padał deszcz, więc krajobrazu niemożna było widzieć. Pomimo to mocno zdeptali mi nogi jacyś turyści, którzy biegali od okna do okna, chcąc coś koniecznie zobaczyć. Co do mnie,—znajduję, że Semmering, jak i Ren albo Bosfor, używa przecenionej sławy. Za to o Neapolu, o włoskich jeziorach, albo Mesyńskiej cieśninie nigdy dość dużo opowiedzieć niemożna, — i, kiedy chwałę pierwsze, oburzam się, widząc w tem krzywdę drugich.

Szczególnie mi dokuczył jeden z turystów, jakiś szpakowaty Włoch, który wracał do kraju po szczęśliwie odbytej hydropatycznej kuracyi. Nie umiał na miejscu wysiedzieć i, wykrzykując, wciąż mi biegał po nogach, choć starałem się trzymać je pod swoim fotelem.

Był to krótki, przysadkowaty jegomość, o ry-

sach wyrazistych i wielkich, dramatycznych oczach, któremi obracał na wszystkie strony. Nie umiał mówić prosto, i każde zdanie, jakie wypowiadał, było frazesem. Przytem niemiłosiernie obchodził się z mojem cygarem, zapożyczając od niego ognia do swojej *Virginii*, która mu ciągle gasła, bo gadał za dużo.

— *Permesso?*—powiadał i, nieczekając na moją odpowiedź, wtykał swoje plugastwo w starannie wypielęgnowany i biały popiół mojego cygara.

Jeszcześmy nie byli zjechali z Semmeringu, a już miałem antypatyę do niego. Szczególnie mnie irytował jego trochę obwisły podbródek, w którym czytałem wiele zadowolenia z własnej osoby i dużo jakiejś teatralnej godności.

Po każdym frazesie Włoch szlachetnie podnosił oczy, a głowę opuszczał, wskutku czego podbródek mu się wydymał.

Pomimo wielkiej irytacyi, dopóki byliśmy w Austrii, zachowywałem się spokojnie i cierpliwie. Prawda, że rozmawialiśmy tylko o pięknych widokach.

Wieczorem przejechaliśmy granicę i stanęliśmy w kraju wysokich podatków, frazesów, brudów, mocnych zapachów, — w ojczyźnie złego wina, złych cygar, złej kuchni, — we

Włoszech, które pomimo tego wszystkiego są krajem nad krajami i cudem nad cudami.

W chwili, gdyśmy przejeżdżali granicę, mój Włoch zdjął kapelusz i, zakręciwszy oczami, zawołał:

— Witaj, droga ojczyzno, kraju jedynej i prawdziwej swobody!

Już dłużej nie mogłem wytrzymać. Dobił mnie ten szarlatan.

— Jak dla kogo! — rzekłem tonem wyzywającym. — Ja tutaj swobody nie widzę.

Włoch ciekawie na mnie popatrzał.

— Prawda, — dodałem, — że jestem katolikiem.

Włochowi zaiskrzyły się oczy z radości, widząc, że mu się sama nasuwała polityczna dyskusja; każdy Włoch rodzi się namiętym amatorem tego specyału. Dla przyjemności gadania o polityce gotów nawet zrzec się obiadu.

— Sądzę, że gorszym katolikiem od pana nie jestem, — odrzekł, — a przecież...

— Przepraszam... Czy pan pościsz?

— Nie.

— Pan bywasz na mszy?

— Nie, — rzekł Włoch, — my pod tym względem jesteśmy liberalniejsi od mieszkańców północy.

— I ta liberalność robi z was protestantów. Podstawą katolicyzmu jest posłuszeństwo.

Słowem— lody były już przełamane, i potoczyła się żywa dyskusya. Mój Włoch należał do rzędu ślepych wielbicieli ustalonego porządku rzeczy. Chwalił wszystko bez wyjątku. Unosił się nawet nad afrykańską wyprawą. Wyraziłem mu zadziwienie, że zamiast po początkowych klęskach w Massowie porzucić tę nieszczęsną sprawę obciążano kraj nowemi podatkami i dalej ją prowadzono.

— Musieliśmy pomścić naszych bohaterów z Dogali.

— Należało powiesić tego, który rozpoczął tę sprawę a byliby pomszczeni.

Włoch z niezadowoleniem pokręcił głową. Dla strawienia obiadu chciał trochę podyskutować, a tu jakiś szaleniec wyplatał mu takie pieprzne rzeczy.

— Tu niema mowy o zemście,— dodałem,— Abisyńczycy tylko się od was bronili. Korzystając z tego, że od was słabsi, przychodzić do nich, zbrojni w armaty, aby im wydrzeć ich ziemię, ich chleb i bogactwa.

Na to Włoch zaczął rozprawiać o misyi cywilizacyjnej, o krzewieniu chrześcijaństwa, o tem, że każdy żołnierz jest kapłanem oświaty.

Słowem powtarzał szumne frazesa, na które

tyle dobrodusznych ludzi daje się łapać we Włoszech.

Nie był jeszcze całej swojej porcyi politycznej mądrości wygadał, więc długo jeszcze dowodził. Upajał się własnymi słowami.

— Panie, — rzekłem wkońcu zniecierpliwiony, — wy, południowcy, zanadto się dajecie porywać uniesieniom słuchu. Pusty frazes, byleby był szumny, już was zachwyca. Dlatego to u was rej wodzą a dwokackie gęby, Rabagasy bez czci, bez wiary, bez zasad i patryotyzmu...

Uniosłem się, ale to mi się zawsze trafia, gdy się wdam z głupcem.

Niedarmo to cytują odpowiedź zdyszanego żyda.

— Czemużeś się tak zasapał? — spytano go.

— Nu! Bo ja z durniem gadał, — odrzekł.

Mój Włoch milczał z godnością.

— Nie rodziliście się na żołnierzy o tem przekonaliście już świat i nawet Austryę, choć z łaski Napoleona III-go musiała przed wami ustąpić. Wasze zadanie jest inne, wznioślejsze. Wobec niego wszystko jest marne, a w niem nie macie współzawodników. Widzimy, co wydały wasze drobne państewka pomimo wewnętrznych zatargów i sąsiedzkich najazdów. Gdzie rzucić okiem, wszędzie arcydzieła, pomniki... Co znaczy podbój Abisynii wobec

jednego płótna, rzeźby albo katedry? Zamiast zabijać i niszczyć waszem zadaniem jest tworzyć. Innej misji nie macie. A jeżeli koniecznie potrzebujecie dźwięku żywego słowa, zamiast okłamywać siebie szumnemi frazesami szarlatanów w cieniu waszych portyków 'przy szmerze pięknej fontanny czytacie w głos waszych poetów. Słuchaczy wam niezabraknie, bo każdy z was czytać umie. Wtedy jaśnieć będziecie światłem prawdziwym, wtedy będziecie potężni, zapanujecie nad światem i uczyć będziecie narody.

Pomimo nieprzyjemnych rzeczy, jakich się odemnie nasłuchał, mój Włoch był zadowolony, widząc, z jakim uniesieniem przyznawałem jego narodowi pierwszeństwo w dziedzinie sztuki. Każdy Włoch jest artystą, zna i ocenia skarby, jakie posiada, i słusznie.

Tymczasem dojechaliśmy do Wenecyi.

Przespałem się doskonale, pokój mam wielki i piękny, a okna moje wychodzą na Wielki kanał.

Tak mi tu dobrze, iż nie chcę nawet wyjrzeć na miasto.

Chociaż nie lubię gotyku, dla Wenecyi robię wyjątek. Trudno być nieczułym na widok jej pałaców. Dzięki bujnej fantazyi, marmurom i silnie koloryzującej naturze Wenecyanie potrafiliby ożywić i rozweselić ponury typ gotycki.

Na kanale cicho. Od czasu do czasu sły-
chać tylko mierzone pluskanie wiosła, albo
gdzieś z bocznego kanału dolatuje przeciągłe
nawoływanie *gondoliera*.

Woda i marmury odrzucają słoneczne pro-
mienie.

Patrząc na tę pstrokacizną, rozsypaną doko-
ła, uczuwam jakieś rozkoszne znużenie, jakiś
stan napółsenny, usposobienie do złotych
marzeń, jakby po zażyciu *haszyszu*.

Taine słusznie powiada, że, chociażby się
zwiedziło wszystkie cuda Włoch, po przyby-
ciu do Wenecyi żałujemy, żeśmy przyjechali
tak późno, że się tyle czasu straciło.

Pominąwszy arcydzieła, jakie tutaj nagro-
madzono, Wenecya ma jakiś czar własny, któ-
ry napełnia duszę.

Byłem tu kilka razy, a czuję się wzruszony,
jak wówczas, kiedy po raz pierwszy zwiedza-
łem Wenecję. W duszy mi grają młodzień-
cze zapały, nie mam czasu myśleć o sobie
i boleć nad przykrostkami, któremi najeżo-
ne jest najprzyjemniejsze nawet życie.

Dobrze mi tu, lekko, swobodnie, szczegól-
nie—że czuję się sam, że mi nikt nie będzie
zawadzał. Około południa wyszedłem na mia-
sto, naturalnie w stronę Świętego-Marka i pa-

łacu Dożów. Wszystko promienieje wesoło pod czystym, lazurowym niebem.

— Śniadanie o wpół do pierwszej,—powiedziano mi, kiedym wychodził z hotelu.

Ale niema głupich. Nienawidzę hotelowych *table d'hôte'ów*. Te wielkie żłoby, wzdłuż których tłoczy się pstry łańcuch zgłodniałych turystów, są dla mnie rzeczą wstrętną. To też śniadanie zjadłem w mieście. Dzięki długiemu pobytowi Austryaków kuchnia tutaj dość znośna. Prócz kuchni Wenecya Austryakom zawdzięcza jeszcze muzykę. Koncerta na placu Świętego-Marka bywają zupełnie dobre, instrumenta podobierane starannie, a w wykończeniu kawałków jest dużo niemieckiej sumienności.

Po skończonym koncercie począłem się błąkać po mieście. Śliczne są tutejsze wąskie uliczki, ujęte we dwa rzędy sklepowych wystaw. Przytem są czyste i wybrukowane dobrze.

W okolicy Rialto poszedłem za ładną jasnowłosą Wenetką, która mi przypomniała Zosię. Na nieszczęście niedługo się mogłem jej widokiem i ciepłym kolorytem twarzy lubować, bo, minawszy kilka ulic, weszła do jakiegoś domu.

Machinalnie powróciłem na plac Świętego-Marka.

Ale niema kąta na świecie, do którego by nie zawiąło Warszawą.

— Oto niespodzianka!—zawołał za mną jakiś znajomy głos.

Oglądam się.

Przedemną stoi ogromny i rozpromieniony Zercio! Na jego ramieniu wisi malutka jego żona, Aurelka; wisi i uśmiecha się.

Aurelka uśmiecha się wieszycie. Ten uśmiech nie jest bezwiedny. Przeciwnie, wie o nim i pokazuje go... niechaj się ludziom wydaje, że ona coś bardzo głębokiego i tajemniczego ma na myśli.

— Znasz moją żonę?—pyta Zercio.

— Znam! Znam!.. ale znam!

Następują objawy zobopólnej radości z niespodziewanego spotkania.

Aurelka jest wszystkim dla Zercia. Upatruje on w niej otchłań doskonałości. Pominąwszy ten defekt, to dobry chłopiec.

Ale za to Aurelka nie jest dobrą kobietą. Przytem—próżność jej nie ma granic. Przekonana, że zrobiła mezalians, często mężowi to wyrzuca i przekonała go już zupełnie, choć nigdy się tego nie domyślał w początkach. Dziś za to—tylko żałuje, że nie ma dziesięciu kolan, aby na wszystkich móż klęczeć przed żoną.

— Musimy koniecznie zejść się kiedy,—mówi Aurelka,—ja panu Wenecyę pokażę.

— Doskonale tłómaczy,—powiada Zercio,—bawimy tu od tygodnia, a ona już wszędzie jakby u siebie. Wczoraj właśnie księżna Hortensya...

— Albo co?—zawołałem.—I ona tu jest?

— Jest,—mówi Aurelka.—Chodź pan dziś z nami do niej na herbatę. Biorę to na swoją odpowiedzialność...

— Nie mogę,—rzekłem.

— Czemu?—pyta Zercio.—Na co te ceremonie... a zresztą to twoja kuzynka.

— O, daleka... taka daleka, że mam prawo nie pić jej herbaty.

— Boi się panien,—powiada Aurelka z dyplomatycznym uśmiechem.

— Bynajmniej,—mówię,—panna to jeszcze jedna z ładniejszych rzeczy na świecie... byleby nie była podrobiona.

— Oho! nawraca się! — woła Zercio.

— Trzeba go będzie inaczej przezwąć — szczebiocze Aurelka.

W świecie, z łaski znanego wstrętu, jaki mam dla małżeństwa, przewano mnie „starym wróblem.“

— Ale,—dodała Zerciowa,—księżna gotowa się gniewać na pana...

— To będzie coś niezwykłego, — przerywa

Zercio, — bo księżna tak zawsze łagodna, dobra, łaskawa, względna...

W Wenecyi na placu Świętego-Marka obok pałacu Dożów i cudnej *loggiatt'y* tych dwoje brzękałek paplało o księżnej Hortensyi! Byłem oburzony!

Gdyby przynajmniej ta biedna Hortensya odznaczała się czemkolwiek! nie!..

Prawda! ma trzy namiętności: namiętnie lubi herbatę, namiętnie gada i namiętnie się zajmuje sprawami kościoła. Choć trudno jest służyć dwom panom, ona aż trzem umie podołać. To też uciekam od niej zawsze i wszędzie.

— Nie idziesz? — pyta Zercio.

— Nie.

— Dziwak z ciebie.

— Dziwak.

— Szkoda, tem większa, że pan już nawrócony, — mówi kuta Aurelka. — Będzie parę panienek.

Znałem je wszystkie, i ckliwo mi się zrobiło. Naraz mi przed oczami stanęły karnawałowe warszawskie baliki, poczułem zapach ciepłych kolacy i pudru, posłyszałem dźwięki balowej muzyki i odczytałem w pamięci przymilajacem się piórem pisane kurjerkowe sprawozdania z wieczorów, z których każdy najlepiej się udał przy udziale *x* par, bawiących się z ochoczością, podniesioną do potęgi *y*.

I Kocia, i Ludwisia, i Józia były w Wenecyi!
Po co?

Czułem się niejako zgwałcony w moich prawach własności. Przed chwilą uważałem Wenecję za jakąś swoją osobistą świętość, której strzegłem z zazdrością, a tu — coraz więcej osób poczynało wciskać się w moje prawa. Najprzód Zerciowie z księżną Hortensyą, a potem te niedobitki karnawałów, jakieś Kocie, Józie, Ludwisiel..

Były to wprawdzie kuzynki Aurelki, kwiatki, wyhodowane starannie, panienki z fortepianem, rysunkiem i kilkunastu tomami angielskich powieści, ale sam instynkt estetyczny nakazywał o nich zamilczeć wobec poganina z czasów Medyceuszów i Leona X-go.

Długa przejażdżka gondolą uspokoiła mnie. Pływałem po Wielkim kanale, mijając łodzie, pełne śpiewaków i muzykantów. Gdy mnie głos jaki więcej zajmował, kazałem zatrzymać się gondolierowi.

Jeden szczególnie głos kobiecy zwrócił moją uwagę. Silny, okrągły i czysty, cudownie falował po wodzie.

Repertuar śpiewaczki nie był bogaty, ale, chociaż się powtarzała, słuchałem jej z rozkoszą.

Prawda, że niema na świecie skrzyni instrumentowej, tak misternie złożonej, jak Wenecya.

Po bokach kamień i szlifowane marmury pałaców, jako dno, — lekko pofalowana woda, jako sufit, — przestrzeń bez końca, a wszystko jak wąż, wykręcone.

To też w żadnym teatrze ani koncertowej sali głos się nie odbija, jak tutaj. Po pierwszych nutach dreszcz przejmuje słuchacza. Zda się, że jakiś prąd nadprzyrodzony przebiegł przez całe ciało, i wstrząsnąwszy wszystkimi nerwami, powiększył do nieskończoności ich zdolność odczuwania.

Czujemy i lekkość, i niemoc. Pragniemy słuchać tych dźwięków, a jednocześnie mamy świadomość, że za długo ich słuchać niemożna, bo to wrażenia za silne, bo po nich nastąpi omdlenie, obłąkanie albo nawet śmierć. Siły opadają, dreszcze powtarzają się coraz częściej, i wydaje się, że ciężkie przed chwilą ciało, zatracając wszystko, co było materią zwołaną się przemienia w jakąś istotność duchową. Widzimy żywych artystów, słyszymy rzeczy znane, często — banalne, a mimo to wyobrażenia unosi w krainę nadprzyrodzonych fantazji, i dochodzi się do tego, że się niewie, czy to śpiewają anioły, czy też kuszą złe duchy.

Po prostu robi się straszno.

Uciekłem na plac Świętego-Marka. I tutaj zastałem koncert, ale — pod stopami czułem twarde kamień, dokoła widziałem rojących

się ludzi. Nietak tu wprawdzie ładnie, jak na kanale, ale za to—weselej i bezpieczniej.

Plac wygląda jak salon. Pięknych kobiet dużo. Dźwiękom muzyki wtóruje śpiewna mowa wenecka. Śmieją się z niej Włosi z innych prowincyi, wszakże nikt jej nie odmawia uroku.

A tymczasem Zerciowie spijają herbatkę księżnej!

Niech żyje celibat i wolność! Gdybym miał żonę, zamiast słuchać koncertu na placu i ja-bym dla niej powłókł się do Hortensyi.

Piszę przy otwartem oknie. Na kanale ciemno i cicho; żadne wiosło się nie porusza, a serenady już dawno zamilkły. Takiej ciszy nie znają i na wsi, bo drzewo zaszumi, zaszaleści trawa, albo świerszcz zaśpiewa.

Tu nic się nie poruszy... chyba tylko duchy po nad wodą latają.

Już więcej nie będę słuchał serenad na kanale. Bóg wie, co mi się roi po głowie.

Podłe te nerwy!

Zamknąłem okno i pozapuszczałem franki.

13 maja.

Leżałem jeszcze w łóżku, gdy Zercio wszedł do pokoju. Pokazuje się, że w tym samym hotelu stoimy.

Codzień miłe niespodzianki.

Aurelka ubiera się, a ja z tego korzystam. Zercio przyszedł do mnie na kawę.

Zercio gada, ja się tymczasem ubieram i otwieram okna. Pogoda cudowna.

Herbatka u księżnej udała się wybornie; Ludwisia śpiewała, potem Kocia usiadła do fortepianu... wreszcie uproszono Aurelkę, aby coś zaśpiewała. Aurelkę trudno uprosić, ale księżnej odmówić nie mogła i zaczęła śpiewać. Naturalnie Kocia z Ludwisią odrazu w kąć poszły. Było bardzo wesoło, a sama księżna, dziwnie uprzejma, każdemu powiedziała coś przyjemnego; Aurelce nawet coś wspomniała o dalekiem z nią powinowactwie. Trudno doprawdy być miłszą.

Wziąłem Zercia za rękę i przyprowadziłem go do okna.

— Patrz!—rzekłem.

Świeże powietrze płynęło strugami, woda kanału iskrzyła się na słońcu, jak łuska olbrzymiej ryby. We wszystkich kierunkach sunęły gondole. Na rzeźbione balkony pałaców, na ich marmury, gzymsy, na fantastyczne rozety padały snopy światła złotego, czerwonego, niebieskiego... Było w tem coś czarodziejskiego.

Ale Zercio tego nie widział. Patrzył na mnie, nierozumiejąc, o co mi chodziło.

— Patrz! — powtórzyłem. — I wobec tych cudów ty śmiesz mi opowiadać o tej nudnej babie?

— Dlaczego nudna? — zaprotestował Zercio.

— Dlaczego woda jest mokra? Dlaczego ogień pali?.. bo taka jego natura! Ależ na samo wspomnienie waszego wieczorku mnie tutaj pod gardłem coś dławi.

Zercio ruszył ramionami.

Zapaliłem fajkę na długim cybuchu, i zasiedliśmy do kawy.

Zercio nie bez zazdrości popatrzał na moją fajkę, bo to rzecz smaczna, której sam niegdyś z zapalem hołdował. Wszakże, wytresowany przez żonę, poczuł się w obowiązku wykrzyknąć:

— Fajka! Ty palisz fajkę!

Biedak palił już tylko bardzo cienkie papierosiki, w których było więcej papieru, niż tytoniu. Żona mu na nic innego nie chciała pozwolić; w dodatku kazała mu papierosy nazywać *cygaretkami*, bo to wykwiutniej brzmiało.

— Pal! pal spokojnie,—rzekł po chwili Zercio z dobrodusznym uśmiechem.— Nie powiem o tem Aurelce.

Są jeszcze ludzie, którym się wydaje, że ja się na czyjekolwiek zdanie oglądam.

— I Hortensyi nie powiesz?—zapytałem.

— Nie powiem.

— Dziękuję ci, mój jedyny! Gdyby się dowiedziała, byłoby to okropne! Pomyśl tylko! księżna!..

Zercio zaczął się śmiać.

— Wiem,—odrzekł,—że bawisz się w demokrację. Tobie to wolno z twojem nazwiskiem, to nawet ma swego rodzaju szyk...

— Zanadto jestem artystą, aby być demokratą albo arystokratą. Umiem się po nad tem utrzymać. Wszakże, we wszystkim szukając harmonii, sędzę, że, jak na obrazie nie można wszystkiego ustawiać na pierwszym ~~z~~ planie, tak samo i w społeczeństwie potrzeba ludzi rozstawiać na rozmaitych szczeblach. Inaczej perspektywy niebędzie. Czy możesz sobie wystawić pałac, któregooby wszystkie piętra były równej wysokości? Byłoby to rzeczą, potwornie jednostajną. Arystokracja jest potrzebna dla oka: społeczeństwo powinno się przedstawiać, jak piramida o mocnej, szerokiej podstawie, zakończona ostrym szczytem. Wymagam jednak od niej prostoty, bo nienawidzę maniery. Dlatego też nigdy nie dam się spętać w kajdany, które, chcąc poprawić naturę, świat ukuł z tysiąca drobnostek, przesądów i utartych zdań, bo to fałszywe, brzydkie, niezdrowe, powykręcane... niby ko-

lumny i baldachim w kościele Świętego Piotra w Rzymie.

— A!—zawołał Zercio.—Ty się dziś ze mną koniecznie chcesz pokłócić! My właśnie z Rzymu wracamy. Ten ołtarz jest arcydziełem...

— Tak, jeżeli chodziło o pokazanie, jak wygląda bronz, kiedy kolek dostanie.

— Jednak Aurelka mówi...

— Maniera, mój drogi, maniera...

— Jak dla kogo,—odrzekł Zercio, który nie chciał pozostać bez odpowiedzi.

I słusznie robił, że coś chciał odpowiedzieć. Porzucił swoje gospodarstwo, obwiózł żonę po całych Włoszech, oglądał, aż mu kark zbrzękł od zadzierania głowy, wydał dużo pieniędzy, w Bolonii spotkał profesora Jołopińskiego, z którym cały wieczór przepędził... i po tylu ofiarach nie miałby dzisiaj prawa utrzymywać rozmowy, zawadzającej o sztukę?

— Ale z tobą tak zawsze,—dodał z uśmiechem,—niemożna nigdy wiedzieć, czy ty mówisz poważnie, czy może tylko żartujesz. Niedarmo to wczoraj u księżnej Aurelka porównywała ciebie do Koka.

— Do jakiego Koka?—spytałem.

— Wiesz, ten, co to tak zabawnie śpiewa. On także nigdy nie mówi seryo.

Wyglądało teraz na to, że to Zercio chciał się ze mną kłócić. Koko i ja! Ja i Koko!

Głupia Aurelka.

— Nie zapomnij,—odrzekłem, — podziękować żonie za porównanie.

— Trafne? Co?.. O, moja Aurelka w dwóch słowach umie określić, naszkicować, zestawić... Ona to nazywa *paralelami*.

— Żeby ją djabli wzięli razem z jej paralelami,—myślałem.

Ale djabli niegłupi. Oni Aurelki nie wezmą.

Zercio wstał z krzesła i spojrzął na zegarek.

— Oho! Muszę iść, — zawołał, — Aurelka już gotowa.

— Nie przyjdiesz dzisiaj do księżnej?—zapytał, zatrzymując się przy drzwiach. — Ładnie poprosimy Aurelkę, to nam znowu zaśpiewa. Czy ty ją kiedy słyszałeś?

— Słyszałem. Do dziś dnia pamiętam.

— Prawda? Co to za głos!.. Ja zawsze ją porównywał do naszego Pioruńskiego.

— Tak?.. No, to przestań porównywać.

— Czemu?

— Bo „nasz niezrównany“ Pioruński śpiewać nie umie.

— Zmiłuj się, ten król słowików?

— Albo słowik królów. Tak, on nie śpiewa, ale krzyczy.

— Co ty mówisz! — zawołał Zercio, — ty wiesz, co kosztuje krzesło, kiedy śpiewa?

— Mnie nic nie kosztuje.

— Jakim sposobem. Znasz go?

— Znam, więc na jego koncerta nie chodzę.

Zercio otworzył gębę i wytrzeszczył na mnie oczy. Wtem nagle parsknął od śmiechu.

— Prawda! — rzekł, — zapomniałem... Nigdy seryo!.. Opowiem Aurelce... Drugi Koko! — I pobiegł do swojej gąski.

A jednak to dobry chłopiec.

Dlaczegoż nawet poczciwi tak się zawsze urządzają, aby zrobić mi przykrość?

Ja tego Koka strawię nieprędko.

Wieczór spędziłem w teatrze. Dawano „Favorytę“.

Stare to, oklepane, ale dało mi sposobność posłyszania rodaczki z Lublina.

Artystka zapragnęła nosić włoskie nazwisko, więc, stosując się do utartego zwyczaju, zitalianizowała pierwsze lepsze imię, jakie się jej nasunęło.

Nazywa się Zdzisławini.

Zdawałoby się, że z takim nazwiskiem można świat objechać.

Na nieszczęście końcówka na *ini*, *oni* lub *ani* niezawsze zastąpi talent i metodę. To też wenecka publiczność z pewną nieufnością słuchała trelów panny Zdzislawini.

Dowiedziałem się o jej sławie, w zimie jeszcze, dzięki naszym dobrze poinformowanym dziennikom. Oznajmiały one szerszej publiczności, że na artystycznym niebie ukazała się nowa „nasza gwiazda“, która z powodzeniem rozpoczęła występy na pierwszorzędných scenach zagranicznych.

Straszna rzecz, ile to naszych gwiazd przyświeca zagranicznym krajom, chociaż tam o nich nie niesłychać.

Panna Zdzislavini nie podobała się publiczności. Raz nawet wyrwała się z jej gardła dziwna jakaś kombinacya tonów.

Poczęto sykać, ktoś gwiznął przeraźliwie.

Żal mi się zrobiło biedaczki, lzy zakręciły się jej w oczach.

Ale sama sobie winna. Kto kazał jej śpiewać?

Sądzę, że, gdyby nawet była sobie przybrała bardziej włoskie nazwisko, jakies *Kluskoni* albo *Pierogini*, i toby się jej na nic nie przydało.

Przedstawienie zrobiło zupełne *fiasco*. Wszakże nie żałuję wieczoru, bo, rozglądając się po lożach, widziałem kilka pięknych główek.

14 maja.

Przypomniawszy sobie dziś rano dawną znajomą, margrabinę Giovannotti, wybrałem się do niej z wizytą. Zaraz mnie zaprosiła na wieczór, z którego teraz powracam. Widziałem tam dużo osób, kilka ładnych Włosek, dwóch literatów, malarza i jednego muzyka.

Włosi zaczynają oswajać się z Wagnerem; wkrótce będą go lubili.

Pomimo artystyczno-literackiej przymieszki wieczór niewiele się różnił od naszych wieczorów. Nowinki i ploteczki, których zresztą z przyjemnością słuchałem, bo je opowiadano tą śliczną wenecką mową.

W dodatku dla samego apartamentu warto było pójść na ten wieczór. Przedpokój, wschody, salony,—wszystko wspaniałe. Na sufitach dobre freski.

Dzisiaj już zatracono tajemnicę tych harmonijnych proporcji w mieszkaniach, tego stosunku rozmiarów drzwi i okien do wysokości i wielkości pokojów. Dzisiaj często widzimy sale, zdumiewające ogromem, pokoje, bardzo

wysokie, ale nigdzie niemożna dopatrzeć się ogólnej harmonii.

15 maja.

Coś pani Aurelka zaczyna zaczęsto się ubierać. Zercio przychodzi do mnie corana.

Ale dziś byłbym mu pomnik postawił za wiadomość, jaką mi przyniósł. Do tej pory nie mogę się uspokoić.

Zosia przyjeżdża do Wenecyi!

Przyjeżdża sama, bo Anglik wybiera się do Karlsbadu. Będzie tu brała kąpiele i ma zamieszkać pod opiekuńczem skrzydłem Hortensyi, której nieboszczyk mąż był wujaszkiem męża Zosi.

Ponieważ i mnie na moją wrażliwość zalecają morskie kąpiele, pójdę za radą lekarzy, bo nie mam pretensyi mieć więcej od nich rozumu. Zostanę tutaj przez lato.

Zercio zasługuje na miano Chryzostoma, skoro opowiada rzeczy, takie śliczne.

— Dobry z ciebie chłopiec,—rzekłem.—Muszę ci kupić fajkę. Będziesz ją tutaj palił przy kawie w sekrecie przed żoną.

Zerciovi aż zaświeciły się oczy, ale westchnął tylko i potrząsnął głową.

— Nie powiem twojej żonie,—zawołałem, chcąc go uspokoić.

— Nie mogę mieć dla Aurelki tajemnic.

— Fajka nie stanowi grzechu. Paląc ją, żony jeszcze nie zdradasz...

— Mam zwyczaj ze wszystkiego się przed nią spowiadać.

— To ją zanudzisz.

Zercio uśmiechnął się z politowaniem.

— Ożeń się,—rzekł,—a zobaczysz, co to jest dwie dusze, zlane w jedną, co to dwa serca, jednym tętnem bijące!

Słowem —odrzuć moją wspaniałomyślność i fajki nie chce stanowczo.

To kawałek męczennika ten Zercio!

✧ Poświęca się! i to dla tej nieznośnej Aurelki, która z pewnością inaczej zapatruje się na małżeństwo. Ona dusze rozgranicza, nie daje się im zlać w jedną, czując się tak we wszystkim wyższą od męża!

Za to obojgu jedno tylko służy serce. Aurelka serca nie ma.

Trzeba będzie wybrać się do Hortensyi.

Czego ja dla Zosi nie zrobię?

Dla Zosi pocałowałbym Józię, Kocię, Ludwisię... ba! samą nawet Aurelkę!

Po południu pomimo gorąca powędrowałem do Hortensyi.

Była sama. Na stole obok niej stała fili-

żanka z herbatą. W kącie syczał samowar. W ręku trzymała jakiś ultramontański dziennik.

Hortensya rzuci ojca i matkę, ale samowara nie rzuci. Wozi go z sobą do Paryża, Ostendy, przywiozła go do Wenecyi, a gdyby od niej uciekł do Nowej-Kaledonii, pojechała by za nim do Nowej-Kaledonii.

Hortensya świat ujrzała w szlacheckiej rodzinie, to też nigdy o tem nie zapomina, że jest księżną, i do swojej mitry przywiązuje daleko więcej wagi, niż inna, która urodziła się już z mitrą na głowie.

Podrażniło ją to, że, bawiąc od kilku dni w Wenecyi, nie byłem dotąd u niej dla złożenia atencji.

Przyjęła mnie z godnością.

— Jak się masz?—zapytała oziębło.—Dawno tu jesteś?

— O! bardzo już dawno, — odrzekłem. — A ty?

— Także dawno. Może usiądziesz? — dodała, wskazując na fotel.—Choć na chwilkę... wiem, że drożysz się ze swoim czasem...

Można było za jej pomocą robić lody, takim od niej wiało chłodem.

Jedną wszakże z jej namiętności jest potrzeba gadania.

Oddawszy więc mitrze, co należało się mitrze,— rozweseliła wymiętą i pomarszczoną twarzyczkę i rzekła:

— No! siadaj już, siadaj... i nie graj kome-dyi. Prawda? Cieszysz się, że mnie wi-dzisz?

— Ogromnie.

— Dobrze więc, pogadamy. Tak dawno się nie widzieliśmy.

I zaczęła się rozmowa.

Hortensya dawno już nie była w Wene-cyi.

— Ostatni raz tutaj byłam, za dobrych je-szcze austryackich czasów.

— Żałujesz tych czasów?

— Spodziewam się! Dawniej Włochów lubi-am, ale, od kiedy zajęli Rzym, nie mogę ich cierpieć. I w Rzymie od tej pory nie byłam. Czy uwierzysz, że Ojca Świętego tylko znam z fotografii? Coroku wybieram się do Rzymu i coroku niestarczy mi odwagi na myśl, że teraz tam gospodarują włoskie mundury. Wszystko się we mnie przewraca.

— A jednak tu przyjechałaś.

— Dałam się namówić. Zresztą Wene-cya to nie Rzym. Ale i tutaj nie wrócę... Wczoraj ktoś gwizdał na ulicy marsza Ga-ribaldi'ego.

— Czy dobrze gwizdał?

— Żartujesz... To wszystko nieznośne...
Nawet listów pisywać nie mogę.

— Jakto? Wcale nie?

— Chyba w naglącej potrzebie.

— Zkądże ta wstrzemięźliwość?

— Mam skrupuł. Zawsze mi się wydaje, że, przyklejając pocztową markę z wizerunkiem przedstawiciela obecnego nierzędu i gwałtu, niejako ten gwałt i nierząd uznaję, solidaryzuję się z nimi. Bałam się nawet, czy, gdy dotykam ustami tej marki, nie spada na mnie część ekskomuniki, jaka ciąży na całym tym nieszczęsnym kraju, bo, bądź, co bądź, dotykanie ustami jest oznaką przywiązania, pocałunkiem.

Głupia baba!

— Ale pytałam się księdza, ten uspokoił mnie, nawet się śmiał z mego skrupułu. A jednak chwilami jeszcze napastują mnie wątpliwości, i nie wiem, czy ten ksiądz dobrze zgłębił tę kwestyę.

— Na to rada nietrudna,— odrzekłem,— nie frankuj listów.

— Ludzie powiedzą, że skąpa. To nieprzyjemne.

16 maja.

Deszcz!

Niebo nadąsane, Wielki kanał wygląda szkaradnie.

Plac Świętego-Marka upstrzony mikroskopijnymi jeziorkami.

Nogi mam zamoczone, na jutro zapowiada się katar, a zły humor już dzisiaj we mnie nurtuje.

Piękne wczoraj pałace, dziś pokryte plamami od deszczu, wyglądają, jakby trędowate.

Przez okno niechce się wyjrzeć.

Brzydko, ponuro i nudno.

Przechodząc około księgarni, wziąłem „*la France juive*.” Nie znałem jeszcze tej książki. Mam dziwny brak zaufania do wszystkiego, co nagle nabiera rozgłosu. Musi to być coś głupiego, kiedy się tak ludziom podoba.

Z nudów poszedłem do Zerciów; z nudów po pięciu minutach od nich wyszedłem.

Zjem obiad w hotelu. Tymczasem wezmę się do czytania.

Pierwszy raz dzisiaj widziałem, jak wygląda *table d'hôte* w moim hotelu.

Ciekawe typy!

Na końcu stołu siedzieli Zerciowie. On — z duszą, zlaną z jej duszą, ona, jak zawsze grymaśna.

Usadowiono mnie na drugim końcu. Spojrzałem na lewo, — jakaś stara Niemkini; na

prawo, — najpyszniejsza w świecie Kreolka z aksamitnymi oczami.

— Piękną dziś mamy pogodę, — rzekłem, czasu nietracąc.

Spojrzała na mnie i, zrobiwszy w duchu inwentarz całej mojej osoby, odpowiedziała uprzejmie:

— Szkaradny czas.

Gdy podawano rybę, nie mówiliśmy już o pogodzie.

Zercio uśmiechał się do mnie z końca sali. Aurelka była zaintrygowana.

Prawda, że między mną a Kreolką rozmowa nie ustawała, a ożywiając się z każdą chwilą, doprowadziła nas do śmiechów.

Zercio spojrzała na nas zawistnym okiem; po jednej stronie miała męża, który dawno przestał ją bawić, po drugiej — siedział stary Anglik, który wybierał z półmiska najlepsze kawałki i do nikogo słowa nie mówił.

Po obiedzie, przechodząc koło mnie, Zercio trącił mnie łokciem.

— Rozbójniku! — rzekł cicho.

Popatrzałem na niego zdziwiony.

— Przyznaj się... uszczypnąłeś? — i oczami na Kreolkę wskazywał.

Ruszyłem ramionami.

— Nie? — spytał znów Zercio.

— Nie.

— Więc czemużeście się tak śmieli?—I pobiegł za swoją Aurelką.

Przeszliśmy do salonu, gdzie z godzinę przegawędziłem z moją ładną Kreolką.

Nazywa się Mercedes. Mieszka w Buenos-Ayres, ma rodzinę, męża i miliony. Od wczoraj bawi w Wenecyi.

Po co tu przyjechała? Dlaczego w domu nie siedzi?.. nie wiem, a trudno się dopytywać na wstępie znajomości.

Wygląda, jakby osamotniona. Rozmawia śmiało z odcieniem kokieteryi.

Mimo to nie robi wrażenia kokoty. Oczy jej coraz aksamitniejsze.

17 maja.

Deszcz, wietrzno, nawet zimno. To życie jest pasmem zgryzot, a Wenecya najsmutniejszym z miast, gdy niema słońca.

Wesołem i pięknem jest tylko słońce, a jego tak mało na świecie.

Nawet Zercio dziś rano nie przyszedł. Szkoda! byłby mi zrobił przyjemność, bo zacząłem przywykać do tego pustego gadania przy kawie, szczególnie że Zercio ma głos przyjemny, nie śpieszy się i, nie zastanawiając się nad tem, co mówi, nigdy się niezająknie. Wszakże słuchanie go wymaga dopełnienia je-

dnego warunku: nietrzeba uważać na to, co mówi.

Przeczytałem kilka rozdziałów „Naśladowania”. Bardzo lubię to dzieło, które nas uczy, że wszystko na tej ziemi jest niczem.

Jak Hortensya wszędzie wozi z sobą samowar, tak ja nigdzie nie ruszam się bez tej książki. Posiadam ją w kilku językach i stosownie do chwilowego usposobienia czytam półgłosem z egzemplarza polskiego, francuskiego, włoskiego.

Dzisiaj wziąłem angielski. Szare niebo, ślota, mgła, która nie może się odlepić od domów, wszystko to, przypominając mi angielską wilgoć, pokierowało moim wyborem.

Poczem znów powróciłem do *France iuive*. Jest to dzieło odważnego desperata albo też pomysłowego żydka, który skandalem wyłudza chrześcijańskie pieniądze i robi *geszest* krociowy.

W każdym razie moja głowa nabita żydami, jak synagoga.

Odechciało mi się Zercia. Czuję potrzebę gawędy nie dla samej przyjemności słuchania dźwięków, ale i dla dyskusyi.

Poślę po doktora Bondini. Jest to miły

gadała, zwolennik nowego porządku rzeczy we Włoszech, jak mój towarzysz podróży, ale przytem inteligentny jest i wykształcony.

Pogoda taka nie może mi służyć. Muszę być niezdrów. Poślę po niego, zapłacę dwadzieścia franków, ale będę miał za to dość przyjemną z nim rozmowę.

Jak Jan Kazimierz, urodziłem się „pod smutną gwiazdą“.

Bondini nie przyszedł, nie mógł, bo umarł.

Szkoda! Tak się cieszyłem, że z nim pogawędzę.

Zastukano do drzwi.

— *Favorisca!*—krzyknąłem.

Do pokoju wszedł młody i bardzo przystojny chłopiec, elegancko ubrany.

— Jestem lekarzem, — rzekł, — i zięciem doktora Bondiniego, po którym objąłem praktykę.

— Dziękuję panu, ale w tej chwili mi lepiej... Zresztą chodziło mi głównie o zobaczenie pańskiego teścia, którego znałem oddawna. Nie raz długie miewaliśmy z sobą dyskusye.

Doktor popatrzał na mnie i zaczął mi się

przypatrywać ciekawie. Potem obejrzał książki, na stole leżące.

— Siadaj pan,— rzekłem i podałem mu cygaro.

Usiadł, i zaczęliśmy rozmawiać. Doktor przedewszystkiem jest Włochem i gadać lubi.

Stary Bondini musiał większą część swojej praktyki przenieść z sobą do wieczności i niewiele roboty zostawił zięciowi, skoro ten może mi tyle czasu poświęcić.

To chłopiec, bardzo miły, tenladny doktorek. W rozmowie szuka dyskusyi, bo mu pozwala rozwijać swoje poglądy, które są wręcz przeciwnie tym, jakie teść jego wygłaszał.

We Włoszech wszystko idzie najgorzej. Należy je z gruntu przerobić, a to, co jest, wyrzucić. Kościół, płaczkliwie się dopominający o swoje prawa, to niewinny i zdzięcinniały staruszek, któremu należy się wdzięczność za to, że w wiecznej trwa opozycji przeciw dzisiejszemu porządkowi rzeczy.

I tam dalej, i dalej...

A jak on mówi prześlicznie, jak mistrzowsko wytrzymuje pauzy, jak cieniuje intonacją głosul Akcent ma rzymski.

Słucham go z przymkniętymi oczami i rozkoszuję się.

Mój doktor artystycznie wymawia wyraz—

ma, po którym zwykle pauzuje. W tym jednym wyrazie mieści się cała symfonia.

Prędej czy później musi on dostać się do izby deputowanych. Za głosem tym pójdą tłumy, chociażby brednie wyplatał. Jeżeli go nie obiorą posłem, będzie to tylko dowodem, że zmysł estetyczny zaciera się we Włoszech.

W każdym razie na dobrej jest drodze do izby, a nawet i do teki. Poglądy ma, takie skrajne. Dzisiaj głosi je z młodzieńczym zapałem, jutro będzie je rozwijał na zimno dla zrobienia kariery. Wymowni burzyciele są straszni,—więc należy ich sobie ująć. Za to z urzędowej *klaki* rzadko kto wyjdzie na ludzi, bo pierwsze miejsca przeznaczone są dla tych, których potrzeba zdobywać.

Mój doktorek zostanie ministrem i praktykę naturalnie zarzuci, bo czemuż jest garstka nieodłącznych chorych w porównaniu tysięcy zdrowych chłopów, których się posyła na rzeź do Massowy?

Zmiarkowawszy, że mi dopomógł, lekarz wstał i zaczął mnie żegnać. Dałem mu dwa razy tyle, ile przeznaczałem jego teściowi, ale też kolosalną mi sprawił uciechę.

Prostu obzarłem się harmonią na jakiejś uczcie dźwięków.

A ja na nie zawsze byłem tak czuły! Jednostajna dykcyja, piskliwy głos, fałszywa mu-

zyka poruszają mnie także. Na melodramata nie chodzę, bo nawet na najnudniejszym—szlocham. Wystarcza mi do tego, aby ktoś drżącym głosem zawołał: „córko!“ albo piskliwy głosik brzęknął na to: „ojeze!“

Raz w licznej zebraniu czytał ktoś wiersze. Wiersze były fatalne, ale czytający miał głos śpiewny. Płakałem— a głupi autor przyszedł mi dziękować za tak wymowny dowód uznania.

Obiad znów zjadłem w hotelu w sąsiedztwie pięknej Mercedes.

Ale niedarmo naczytałem się książki Drumont'a.

Kiedy uważniej zacząłem się przypatrywać mojej Kreolce, wydało mi się, że dużo takich Kreolek spotkać można w Brodach albo Bercydzowie, a raz już do niej straciwszy zaufanie, począłem nawet wietrzyć ten właściwy żydom rasowy i słodkawy zapach na cebulowej podstawie.

Należało bądź zrezygnować z obiadu, bądź puścić w trąbę sąsiadkę. Wybrałem to ostatnie i, rezolutnie odwróciwszy się od niej, zająłem się moją drugą sąsiadką,—Niemką. Nie była bardzo już młoda. Pozbawiona wszelkich wypukłości, utrudniających zawód mo-

dniarki, gładka, w alpagowej sukni szafirowego koloru—przypominała mi zatokę Neapolitańską.

Ujrzawszy trzeci palec prawej jej ręki, poplamiony atramentem, przeczułem w niej literatkę.

Ale cóż miałem robić? Nie znoszę zapachu cebuli, więc zawiązałem z Niemką rozmowę. Przeczucia mnie nie zawiodły. Miałem do czynienia z kobietą, która pisze. Wszakże miała tę delikatność, że rozmawiała o wszystkim tylko nie o swoim pisaniu.

18 maja.

Wypogodziło się nad ranem, i znowu słońce panuje na szafirowem niebie. W całej Wenecyi—orgia hulających kolorów.

I znowu na świecie dobrze.

Sam nie wiem, czy lepiej jest być wrażliwym na piękno, czy też być na nie nieczułym.

Artysta duchem doznaje takich uciech, o jakich prostak nie może mieć wyobrażenia, to pewne, ale znowuż, gdy u prostaka cierpi tylko ciało, artysta oprócz dolegliwości ciała zna jeszcze cierpienia większe,—bo w nim cierpi i dusza.

Komu na ziemi jest lepiej?

Gdy słońce świeci, powiem, że szczęśliwszy artysta, ale, gdy się zasłoci,—zazdroszczę prostakowi. Jeżeli ma za co, spije się i nahula, mało o to się troszcząc, że świat jest brzydki. Słowem—raz mówię—czarno, a drugi raz—biało.

A jednak tego niemożna nazwać zmiennością. Przecież sama natura codziennie się odmienia i nigdy się nie powtarza. Czy słońce, niebo, dzisiejszy koloryt podobne do tego, co się widziało przed kilku dniami, nim jeszcze się zasłociło? Nie! Natura nigdy powtórzyć się nie może i monotonii nie znosi. Ona pędzi wciąż naprzód.

To samo dzieje się z myślą człowieka, z jego wrażeniami i sposobem patrzenia na rzeczy. Gdybym dzisiaj myślał zupełnie tak samo, jak wczoraj, byłbym chyba Chińczykiem albo biurowym kancelistą, ale nigdy—człowiekiem. Myśl ludzka musi wypełniać się, dojrzewać, wydoskonalać, oczyszczać, i z czasem człowiek staje się tak podobnym do pierwotnego siebie, jak rosły dąb do żołędzia, albo pstra kura do jaja.

19 maja.

Zosia już jest w Wiedniu. Przyjeżdża pojutrze.

Ciekawy jestem, czy też wie, że mnie tu zastanie?

Praktyczny „Anglik“ robi na mnie wrażenie wielce niepraktycznego męża. Gdy się jest posiadaczem takiego cacka, należy go strzedz.

Skazany na *Sprudel*, powinien był i żonę skazać na to samo.

Wizyta u Hortensyi. Kochamy się nieźmiernie.

Dużo mi nagadała o jakimś kaznodziei, którego gdzieś wczoraj słyszała. Mówił przesłiczne rzeczy. Szkoda tylko, że psuł wszystko ruchami rąk i odmianami głosu. Chwilami się jej zdawało, że w teatrze słucha aktora,— i potem to sobie wyrzucała.

Nawykłą do monotennie recytowanych kazań, raziło to, co było artyzmem w kazaniu, co przykuwało do niego. Ale w oczach wielu osób kazanie, które nie usypia, nie jest kazaniem, lecz przedstawieniem teatralnem.

Ileż razy rzecz mierną uratowała Ristori albo Sarah Bernhardt. Ileż razy z prawdziwym zajęciem we Włoszech albo we Francyi wysłuchałem lichego kazania!

I nagle, zeskakując z wyżyn ambony do

rzeczy doczesnych, Hortensya mnie zapytała:

— Wiesz? Zosia przyjeżdża! Znasz Zosię?

— Nie, nie znam.

— To nie... poznasz ją. Bardzo ją kocham. Będzie nam tu doskonale.

— Spodziewam się!

— Ależ ty znasz Zosię!—nagle znów zawołała.—Wczoraj mi to mówiłeś.

— Wczoraj się nie widzieliśmy, a dzisiaj, widząc, że cię moja odpowiedź nie zadowoliła, mówię, że jej nie znam.

— Dlaczego mi tak zawsze dokuczasz! Jam temu niewinna, że wszystko tak zapominam.

— Zadużo pijesz herbaty.

— O! to tylko mnie utrzymuje przy siłach.

20 maja.

Wielki wieczór w pałacu Peschiera. Towarzystwo dosyć kosmopolityczne.

Długa rozmowa ze starym blagierem Francuzem.

Blaga to, ale zręczna, dowcipna i elegancka. Zaprosiłem go na śniadanie na jutro.

21 maja.

Wesołe śniadanie z Francuzem. Gęba mu

się nie zamknęła, szczególnie że kazałem po-
dać szampana.

Niema dla niego kwestyi obcej, niema rze-
czy, o którejby czegoś nie słyszał, choć nigdy
dokładnie. Kłamie, ale się nie zatrzyma na
chwilę, a to wielka zaleta i zapewnienie po-
wodzenia.

Zaprosił mnie na jutro na obiad.

Czyżby on myślał, że ja jutro gadać będę
przed nim, a on w swoim dzienniku zrobi o
mnie notatkę?..

Nie, to być nie może, a zresztą ja nie do-
puszczę do tego.

Zosia przyjeżdża dzisiaj w nocy. U księ-
żnej czeka na nią samowar, a Zerciowie jadą
po nią na kolej. Hortensya chciała, abym i ja
z nimi pojechał, ale się wymówiłem.

Po kilkunastu godzinach wagonu Zosia mu-
si być zmęczona, blada—z podbitymi oczami,
Przytem i strój jej musi być zmięty. Na co
się dobrowolnie narażać na utratę złudzeń
i patrzeć na rzeczy nieładne?

Pójdę ją jutro zobaczyć wypoczętą i świeżą.

Zdrożone i niewyspane twarze, wymięte
i zapyłone suknie powinny zostać wyłącznym
udziałem tych abnegatów, których nazywają
mężami. Co do mnie, kazałbym wagony prze-
dzielać na dwie połowy,—męską i damską, jak
w Turcyi. Niechaj pleć jedna nie patrzy na

drugą. Ruch wagonu potrząsa nigdy dosyć czerstwe mięśnie twarzy, kapelusze podjeżdżają do góry, oczy blakują, powieki nabrzmiewają, skóra żółknie od braku powietrza i światła, czernieje od węgla, znużenie opo-
wuje, roztrząsa nawet jędrność mózgu...

Czasem mi się zdarza żałować w podróży, że mnie niepomieszczono z kuframi albo ze psami.

Późno już i cicho. Słyszać tylko powolne pluskanie wiośła.

To może Zosia płynie z kolei?

Ale nie!.. Słyszałbym głos Zercia.

Idę spać. Noc powinna być dobra, bo ka-
załem przestawić łóżko; będę spał—z głową,
obróconą na północ. Łóżko stoi ukośnie i je-
dnym tylko rogiem dotyka do ściany. To
mocno Zercia zdziwiło, i zaraz opowiedział
Hortensyi, która pytała mnie o to łóżko.

Zabawni ludzie, których takie zajmują mar-
nostki!

22 maja.

Już byłem po kawie, kiedy Zercio się zja-
wił.

— Tak późno!—zawołałem.

— Zaspałem. Jeździliśmy na kolej, potem
siedzieliśmy u księżnej. Poczciwa księżna nie
chciała nas puszczać.

— Mój drogi,—odrzekłem,—o kobiecie mówi się, że jest „poczciwa“ ale o księżnej mówi się zawsze „łaskawa“.

Śniadanie zjadłem ze znajomym Niemcem. Przez cały czas opowiadał mi o kraju niemieckim, o nauce niemieckiej, o sztuce niemieckiej, o modach niemieckich, o armatach niemieckich...

Znudził mnie, więc mu szampana nie dałem, poczem wybrałem się do Hortensyi.

Chociaż mi serce mocniej nie biło, czułem się jakby trochę wzruszony na myśl, że za chwilę zobaczę Zosię. Miałem ją zobaczyć samą—bez męża, dwa miesiące z nią miałem przepędzić; była to niby własność, którą odkryłem i pokochałem niemal jeszcze w dzieciństwie. Pierwsza, młodzieńcza miłość—to węzeł, którego nie rozerwą ani czas, ani rozłąka. Spójnia dwóch serc, które się niegdyś za młodu kochały, nigdy trwać nie przestanie.

Już miałem zawrócić w uliczkę, wiodącą do hotelu Hortensyi, gdy nagle stanąłem zdumiony.

Mijała mnie młoda dziewczyna, skromnie ubrana, w koronkowej chustce na głowie. Miała wyraźny i piękny typ jasnowłosej Wenetki.

Uderzył mnie jej chód, i poszedłem za nią zaintrygowany. Był to najczystszy chód Rzymianki.

Ze wszystkich kobiet, jakie widziałem, Rzymianka chodzi najpiękniej. To w niej wrodzone, to leży we krwi, bez względu na to czy się urodziła w pałacu, czy na poddaszu.

Francuzka skacze, Niemka się przewala Angielka cyrkuje,—Rzymianka płynie. Płynienie to jest spokojne z lekkim falowaniem całego ciała.

Tak pływać musiały boginie Olimpu, przenosząc się z obłoku na obłok.

Na obrazach dawnych włoskich mistrzów spotykamy boginie, które, choć nieruchome, — układem ciała świadczą, że przed chwilą w ten sposób płynęły albo zaraz popłyną.

Szedłem za młodą dziewczyną.

Piękna Wenetka z ruchami Rzymianki jest jedną z rzeczy cudniejszych w stworzeniu.

Mijaliśmy ulice, mostki, kanały.

Wkońcu moja przewodniczka weszła do małego sklepiku. Zajrzałem przez okno.

Zrzuciwszy koronkową chustkę, usadowiła się przy pulpicie, z którego jakąś książkę dostała, i poczęła czytać. Prócz niej nikogo w sklepie nie było.

Obejrzałem towary, wystawione w oknie. Były tam gąbki, paciorki, koralowe szkaradzieństwa, chustki na szyję, bukszpanowe fajeczki... Co też ja mogłem kupić w takim sklepie, pełnym ludowych skarbów? O co mo-

głem poprosić, niedziwiąc i niebudząc nieufności panienki? Sam już krój mego ubrania musiał w takim sklepie zwracać uwagę.

Otworzyłem jednak drzwi i wszedłem, ufając w nagłe natchnienie.

Panienka rzuciła książkę i najśpiwniej w świecie zapytała mnie, czego żądałem.

Natchnienie dopisało: poprosiłem o libkę szarego papieru, o lak i o szpagat.

Panienka poczęła się krzątać, ale naturalnie nie mogłem się zadowolić tem, co mi pokazywała. Papier był zacienki, szpagat zagrubny, słowem raz wszedłszy do tego sklepu, chciałem trochę posiedzieć.

Tymczasem rozmawialiśmy swobodnie, jakby dawni znajomi.

Włoch rodzi się aktorem i nie umie dwóch słów bez deklamacyi powiedzieć. Włoszka za to uderza prostotą. Ona nie wie, co to maniera, co to powykręcane i pełne krochmalu światowe katechizmy. Ta cecha szczególnie charakteryzuje Rzymianki. Największa pani albo kobieta z ludu mówią jednakowo, ładnie i naturalnie, a jeżeli czasem widzisz rzymską księżną, która się nadyma i kryguje, to musi być cudzoziemka, która sobie twarzą albo posagiem zdobyła rzymskiego patrycyusza.

Dowiedziałem się mnóstwa ciekawych rzeczy od mojej ładnej panienki. Matka jej jest

Rzymianką, starsza siostra, zamężna, mieszka w Padwie i ma śliczną córeczkę imieniem Nina...

— A taka ładna! Gdyby ją pan widział!— śpiewała panienka. — Oczy takie wesołe, żywe...

Poco mi opowiadała to wszystko? Ot tak, aby czas zabić, bo ja, dobrawszy wkońcu szpagat i papier, nie mogłem się na lak zdecydować.

Panienka nazywała się Marya.

Załatwiłem wreszcie sprawunki, które Marya zaczęła starannie pakować. Skorzystałem z tego, aby się przypatrzeć jej rękom; wcale są zgrabne ze ślicznymi wypukłościami i dołkami.

Po chwili byłem już na ulicy, rozmarzony prostotą młodego dziewczęcia i rad z dobrze wyzyskanego czasu. Człowiek powinien jaknaj-
więcej zbierać wrażeń, dopóki jest zdrow i młody. Kiedy go podagra lub reumatyzmy nawiedzą, będzie miał w pogotowiu zapas ładnych obrazków i wspomnień, któremi swą starość ożywi i rozweseli.

Myśląc o młodej Wenetce, przypomniałem sobie naszą manierę we wszystkim, fałszywe wiotkości, sztuczną naiwność albo brzęczące szczebiotanie na wzór pań X. Y. Z. z teatru Rozmaitości.

Ta maniera nas gubi. Gdyby nie ona, — czyżby i u nas nie było tysiąca śliczności?

Przyszło mi na myśl znowu jutro zajrzeć do sklepiku Maryi.

Ale nie! takie gawędy mogą zaprowadzić daleko, a ja wiem z doświadczenia, że Włoszek należy unikać.

Śliczne są i przedewszystkiem są kobietami, czego trudno jest dopatrzeć się u córek północy, bo wszystko w nich skrępowane.

Ale Włoszki w moich oczach mają jedną wadę, która tylko w żonach staje się zaletą. Gdy kochają, — to naprawdę i zanadto są wierne... Niemożna się od nich odczepić.

Niedoświadczony i młody, wlażłem raz nieostrożnie w intrygę ze śliczną Rzymianką. Gdy nadeszła już pora rozstania, okropną miałem z nią biedę. Widziałem prawdziwą rozpacz i łzy prawdziwe.

Od tej pory miała sposobność dobrze pójść za mąż i dziesięć razy pokochać.

Tymczasem mnie do dziś dnia wspomina.

Złamałem może jej życie, ale byłem wówczas dzieckiem. Dzisiaj, już starszy, rozważnie nikomu szkodzić nie będę.

Do Maryi nie wrócę.

Myśląc o niej, błąkałem się po mieście, aż zabłądziłem naprawdę w labiryncie wąskich uliczek. Wkońcu, gdy znalazł drogę, było za-

późno, aby Zosię odwiedzić; mój Francuz musiał już na mnie czekać w restauracyi.

Poszedłem więc do niego, odkładając wizytę na wieczór.

Francuz był w wyśmienitym humorze. To też zamiast godziny spędziłem z nim resztę wieczoru. Tak mało jest ludzi, szczerze wesołych, że każdy śmiech serdeczny zniewala i przykuwa.

— Naucz mnie pan swego sekretu, — rzekłem.—Co pan robisz, aby mieć zawsze tak wyborny humor?

— Co?.. Pilnuję żołądka. Cała moralna strona człowieka polega wyłącznie na stanie żołądka. Przy dobrem i regularnem trawieniu humor nie może być złym. Ale niechże się co popsuje... Dobranoc!..

— Niekoniecznie, — odrzekłem.—I ja mam dobry żołądek, a jednak śmiać się nie umiem, bo, choć się nawet zaśmieję, w tym śmiechu tkwi cierpkość i boleść.

— Żołądek! — powtórzył Francuz. — Być może, iż pana nic nie boli, a jednak tam siedzi coś nienormalnego. Uważałem, że pan jesz zaprędko, to niedobrze. Przytem pan jesz za dużo tłustych rzeczy.

— Czy pan nigdy nie byłś smutny?—spytałem.

— Owszem; dwa razy w życiu. Raz, kie-

dym się rozstawał z kochanką, aby poprowadzić do ołtarza panienkę, której nie znałem, a z którą mnie ożeniły jakieś opiekuńcze ciotki.

— A drugi raz?

— Drugi?.. — Tu spoważniała twarz Francuza, a usta mu zadrgały. — Drugi raz byłem smutny, byłem nieszczęśliwy, kiedy mi żona umarła. Poznałem ją dopiero po ślubie. To był anioł. — Francuz zamilkł, głęboko się zamyślił i już tego wieczoru po dawnemu ani razu się nie zaśmiał.

Więc i jego wesołość była tylko maską, blagą, francuską fanfaronadą?.. Więc i on miał swój smutek, który go gryzł, który mu spokój i swobodę wyjadał? Więc niema prawdziwej wesołości na świecie dla ludzi, którzy czują, skoro nawet ten stary dziecinny wietrznik tak się nagle zasepił na dawne wspomnienie?

I, gdym wracał do domu, choć gwiazdy jasno świeciły na niebie, zdawało mi się, że się znów zasłociło, że cały świat jest wilgotny i szary.

Co warte uciechy tego życia, co warte śmiechy albo zachwyty artysty, kiedy naraz jedno wspomnienie wszystko burzy i okrywa żalobą?

Co warta serenada pod mojemi oknami, której każdą nutę powtarzają sobie echa Wenecyi? Co wart ten kanał, odbijający oświetlone pałace i sunące po nim gondole, w których tulą się do siebie rozmaite pary kochanków? Nie! bo na dnie wszystkiego kryją się łzy i smutek.

Chyba więc rozbydlęć się i żyć tylko zmysłami?—Zapóźno. Można bydle wykształcić na człowieka, ale z człowieka nikt bydlęcia nie zrobi. Choćby zeszedł do kału, zawsze będzie w nim tłała iskierka duszy, a dusza, to znaczy: cierpienie.

Czemuż nie urodziłem się chłopem? Chłop ciężko pracuje, ale za to śpi dobrze, je dobrze. W niedzielę żarliwie się modli, całuje ziemię, a na widok czerwonego pasa albo mosiężnej skówki wpada w większe zachwyty, niż ja przed Rafaelem albo Tycyanem.

Bo ja krytykuję, ja wykształcony!

I, gdy on ma tysiące zachcianek, mnie—niczego się niechce.

Nie pragnąć — to rzecz najokropniejsza w świecie!

Et! głupi Francuz razem ze swojemi wspomnieniami.

Blagier! Udawał tylko!

23 maja.

Słońce ma dziwny blask dzisiaj. Na cały dzień wyjdę z domu. Chcę pełną pierśią czerpać świeże powietrze, chcę słońca i natury używać. Wszak to słońce jest moje, to powietrze, to niebo, morze, wszystko to dla mnie stworzone, dla mnie!..

Byłem u Zosi, u której przesiedziałem z godzinę. Wieczór spędziliśmy na placu wraz z całą naszą kolonią. Muzyka grała, tłumy się roily, można było rozmawiać.

Zosia jest dziwnie urocza. Parę razy w rozmowie wydało mi się, że mam lat dwadzieścia, a ona szesnaście, i że podawnemu bardzo się kochamy.

Ale mówiliśmy tylko o rzeczach obojętnych.

24 maja.

Zaczynam się obawiać, czy ogień nie spalił Warszawy, albo czy jej nie zatopiła Wisła. Znowu kilka osób ztamtąd przybyło.

Czego tu najeżdżają?

Kąpiele tutaj słabsze, niż gdzieindziej,—a lekarze—włoscy.

Między innymi przyjechała też pani Helena. Złoto ciągnie do złota: kraj starych malowideł

i fresków przyciągnął do siebie tę niewiastę. Sam nie wiem, co to będzie, gdy się w Adryatyku zanurzy, rozmoknie, i gdy puszcza jej wdzięki. Z Adryatyku zrobi się morze Czerwone, ale co z pani Heleny zostanie?..

Wciągu dnia byłem u Hortensyi. Uszczęśliwiona jest tem, że polubiłem wreszcie jej herbatę.

Wieczór znowu spędziliśmy na placu, z tą tylko różnicą, że nasza gromadka była dzisiaj liczniejsza.

Nieznośna rzecz—ci przybysze! Dojdzie do tego, że niemożna będzie rozmawiać z Zosią, tyle oczu będzie na nas patrzyło, tyle uszu podsłuchiwało.

25 maja.

Coraz więcej odnajduję dawną, kochaną Zosię. Umysł ma bystry. Wykształcona,—rozumie prawdziwe piękno i kocha je. Bardzo dużo czytała. Jestem zdumiony tem, że taka młoda już tyle przeczytać mogła.

To też z nią można rozmawiać. Gąskowości (*das Ewig weibliche*) niema w niej wcale. Obok tego tyle w niej dziecięcej naiwności, tyle nieświadomości złego, tyle pogody, optymizmu...

26 maja.

Zaczynam być rad z tego, że Zosia nie jest

wolna, bo czuję, że mógłbym się zachwiać na moich mocnych podstawach.

Jedna krótka przysięga w kościele, a potem —żał na całe życie,—żał, który śmierć tylko sama może ukoić.

27 maja.

Prostu niemożna się już na placu ukazać. Szedłem pod filarami, nikomu złego nieżycząc, dobry, pogodny, wyrozumiały...

— A! witam, witam!—zawołał tuż za mną głos krzykliwy.

Obróciłem się i zadrżałem, ujrawszy znanego każdemu, kto się zagranicę wychylił, pana Witolda Poraj-Trąbakiewicza. Jest to najnieznośniejsza w świecie figura, restauracyjny krzykacz, salonowy plotkarz, faktor, arystokrata, demokrata, czego komu potrzeba. Wobec swoich—liberał, wobec cudzoziemców—napuszony kronikarz splendorów własnego rodu i czynów swoich przodków, z których każdy od czasów niepamiętnych, przynajmniej raz na tydzień, ratował ojczyznę. Stręczy majątki, domy, orderzy, nawet przyjemne znajomości z gwaryncją dyskrecyi. Za oczami każdego piętnuje, w oczy—każdemu nisko się kłania, czy to łotr, czy człowiek porządny. Próżny do śmiejszności, z monarchami spaceruje pod rękę, ministrów klepie po brzuchu. Od urodzenia nie

ma szczęścia do prawdy, z którą się ani razu jeszcze nie spotkał. Słowem jest to wrzaskliwa i dokuczliwa bestya, od której każdy ucieka, choć szkodzi tylko sam sobie.

Rezyduje w Londynie albo Paryżu. Żona ty jest z Angielką, która jest naturalnie bliską kuzynką królowej Wiktoryi.

Do sprawy Boulanger'a nie chce się mieszać, choć dużo o niej rozprawia.

Mówią, że znał się z Wilson'em.

— Co pan hrabia tu robisz? — zapytał.

— Nic... kąpię się.

— I ja także przybywam do królowej Adryatyku w tym samym zamiarze.

— Tak? — spytałem sucho.

— W nowożytnym Babilonie niemożna wysiedzieć, tak już dokuczają upały. Zapragnąłem zanurzyć się w morskiej topieli...

Oby tylko nie zapomniał wykąpać i gęby.

— Nie umiem wyrazić, jak się cieszę, że hrabiego spotykam. Na obcej ziemi zawsze tak mile dźwięczy ta mowa, w której do nas matka pierwszy raz przemawiała.

Należy tu zanotować, że ciągle mówił po francusku z silnym angielskim akcentem.

A lubi pięknie mówić! — Królowa Adryatyku! Nowożytny Babilon! Rzym, — miasto wieczne!..

On nie potrafi powiedzieć: „lokomotywa.“
Powie: „żelazny smok, miotający ogniem z paszczęki.“

Nie powie: „lekarz,“ ale: „Eskulap;“ nie powie: „pies,“ ale: „najwierniejszy towarzysz człowieka.“

Szczęściem nadszedł Zercio, przypadkowo sam bez Aurelki. Trąbakiewicz rzucił się na niego, a ja tymczasem uciekłem.

Ręczę, że zaraz opowiedział Zercio, jak to ja matkę otrułem, ojca powiesiłem, a w banku ukradłem bardzo znaczne pieniądze.

Ten człowiek nie ma najmniejszego poczucia równowagi, a wiadomo, że, kto równowagi nie umie zachować, ten często chodzi z potłuczonym nosem.

28 maja.

Nie mogłem wczoraj słówka poświęcić Zosi. Na jednej ćwiartce ją stawiać z Trąbakiewiczem — niepodona!

Dziwna jest ta Zosia.

Wydaje się być szczęśliwą, wesołą, a jednak w dźwięku jej głosu tkwi ledwie, — ledwie zaznaczona tęsknota. Coś w głębi serca dolegać jej musi.

Mąż jej bardzo jest zacny i do niej przywiązany. Ona... mówi o nim z miłością.

Ale jest li to miłość żony?

Może ma dla niego tylko przywiązanie córki, siostry?..

Nie sędzę, aby poszła za niego z miłości. Jestem skłonny dać temu wiarę, że ją namówili rodzice.

Inaczej — zkądby się wzięła ta rzewna tęsknota, co, jak mgła przezroczysta, rozlewa się w powietrzu pomimo pogody i słońca.

Ale jakże jej ładnie z tą tęsknotą! Ona jej dodaje tylko wdzięku. Najpiękniejsza nawet symfonia nie obejdzie się bez rozsypanych tu i owdzie minorowych ustępów. Inaczej byłaby nawet wadliwą.

Co innego jest smutek, a co innego tęsknota.

Jednym z największych uroków Zosi jest to, że nie umie skłamać. Świat tego nie lubi, ale ja uwielbiam. Nie lubię mętów w wodzie.

29 maja.

Trąbakiewicz jest niemożliwy! Co chwila spotykam go... na placu, w restauracyi, wszędzie...

Nawet chodzi po domach... z wizytami. Dziś zastałem go u Hortensyi. Rozwalony w fotelu, pił herbatę i rozmawiał z Zosią, patrzył na nią...

Od kiedy tu jest, Wenecya mi zbrzydła.

Nieznośna figura!

30 maja.

Zosia nie jest szczęśliwa.

Dziś rano razem z nią i Zerciami poszliśmy zwiedzić jakiś daleki kościółek.

Musieliśmy przechodzić przez cały labirynt uliczek i, niebardzo pewni drogi, błądziliśmy często. Zerciowa szła naprzód, prowadząc nas, bo ona wszystko zna i wie doskonale.

Minąwszy ludne ulice i magazyny, znaleźliśmy się w części miasta, zupełnie nieznaney, cichej, w której rzadkich tylko spotykaliśmy przechodniów. Za to mogliśmy się przypatrywać domowemu życiu biedniejszych warstw ludności, bo okna, drzwi, wszystko, co się mogło otwierać, było szeroko pootwierane. Stawaliśmy też często, aby zajrzeć w głąb ciemnych pomieszkań. Tu się obiad gotował, tam pracowały dziewczęta, pochylone nad robotą, gdzieindziej kłócili się jacyś ludzie o podejrzaney powierzchowności.

Słońce świeciło, pogoda była piękna, więc wszystko nam wydawało się ładne, nawet żebrak w łachmanach — z nogami, szkaradnie powykręcانemi.

Na progu jednego domu gwarnie i wesoło bawiły się dzieci. Jedno z nich miało papierowy kapelusz na głowie, drugie wywijają długą trzaską, która wyobrażała pałasz... W za-

bawie objawiały się militarne upodobania; zapewne z tych dzieci wyjdą kiedyś srodzy bohaterowie, którzy w ładnych mundurkach będą zdobywali serca kobiece.

Między nimi było też kilka dziewczynek. Ustępując woli płci silnej, musiały także bawić się w żołnierzy i walczyć.

Kiedyśmy nadchodzili, toczyła się walna bitwa. Chłopcy zaczęli uciekać, a za nimi pędziły dziewczynki. Wkońcu schwytano jednego z nich, przewrócono na ziemię, i wążła napozór dziewczynka wypaliła mu kilka trafnych i donośnych uderzeń.

— *Dogali*,—rzekłem do Zosi i zacząłem kłaskać w dłonie. Zosia się roześmiała i zatrzymała się.

Dzieci ładne, okrągłe, jędrne, dobrze wypalone na słońcu. Jedno z nich, mała jasnowłosa dziewczynka, siedziała na ziemi, przypatrując się z wielką uwagą zabawie, w której jeszcze nie mogło brać udziału. Oczy jej śmiały się i usta, a na rumianych policzkach ukazywały się ładne dołki. Od czasu do czasu podnosiła obnażone rączki i biła w dłonie, które niezaraz mogły od siebie się odrywać, bo niewprawne jeszcze palce plątały się i zaciskały.

Śliczna ta mała.

Hrabia August.

Zosia nie spuszczała z niej oczu, ja patrzałem na Zosię. Zabawy tymczasem trochę przycichły.

Dziewczynka spojrzała na Zosię i zaśmiała się do niej.

— *Signora Inglese! Signora Inglese!* — zaczęła wołać, szepleniąc i niewymawiając połowy liter.

Na twarzy Zosi wystąpił lekki rumieniec, który zaczął wzrastać, wzmagać się... ręce jej drgnęły, pochyliła się nagle i, schwyciwszy dziewczętko, poczęła je tulić do siebie i całować.

Kiedy swoje pieszczoty skończyła, ujrzałem dwie łzy, które się z jej oczu po twarzy toczyły.

Zosia nie jest szczęśliwa, i teraz wiem, dlaczego.

Kiedyśmy z naszej wyprawy wracali, dzieci już nie bawiły się w wojnę, jako rzecz ryzykowną. Siedziały w kółko na bruku, a jakiś malec pośrodku improwizował im coś bardzo pięknie, bo wszystkie pilnie słuchały, poroztwierawszy gęby i wytrzeszczywszy oczy.

Przed kilku dniami patrzałem na Zosię, jakby na zdobycz, którą pragnąłem sobie przywłaszczyć.

Dziś nawet o tem nie myślę i myśleć nie chcę, bo coś we mnie protestuje, bo serce się ściska na samą myśl, że mógłbym ten śliczny kwiatek oberwać z listków i popsuć.

To byłoby niegodziwe.

Ale kochać ją, kochać ją tylko—można, należy!., I kocham, jak jeszcze nigdy jej nie kochałem.

Ta Zosia—to istna wiosna, to bukiet fijołków, konwalii i bzu.

Ani lilie, ani róże, ani nawet rezeda nie dorównają tej trójcy skromnych wiosennych kwiatów. To najpiękniejsze kwiaty na ziemi.

Nie znoszę, gdy prostak unosi się nad kamelią, albo gardenią.

Pierwsza—to młoda kokietka, a druga—stara kokota.

Tylko wiosenne kwiaty piękne są i pachną prawdziwie.



Niech żyje święta i czysta! Ja jej nawet myślą nie skalam.

A jednak?.. Gdybym wiedział, że mnie kocha tak, jak ja ją kocham?..

Niel nie!.. nie chcę!

31 maja.

Zawsze mnie wprowadzali w zdumienie ludzie, narzekający na to, że daleko mieszkają od poczty. Jabym zgodził się na to, aby pokasowano wszystkie poczty.

Przy kawie przyniesiono mi list, na którym poznałem pismo mojego plenipotentą. Czego odemnie chce ten nudziarz? Co ja mu zrobiłem, że mnie aż tu ściga?

Plenipotent niepowinienby umieć pisać.

Na kopercie napisane jest: „*pilno*“, jak się pisało za dobrych dawnych czasów, kiedy to jeszcze swojemi końmi jeździło się do *Kalisbaidu*. Szczyściem mnie pilno niebyło, więc na bok list odrzuciłem.

Wszakże humor już miałem popsuty. Ten list przeniósł mnie z Wenecyi do Warszawy.

Zobaczyłem biuro mojego plenipotentą, jego stół, zielonem suknem nakryty, pliki zakurzonych papierów, szafy, podzielone na kompartymenta, szufladki... Poczułem nawet ten właściwy zapach pokoju, w którym—przy zawsze zamkniętych oknach wśród dymu złych papierosów—kilku ludzi, którym gorąco, od rana do nocy skrzypi piórami.

Otrząsnąwszy się z tych niemiłych wspomnień, zająłem się kawą i zapaliłem fajkę.

Mało kto umie palić fajkę tak, jak należy,

to jest: po turecku, powoli, starając się utrzymać ciało w jaknajwiększym spokoju. Gdyby zamiast puszczać się myślą w krainę fantazyi ludzie Wschodu chcieli te chwile spokoju poświęcać rzeczywistości, gdyby patrzali, słuchali i rozumowali,— dalekoby za sobą pozostawili wszelkich Balzac'ów, Dickens'ów i innych obserwatorów.

Fantazyja jest piękna i barwna, ale rzeczywistość bardziej nas rozciekawia, a w dodatku uczy.

Ludzie Zachodu zanadto się sami ruszają—aby mieli czas na tego rodzaju studia.

Siedząc przy oknie, nieśpiesząc się, paliłem fajkę i z jej łaski napatrzyłem się tylu światła i cieniów, takiej bogatej gamy kolorów, żeby mi pozazdrościł ich każdy malarz prawdziwy.

Ale list czekał i męczył mnie. — Otworzyłem go wkońcu.

Chodziło w nim naturalnie o kwestyę pieniądze, o sumkę którą w zeszłym roku ulokowałem u biedaka, zagrożonego bankructwem.

Ludzie dobrej woli nazywają go krawcem, ale ja wolę w nim widzieć tylko biedaka, bo jego popędy krawieckie dowodzą tylko, że zwichnął swoją karierę. Spełnił ją wszakże należycie, jako mąż, bo doczekał się już mnóstwa dzieci, choć młodziej wygląda odemnie.

Dzieci przyniosły mu długi.

Więc zwrócił się do mnie.

Ale to się na nic nie zdało. Plenipotent donosił mi, że krawiec dogorywa. Radził przeto: czasu nietracąc, upomnieć się o swoje, a możeby się udało uratować choć dwadzieścia od sta. Namawiał mnie, abym sam do Warszawy przyjechał.

Źle trafił, bo ja ztąd się nie ruszę.

W dodatku — nie lubię, gdy koło mnie ktoś jęczy, płacze, narzeka. Nie znoszę widoku nędzy.

Dlatego też w restauracyi nigdy nie usiądę przy oknie, aby nie spotkać wzroku nędzara, który mi może zazdrościć tej nawet nędzoty, jaką w restauracyi się truję.

Należało coś do plenipotenta napisać. Wykręciłem się depeszą.

Moi krewni się skrzywią, nazwą idyotą, ale ja im tego nie przyznam, bo byłoby to z mojej strony — jedynie cielecą hipokryzyą. Jestem przekonany, że nawet ciele nie może człowiekowi przyznać wyższości; mając ściśle zakreślone granice myślenia, nie może myślać objąć, że ktoś więcej obejmuje od niego.

1 czerwca.

Gdy z Zosią nie rozmawiam, kiedy na nią nie

patrzę, nie wiem poprostu co z sobą robić, a niepodobieństwem jest, cały dzień przy niej spędzać. Ludzie patrzą, słuchają, czatują, a Trąbakiewicz zawsze i wszędzie coś wietrzy.

Czemuż Zosia nie jest wolna, czemu muszę się taić z tem, co dla niej czuję, zamiast z głową, podniesioną do góry, przed światem wyznać, że ją kocham?

Kto to wie? Gdyby była wolną, możeby runęły wszystkie moje postanowienia i zasady.

Niema niezłomnych ludzi! niema niezłomnych zasad. Nawet człowiek, ukuty z żelaza z kółkami i sprężynami zamiast nerwów, serca i duszy, musi raz przeżyć ciężką godzinę walki, i on się nawet zachwieje i powie, że postanowienia, zasady—to tylko czcze słowa.

A im kto stał mocniej i twardziej, tem straszniej się może przewrócić. Tylko trzciny nie przewracają się nigdy, choć się aż do ziemi chylą.

Ale to brzydko być trzcina. Trzcina nie może sama siebie szanować.

Zresztą pozapominałem już wszystkie bajki i nie pamiętam, czy Lafontaine był po stronie trzci ny, czy dębu.

Niegdyś umiałem tę bajkę na pamięć. Bra-no mnie na kolana, całowano, męczono, a kie-

dym wyrecytował bajkę, — chwalono i dawano cukierki.

Czy wówczas ja byłem trzcina?

Nikt kłamstwu nie uwierzy tak łatwo, jak kłamca. W kawiarni spotkałem Trąbakiewicza i niby od niechcienia powiedziałem mu, że między Tryestem a Wenecją pokazało się stado rekinów.

— Niemoże być! — zawołał. — Byłoby o tem w dziennikach.

— Po co?.. Aby ztąd wypłoszyć gości, z których miasto żyje? — spytałem.

— Prawda! — rzekł Trąbakiewicz. — Kto hrabiemu powiedział o tych krwiożerczych tygrysach oceanu?

— W porcie... mówiono.

— Niechże pan uprzedzi znajomych, — rzekł Trąbakiewicz.

— Nie jestem zupełnie pewny tej wiadomości... Zresztą pana już uprzedziłem.

— O! mnie to nie dotyczy! — zawołał. — I tak miałem zamiar opuścić królową, Adryatyku. Opuszczę ją ze łąką w oku, ale muszę już w dalszą puścić się wędrówkę.

— Dokąd?

— Kąpiele tu niedość silne. To nie morze,

ale łagodne, jak panna, jezioro. Pojadę nad Ocean i tam się zmierzę z potęgą jego bałwanów. Właśnie przyjechała do Biarritz jej wysokość, infantka, która pomimo moich liberalnych poglądów zaszczyca mnie swoją przyjaźnią.

Trąbakiewicz wstał z krzesła:

— O jakiej godzinie hrabia hołdujesz swoim Penatom? — zapytał.

— O! ja w domu zupełnie nie siedzę.

— Przed opuszczeniem tych brzegów chciałem pożegnać hrabiego...

— Bardzo mi będzie miło, — odrzekłem, — o czwartej będę w domu.

I punkt o czwartej wchodziłem do salonu Hortensyi, rad, że w towarzystwie Zosi spędzę miłą godzinkę. Radość moja trwała nie długo. Wkrótce zjawił się Trąbakiewicz. Przychodził pożegnać księżnę. Biegając z wizytami od rana, odwiedził już kilka księżni i margrabin, a nawet jedną wysokość. Zapomniał widocznie o naszej porannej rozmowie, bo na zapytanie Hortensyi, dokąd jedzie, odchrząknął i odrzekł:

— Mówią, że w wodach zatoki Gaskońskiej ukazały się potworne tygrysy morza, rekiny! Jadę do Biarritz, aby się im zbliżka przypa-

trzeć i przekonać się, czy też do prawdy tak straszne...

Zosia w kącie dusiła się od śmiechu, znając już historię rekinów.

— Zresztą, — mówił Trąbakiewicz, — wzywa mnie tam król Melchior. Co roku opuszcza śliczny pałacyk przy Elizejskich Polach, w którym nieraz mnie podejmował z iście pańską gościnnością, i do kąpieli wyjeżdża, a że na mnie jest łaskaw, stara się zawsze o to, abym się przy jego królewskim boku znajdował... Hrabia, — dodał, zwracając się do mnie, — który często bywasz w stolicy ojczyzny Molière'a, musiałeś nieraz widywać tę charakterystyczną postać...

— Tak, raz w omnibusie spotkałem, — odrzekłem. — Ale pan nie jedź do Biarritz. Zostań z nami. Tutaj przynajmniej niema rekinów.

Trąbakiewicz nawet nie drgnął, nie poczerwieniał. Już nie pamiętał zawiazku całej tej historii z rekinami, — nic!

Szczęśliwy to ludek — ci kłamcy!

2 czerwca.

Trąbakiewicz wyjechał.

O jego pobycie w Biarritz, — o infantce i królu Melchiorze dowiemy się wkrótce z dzienników w artykułach, podpisanych: „Jarop.“

W ten sposób musiał przekreślić swój przydomek. Ale chce, aby mu ludzie wierzyli, więc nie śmie podpisywać: „Poraj.“

Hortensya jest nieoceniona. Nic nie widzi. To też z Zosią używamy najzupełniejszej swobody.

Zosia nie znalazła apartamentu tuż obok księżnej. Jej pokoje, choć na tem samym piętrze, wychodzą na inny korytarz, z którego też innemi wschodami można zejść na ulicę. W ten sposób będę mógł się czasem wykręcić od filiżanki *Fu-cze-fu*.

Znajomi się rozjeżdżają. Jedni wracają do domu, drudzy gdzieś do wód śpieszą.

Cała kompanijka za parę dni ztąd odjeżdża do Wiednia. Będzie ich dużo w wagonie, będzie im gorąco i ciasno. Nim do Wiednia dojadą, poznają siebie dokładnie. Z nimi wyjeżdżają także Zercio wie.

3 czerwca.

Dziś rano był u mnie Zercio z pożegnaniem.

— Jedziemy, — rzekł.

— Po co? Siedź, kiedy ci tutaj dobrze.

— Nie mogę. I tak już zadługo siedziałem. Gospodarstwo czekać nie może.

— E! musisz mieć przecież rządcę.

— Nawet bardzo dobrego... ale muszę wracać... Mnie coś tam ciągnie. Pomyśl! Za miesiąc już żniwa, zboże się chyli ku ziemi, kłos pełny i ciężki... Przytem pary kończyć potrzeba... Ty lubisz patrzeć, jak orzą?

— Nie zastanawiałem się nad tem.

— O! to rozkosze! Pług idzie równo, przecina ziemię, odkłada ją, kruszy... ziemia się przesypuje i pachnie grzybami.

Także mi poeta!

A jednak on coś czuje, coś jego tam ciągnie, coś tam kocha, coś widzi pięknego...

— Ha!—rzekłem.—Jedź, kiedy lubisz grzyby. Tu czuć ostrygami, i to nie bardzo świeżemi.

Hortensya dzisiaj niezdrowa. Leczy się herbatą i kadzidłami, któremi swoje pokoje nasycyca.

Zastałem ją w szlafroku, na pół leżącą na kanapie. Z głową zadartą, z przymkniętymi oczami mówi bardzo cicho, jak przystoi bardzo osłabionej osobie. Głos jej płaczliwy, jak cytra.

Na jej widok ledwie się mogłem wstrzymać od śmiechu.

Hortensya choruje z upojeniem, a trafia się jej to przynajmniej dwa razy na miesiąc. Położy dwa dni na kanapie, naskarży się lekarzowi, a potem już jej dobrze.

Sam tylko jej lekarz wierzy w jej chorobę, bo zresztą wszyscy się z tego śmieją. Lekarz za to dwa razy na dzień do jej kanapy przybiega, bierze za puls, chodzi na palcach i cicho mówi. Prawda, że, kiedy o jej zdrowie chodzi, Hortensya umie być hojną.

Dziwna to sybarytka—ta księżna Hortensya! Niemożna się zbyt jej dziwić. Bogata, bezdzietna, wdowa, niemająca żadnych kłopotów ani zmartwień, coby robiła, gdyby sobie i innych nie zajmowała swoją osobą?

Mówią, że nawet księża od niej uciekają. I tym ludziom, wygimnastykowanym w cierpliwości i łagodności,—ani jednej, ani drugiej niestarczy, gdy z Hortensyą dłuższy czas zabawią.

Nadeszła pani Helena i przyniosła paczkę nowinek. Hortensya trochę się ożywiła.

4 czerwca.

Zerciowie już wyjechali, a z nimi cała banda.

Szczęśliwej podróży!

5 czerwca.

Zaczynam myśleć, że mnie Zosia kocha.

Unika mnie.

Zdaje się być niezadowolona z tego, że teraz takie pustki w Wenecyi.

Często bywa niespokojna. Twarz jej zmienia się wciągu rozmowy, ręce drżą czasem tak mocno, że je stara się chować.

Nie bój się, biedny kwiatku. Nie poobrywam ci listków. Nic tobie złego nie zrobię.

6 czerwca.

Jaki ja byłem głupi wówczas, kiedy uciekłem od kochającej mnie Zosi. Jaki ja byłem nikczemny, że mogłem dobrowolnie zranić w ten sposób jej biedne serce.

Swoboda! Swoboda! Boże, jakież to czcze słowo! Co to jest swoboda bez Zosi? Na co mi ta swoboda, gdy ona nie może być moją?

Byłem idyotą.

7 czerwca.

Hortensya nagle się rozruszała. Zna tutaj kilka osób, porobiła wizyty. Już w domu jej zastać niemożna.

Dzisiaj gdzieś jedzie na wieczór, jutro to samo...

W tej kobiecie niemasz nic równowagi. Albo, bezwładna, leży w niemocy, albo znów wciąż w ruchu. I jedno, i drugie — kaprysy kobiety, która zawsze żyła samotna, która ma za dużo pieniędzy, która, żyjąc bez celu, w niczem nie umie się przelamać i nagiąć.

Ja sędzę, że, gdyby zbadano ją sumiennie, — nieznalezionoby mózgu w zupełnym porządku. Tam coś brakuje.

8 czerwca.

Zosia mnie dzisiaj nie chciała przyjąć, boi się... a Hortensyi w domu nie było.

Czyżby odgadła, co we mnie się dzieje, czy pojmuje, jaką jest dla mnie świętością?

Ja muszę się z nią rozmówić, uspokoić ją.

10 czerwca.

Siedzieliśmy wczoraj wieczorem w saloniku Hortensyi. Okna były otwarte, księżyc przez nie zaglądał, a lekki wietrzyk, poruszając firanki, przynosił nam urywki dalekich sere nad.

Hortensya wypoczywała po długim i solennym nabożeństwie, na które latała na drugi koniec miasta. Zosia zajmowała się robótką.

Mówiłem coś do niej, ale słuchała mnie z roz-targnieniem.

Nagle Hortensya zerwała się na równe nogi i uderzyła się w czoło.

— Prawda!—zawołała.—Pani Helena tam na mnie czeka! Miałam po nią wstąpić.

— Dokąd? Po co?—zapytała Zosia z nie-tajonym niepokojem na twarzy.

— Jedziemy do teatru. Bardzo zabawna operetka. Pani Helena ledwo dostała lożę.

Zosia rzuciła na mnie jakby trwożne spoj-rzenie.

— Ja z ciocią pojedę,—rzekła, wstając.

— Dobrze,—odparła Hortensya, ale naraz się zawahała.

— Nie, moje dziecko,—dodała.—Ja ciebie z sobą nie wezmę.

— Dlaczego?

— Pani Helena opowiadała mi o tej sztu-ce... to nie dla ciebie, to jakaś okropność.

Zosia zaczęła się śmiać.

— Nie, Zosiu,—mówiła dalej Hortensya,—jak zechcesz, zobaczysz ją sobie kiedyś z mę-żem. Ja nie chcę brać tego na swoją odpo-wiedzialność; tyś na to załadna, zaświeża, za-biała... Ja muszę nad tobą czuwać.

— Więc niech ciocia ze mną zostanie,—rze-ła Zosia z przymuszonym śmiechem.

Biedaczka bała się mnie i siebie.

— Nie mogę. Pani Helena czeka... Guccio może pójść z nami.

— O, nie! Ja mam koncert,—odrzekłem.

— No! To bywajcie zdrowi! — zawołała Hortensya.—Muszę się śpieszyć.

I w parę minut potem już była w drodze do pani Heleny.

Zacząłem zbierać się do odejścia, w rękę już trzymałem kapelusz. Ale chciałem się z Zosią rozmówić, uspokoić ją... Spojrzałem na nią.

Błada, wzruszona, z głową spuszczoną stała na środku pokoju.

Byliśmy zupełnie sami, nikt nam nie mógł rzeszkadzać. Powoli zaczęło i mnie ogarniać wielkie wzruszenie, począłem drżeć cały.

Nie wiedziałem, jak zacząć, jak do niej przemówić. Milcząc, patrzałem na nią. Musiało być silne moje spojrzenie, bo ona wreszcie podniosła oczy.

— Pani...—zacząłem.

Przez otwarte okno doleciała nas ładna piosenka Tostiego, w której naucza młodą dziewczynę, że wszystko jest marnością z wyjątkiem młodości i kochania,—a tak uczy wymownie, tak mistrzowsko kusi, jego melodeye tyle obiecują rozkoszy, tak się do wszystkich nerwów wkradają, tak je osłabiająco kołyszą...

Zosia wstrząsnęła się nagle.

— Zamknij pan to okno, zamknij!—zawołała z przestrochem.

I zachwiała się.

Podbiegłem do niej, by ją podtrzymać; chciała mnie odtrącić.

— Nie bój się, biedny kwiatku,—szepnąłem, —ja ci nic złego nie zrobię... przysięgam!..— I silniej ją przyciskałem do siebie...

— Nie! nie! nie!—mówiła, broniąc się, Zosia.

— O! kocham cię!—rzekła w końcu.

11 czerwca.

A ja—jakże ją kocham i wiecznie kochać będę! Oboje jesteście szaleni, pijani...

Niech się chmurzy, niech przychodzą słoty niech ciemność otoczy ziemię, mnie jasno i ciepło, dla mnie świecą gwiazdy i słońce, dla mnie niebo pogodne, dla mnie na ziemi raj!

Nie mamy czasu myśleć, opamiętać się... Kochamy się!

I co nas może obchodzić prócz nas samych?.. Kochamy się!

Tyle lat czekaliśmy na podobną chwilę, tyle lat serca nasze do niej tęskniły! Tyle lat zmarnowaliśmy w odrętwieniu, które braliśmy za życie.

Teraz dopiero żyjemy. Życie bez miłości jest śmiercią.

Mam lat dwadzieścia, a ona szesnaście. Jesteśmy piękni, jesteśmy młodzi, i starość nam nigdy w oczy nie zajrzy... Kochamy się!

12 czerwca.

Zdawało mi się, że Zosia miała dzisiaj oczy zaczerwienione... Co to znaczy?

13 czerwca.

Zosia znowu płakała.

14 czerwca.

Co to znaczy? Czy to już może koniec?
Zosia płacze. Płakała przy mnie.

— Mów! mów! Co to jest? — spytałem.

— Nie pytaj... lepiej nie pytaj...

I, uśmiechnąwszy się, dodała:

— Kocham cię.

16 czerwca.

Tak!.. to już koniec.

Im upojenie silniejsze, tem krótsze.

Zosia płacze. Jej prawa natura, przez chwilę odurzona, teraz ożyła, bierze górę, bun-

taje się przeciw kompromisowi pomiędzy obowiązkiem a niedozwolonym szaleństwem.

— On taki dobry! tak kocha! tak wierzył! — powtarzała, zanosząc się od płaczu.

Chce uciekać z Wenecyi. Daremnie ją zaklinam, aby została, daremnie!..

Płacze, rozpacza, modli się...

Byliśmy zanadto szczęśliwi. Takie szczęście nie mogło trwać długo.

17 czerwca.

Niedawno wzdragałem się na samą myśl tego, co dzisiaj już jest rzeczywistością. Robiło to na mnie wrażenie czynu Wandalą.

I tym Wandalem zostałem w chwili, gdym jej przysięgał, że jej nic złego nie zrobię.

Człowiek jest nikczemny.

Rozbiłem arcydzieło Boga, nadwerżyłem harmonijną całość, w której dusza, zlewając się z ciałem, tworzyła jedno piękno.

I smutno jakoś, i brzydko, i wstrętnie, choć wywołuję w pamięci ustępy z najzdolniejszych pisarzy, chcących we mnie wmówić, że zrobiłem dobrze. Wszak i kwiatki ku sobie się pochylają, bo tego chce natura, bo przeciw niej buntować się niewolno, bo jej celem jest życie, a nie letarg.

Po nad prawami natury są prawa Tego,

Który ją stworzył. Bez nich niebyłoby całości, harmonii, wykończenia... Sama estetyka tego wymaga.

Zrobiłem rzecz brzydką.

Ale któżby na mojem miejscu postąpił inaczej? Czyż osłabiające światło księżycy, wietrzyk od morza i urywek piosenki nie były głównymi sprawcami tego, co się już nie da naprawić?

Być może... ale stała się rzecz brzydka... i płaczemy oboje.

Najokropniejsze jest to, że Zosia nie może już być tem, czem była dotychczas. Już nie ma w niej równowagi pomiędzy duszą a ciałem, nie ma tej niebiańskiej harmonii...

Ciało jej wypiękniało, a jednak to już nie ta Zosia, którą kochałem temu dni kilka.

Ona też widzi i czuje, że jest inną, że zmieniła się na swoją niekorzyść—nazawsze.

Oddała mi wszystko, poświęciła mi wszystko. Toby powinno przykuć mnie do niej jeszcze mocniej.

Gotów jestem poświęcić jej życie. Ale uczucie moje będzie już inne.

To już nie ta Zosia!

Miewałem miłości, alem nigdy prawdziwie nie kochał. Teraz kocham i dlatego tak gorzko nad nią płaczę. Teraz kocham i dlatego rozumiem małżeństwo.

Tylko małżeństwo jest w stanie uświęcić zwierzęcą stronę ludzkiej natury i rzucić na nią zasłonę.

Po za tem—tylko smutek, brzydota i niesmak.

Uwodzicielem z profesyi nigdy nie byłem... Zdarzało mi się uszanować kobiety, które chwilowo we mnie obudzały kaprysy.

Zosi, która była dla mnie świętością —nie potrafiłem uszanować.

Za karę—dzisiaj już czcić jej nie umiem.

Gdyby była wolną, mógłbym jej harmonię przywrócić.

Dzisiaj nie dla niej nie mogę.

Chce jechać do męża.

U człowieka, którego nie kocha, szuka schronienia przed tym, którego kocha, któremu oddała wszystko...

I ja zatrzymywać jej nie mam prawa, nie śmiem, nie chcę...

Czuję się drobnym, szpetnym, nikczemnym..

18 czerwca.

Zosia wyjeżdża dziś wieczorem. Hortensya wzburzona. Narzeka na męża Zosi za to, że nie da jej dokończyć rozpoczętych kąpeli i tak nagle wzywa do Karlsbadu.

Zosia nie kłamie, więc ja musiałem ukuć całą tę historię.

Zosia tylko powtarza, iż musi koniecznie jechać.

Pożegnanie było przygnębiające, nieopromienione żadną nadzieją. Było smutne, jak wszystko, co nam życie daje.

19 czerwca.

Wyjechała.

Zabawię tu jeszcze z tydzień dla zachowania pozorów. Prócz nas dwojga niechaj nikt nie wie, co między nami zaszło.

20 czerwca.

Niema jej.

Żegnaliśmy się na wieki. Zamiast siebie szukać będziemy siebie unikali.

Byliśmy zanadto szczęśliwi.

24 czerwca.

Nie mogę się ze smutku otrząsnąć. Za parę dni ztąd wyjeżdżam.

25 czerwca.

Gorąco zaczyna stawać się nieznośnem.

Bellaggio, 30 czerwca.

Ruch wagonu, nowe widoki, wszystko to przyniosło mi trochę ulgi.

Szczególnie podziiała na mnie zieleność.

W Wenecyi lubowałem się arcydziełami, morzem, niebem, słońcem, a jednak czułem, że mi czegoś braknie.

Dopiero wyjechawszy za Mestre, gdym ujrzał ogrody i łąki, zrozumiałem, że moje oko tęskniło za zielenością.

Odwiedziłem Lugano i Pallanżę, ale słońce zanadto paliło. Tu na tym języku ziemi, wdzierającym się w sam środek lazurowego jeziora, nietak gorąco. Bellaggio obrócone na północ.

Wobec tej wody, tych cienistych gajów, wznoszących się stopniami jedne po nad drugie, wobec skał najeżonych w oddali i dalszych jeszcze gór o śnieżnych szczytach dopiero widzieć można, jak marnem jest wszystko, co zrobili ludzie.

Człowiek jest karłem wobec natury. Co on może wobec tych cudów, któremi Bóg zaludnił ziemię? Chyba może je tępić i niszczyć.

Tak,—człowiek tylko niszczyć umie.

Ustawicznie mnie ściga obraz płaczącej Zosi. I ona była arcydziełem Boga, które ja, ni-

by-artysta, zniszczyłem. Gdzież mogę znaleźć spokój po takim czynie?

Wszakże mi tu lżej, niż w Wenecyi. Tam każda gondola, każda piosnka, wieczorem nuczona, przypominały mi moją zbrodnię.

Czemuż nie umarła czysta i święta w przeddzień tego wieczoru, któryśmy we dwoje spędzili, słuchając szatańskiej piosnki Tostiego.

Dziwna to rzecz, jak ludzie mało zwracają uwagi na szkodliwe działanie muzyki.

Fétis w swojej książce o muzyce opisuje jej wpływ na zwierzęta. Słonie nawet, te olbrzymie masy mięsa i sadła, odczuwają muzykę, a na dźwięki niektórych melodyi albo instrumentów zachowują się w sposób, który moralność surowo gani.

A ludzie mają więcej czucia i nerwów, niż słonie.

Muzyka jest szkodliwszą od morfiny. Prócz ciała rozstraja duszę. Z teatru albo koncertu każdy wychodzi nadwreżony.

Nokturn! Preludjum! To rzeczy takie krótkie, niewinne!..

Tymczasem dobrze oddany nokturn może wiele złego narobić, szczególnie jeżeli jego twórcą jest Chopin albo Schumann, dwaj genialni mistrze, którzy nam tonami opowiadają to samo, co Musset albo Heine głosili wierszem. Gdzieniegdzie widzimy błyski uśmie-

chu, a zresztą wszędzie gorycz, smutek, zwątpienie, sceptycyzm, słowem coraz więcej ogarniający nas *Weltschmerz*.

Sami tylko dawniejsi mistrze byli optymistami. U Beethoven'a widzimy spokojną powagę, zdrowy architektoniczny majestat, górujący ponad drobnymi troskami, zasnucającymi życie. Mozart unosi nas słoneczną pogodą i wiosenną poezją... Widzimy drzewa, łąki, strumyki i pięknych, zdrowych ludzi, których życie jest pasmem cichych uciech, gdzieniegdzie tylko przetykanych mało znaczącymi troskami.

Nasz wiek takich twórców nie wyda. Różowe szkła potłuczone we wszystkich dziedzinach sztuki.

1 lipca.

I tutaj gorąco dokucza. Pojadę do Szwajcaryi.

Interlaken, 4 lipca.

Świeżo nawet w południe. Cienia dużo, drzewa ogromne. Tutaj przez lato zostanę.

Dusza zwolna się goi, ciało się orzeźwia.

Strasznie tu dużo turystów, a w Szwajcaryi innego życia, jak hotelowe, nie znają.

Chcąc, niechcąc, porobiłem już kilka znajomości. Szczęściem natrafiłem na ludzi, z którymi można rozmawiać.

5 lipca.

Muszę swój smutek nosić, wypisany na czole, bo mnie już kilka pań zapytywało o stan mojej duszy. Kobiety lubią spowiadać mężczyzn.

6 lipca.

Mam jakieś specjalne szczęście do zamorskich sąsiadek przy stole. W Wenecyi poznałem Kreolkę z Buenos-Ayres albo Berdyczowa, tutaj siedziałem dziś obok wspaniałej Angielki z Indyi-Wschodnich, która musi być niezawodnie urodzona z Indyanki. Cera jej śniado-czerwona, oczy—palą, uśmiech upaja, a zęby olśniewają. Dawnom nie widział takiego wyrazu namiętności w ustach.

Ta kobieta—to pożar.

Ubiera się oryginalnie, nietak, jak wszystkie panie. Co na niej wydaje się ładnem, na każdej innej będzie potwornem.

Mąż odwiózł ją do Interlaken, a sam pojechał do Genui, gdzie ma do załatwienia różne interesy.

Dziwny to doprawdy rodzaj ci mężowie pięknych kobiet. O niebezpieczeństwo tak łatwo, a oni je ułatwiają, jakby z amysłu. Pod tym względem ja nawet byłbym lepszym od nich wszystkich, bo jabym pilnował.

Mistress Bird (moja Indyanka) należy do rzędu tych skarbów, nad którymi specjalnie czuwać należy. Pomimo pozornego spokoju i niedbałych ruchów wygląda na to, że i dwóch tygodni nie potrafi cierpliwie czekać na męża.

Dla ochrony pieniędzy cywilizacja nam daje ogniotrwałe kasy. Dla ochrony żon naszych, któreby powinny być droższymi od pieniędzy, cywilizacja nic nie wymyśliła dotychczas. Pod tym względem barbarzyńcy wyżej od nas stoją. Do pilnowania żon — wynaleźli ogniotrwałych ludzi.

Przyjechawszy tu wczoraj, pani Bird dzisiaj już zna całą młodzież, mieszkającą w hotelu. Każdemu ma coś do powiedzenia.

Kobieta, która wyzywa, traci na wdzięku, tak samo, jak twierdza, która bez walki bramy otwiera. Przyjemniej jest oblegać i zdobyć.

Gdy po obiedzie pani Bird wyszła na przechadzkę cała w bieli ubrana, wyglądała, jak zorza wśród zimowego krajobrazu. Ledwo się ukazała, a już otaczało ją grono młodzieży, i wnet echa Interlaken odezwały się, powtarzając wesołe śmiechy, które się rozbijały nawet o nieskalane szaty wspaniałej Jungfrau, tonącej w wieczornym zmroku.

Pomimo uprzejmych zaprosin Indyanki wy-

mówilem się od przechadzki. Wszakże, choć to zrobiłem najgrzeczniej, w jej oczach wyszło to na niegrzeczność, i postawiła mi złą notę.

Ale cóż miałem zrobić innego? Nie mogłem przecie stawać się jednostką w tej zgrai okrążających ją pustych młodzików. Nie mogłem narażać się na to, aby mnie za jednego z nich wzięto.

Zresztą ja tutaj towarzystwa nie szukam. Wolę samotnie się błąkać, unosząc z sobą swój smutek i wspomnienie Zosi.

7 lipca.

Indyanka ma niesłychaną rękę. Ale pomimo ślicznego jej rysunku i mikroskopijnych rozmiarów widać w niej jakąś siłę tygrysią, i każdy jej palec, zdaje się, zakończony pazurem.

Swobodne ruchy tej kobiety i śmiałe spojrzenia okazują kopalnię pewności siebie i wiary w swój urok.

Znowu dzisiaj dziwacznie ubrana, nawet nieprzyzwoicie, bo otwarta jej suknia razi w restauracyjnej sali. Mimo to zaćmiła wszystkie kobiety, nawet jakąś sentymentalną Niemeczkę w zielonej rypsowej sukni, zapiętej pod samą szyję.

Głos pani Bird dźwięczny i wtedy, gdy mówi po angielsku. Ciało jej przepyszne, jako kon-

tury, wspaniałe, jako koloryt, nadzwyczajne, jako gatunek. Giętkie, a razem i jędrne. Patrząc na nią, swobodny mężczyzna musi doznawać zawrotów głowy.

Bo też z całej jej osoby tchńnie żądza zakosztowania wszystkich uciech świata; w nic innego nie wierzy.

Potrzebuje przyciągać, czarować, odurzać, magnetyzować. Musi być wnuczką fakira. Siła jej wzroku ogromna.

Umysł jej ptasi.

To też, choć spróbowała na początku obiadu zastosować się do mojego poważnego nastroju, prędko z niego stoczyliśmy się do daleko niższego poziomu. Mówiłem jej takie rzeczy, którychby się nie powstydział sam Koko.

Ośmielona moją banalnością, zapytała mnie, czy dzisiaj z nią pójdę na przechadzkę.

— Nie, pani, ja od gwaru uciekam.

— Stanowczo?

— Stanowczo.

— Pan chyba się boisz? — rzekła z ognistym spojrzeniem.

— Czego, pani?..

— Czego?.. — powtórzyła Indyanka, ale mi nie dała dalszych objaśnień. — Pan przecie nie jesteś żonaty? — dodała po chwili.

Pomimo całej urody wydała mi się wstrętą. Nienawidzę kobiet, które się rzucają na szyję.

— Nie, pani, — odrzekłem, — bo po nad wszystko cenię swobodę i spokój.

Indyanka była zła. Choć starała się ukryć swoją irytację, dość było zobaczyć, jak się obchodziła z pieczonym gołąbkim, który leżał na jej talerzu.

Jedząc, przypomniała mi zwierze.

Umysł jej ptasi, ale dusza tygrysia.

8 lipca.

Początek obiadu zeszedł nam w milczeniu. Indyanka dąsała się, a ja korzystałem z tego. Chciała, abym ją zaczepił, ale nie miałem podobnych zamiarów. Widziałem, jak zlekka pocerwieniła. Wkońcu, niemogąc już dłużej wytrzymać w milczeniu, zapytała:

— Pan jesteś wrogiem małżeństwa?

— Tak, pani.

— Dlaczego?

— Bo małżeństwo zabija to, co jest najpiękniejszego w świecie: miłość.

— Jakim sposobem?

— Zanadto do kobiety zbliżając, daje sposobność poznania jej.

— A pan nie chcesz znać kobiet?

— Wolę je kochać.

— Wszystkie?

— Tak, kolejno.



— Daleko pan z tem zajedziesz!

— Aż do Interlaken.

— A tutaj?..

— Aż do końca obiadu. Patrz pani, czas przeleciał tak szybko, już nam wolno jeść migdały i figi.

— Pan się z tego tak cieszysz, jakgdyby panu ten obiad ciążył.

— Trochę. Kuchnia tutaj załusta.

Indyanka ruszyła ramionami.

— Więc pan nie odrzucasz miłości?

— Przeciwnie.

— Pójdiesz pan na przechadzkę?

— Nie mogę.

— Pójdziemy sami we dwoje.

— Niebo się chmurzy, może być deszcz...

— Co to szkodzi!

— Moja ciotka mi nie pozwala narażać się na wilgoć. O katar tak łatwo!..

Indyanka odwróciła się odemnie.

9 lipca.

Napłynęło dużo nowych turystów. Skorzystałem z tego ruchu w hotelu i kazałem swoje miejsce przy obiedzie przenieść na inny koniec stołu.

Jutro się ztąd wynoszę. Interlaken jest miejscowością rozkoszną, ale to nie wieś, to

hotel. Zresztą mnie sam widok Indyanki zaczyna już dławić.

12 lipca, Brienz.

Znalazłem ładne schronienie.

Nająłem tu parter małego domku, złożony z dwóch czystych pokoi. W jednym sypiam, — w drugim będę mógł czytać, rysować... Z okien widzę piękne jezioro i duże drzewa.

Cicho tutaj, spokojnie i świeżo.

Bardzo lubię strój kobiet w berneńskim kantonie. Na nieszczęście staje się coraz rzadszym. Jeszcze tylko w dni świąteczne widzieć go można.

Bernenki są ładne, białe, zdrowe; w oczach mają dużo wyrazu, a usta ich niby cukrowe.

Parę dni temu chodziłem na *Tanzmusik* do wiejskiej niedalekiej gospody. Lubię patrzeć na szczerą wesołość ludu, lubię widzieć jego tańce, słuchać jego śmiechu. Prostakom dobrze na świeciel

Gdyby człowiek podróżował tylko w niedziele i dni świąteczne, mógłby pomyśleć, że w życiu śmiech góruje nad łzami. Niedzielne śmiechy prostaków są szczerze, bo przez sześć dni ciężko pracowali. Fizyczna praca jest źródłem

x zdrowia nietylko dla ciała, ale i dla duszy. Gdybym był zdolny pracować ciałem, umiałbym się i zaśmiać.

Ale moje ciało niezdarne. Za to pracuje dusza, szamocze się, a to spokoju nie daje.

Praca ludzka, ruch ciągły, niepokoje, walki, wojny, wszystko to dąży do celu jednego, — do złota, które daje chleb.

Ja tego chleba mam więcej, niż zjeść mogę. Dobre choć to, że majątku nie trwonię.

I tego nie jestem pewny, czy robię dobrze, iż go nie tracę. Gdybym wyrzucał go nawet przez okna, nie przepadłaby z niego ani jedna okrucha, nic; tyłkoby się to mienie przeniosło z jednej do tysiąca kieszeni. Zyskaliby na tem ci, którzy pracują, tworzą, sprzedają... Kto wie nawet, czyby się moje pieniądze nie rozlokowały lepiej i pożyteczniej, niż tak, jak to obmyśliłem w długo redagowanym testamencie, bo los nie jest ślepy; porządny jest i logiczny, jak stary Niemiec.

Zatem człowiek, niemający rodziny, powinien tracić majątek?

Wystawiam sobie szeroko poroztwierane gęby naszych obywateli - ekonomistów, gdyby się kto z takim zdaniem wyrwał, przed nimi. Oniby chcieli każdy ogródek zamienić na majorat. Prawda, że nie mogą zrozumieć,

iż majątek jest dla człowieka. Ich zdaniem człowiek dla majątku stworzony.

Wczoraj przez kilka godzin urządziłem się w moich wesołych pokoikach. Niewiele w nich mebli, ale poprzestawiałem je wszystkie. Powinno mi tutaj być dobrze.

13 lipca.

Rano padał deszcz. Nudziłem się bardzo bo czytać bez przerwy niemożna, a wyjść niepodobienstwo.

Przyszła mi do głowy myśl świetna i pocziwa. Marynia nie zna Szwajcaryi. Sprowadzę ją tutaj, i będzie nam bardzo spokojnie i cicho. Będziemy wspominali dawne dobre czasy. Zygmunt zostanie z dziećmi, a Marynia trochę się rozerwie. Ponieważ im trudno o każdy grosz, wszystkie koszta jej podróży biorę na siebie. Z kuzynem ceremonii robić nie będzie.

Wyprawiłem długą do niej, depeszę. Jeżeli mojej propozycji nie przyjmie, — zrobi głupstwo, bo nie wiem, w jaki inny sposób pozna Szwajcaryę.

Po południu trochę się wypogodziło, i mogłem wyjść na obiad.

Obok restauracyi, a raczej traktyerni, w której jadam, urządzono kręgielnię, ale w dni powszednie nikogo przy niej niema. Opuszczona, robi wrażenie trupa.

Widząc, jakim pożądliwem okiem spoglądałem na kręgielnię, ulitowałem się nademną, młody chłopiec, usługujący mi przy stole, Hans, i zaproponował mi partyjkę w kręgle.

Omów go nie uściskałem. Gdy niema co robić, dobre są i kręgle.

Graliśmy ze dwie godziny. Hans zgrał mnie zupełnie. Obiecał mi jutro dać odwet, jeżeli gości w gospodzie niebędzie. To zacna dusza ten Hans.

Zawczasu myślę z rozkoszą, jaki to sen będę miał po tych kręglach.

14 lipca.

Dziś rano słońce świeci, i kręgle pójdą w kąć.

Przyniesiono mi odpowiedź Maryni. Dziękuje mi, ale męża porzucić nie może.

Trudno, niech tu i Zygmunta przywiezie. Idąc na przechadzkę, wstąpiłem do biura telegrafu.

Okolice jeziora Brienz precudne. Zielono, świeżo, a ścieżki doskonałe, tak że najdalsze przechadzki nie nużą.

O godzinkę drogi w głębokiej kotlinie, ście-

śnionej dwiema skalistemi ścianami, nad bystrym potokiem stoi ładny młynek, do którego dzisiaj dotarłem piękną cieniłą drogą.

Młynek przypiera z jednej strony do owocowego ogródka, w którym osobną grupę formuje kilka olbrzymich kasztanów o szeroko powyciąganych w powietrzu konarach.

Pod kasztanami ściele się miękka, rozkoszna murawa. Można na niej godzinami na wznak przeleżeć i, słuchając zagniewanego potoku, patrzeć w górę na poplątane gałęzie i liście, pomiędzy którymi gdzieniegdzie przeświecają fantastycznie wykrojone płatki błękitnego nieba.

Przy młynku znajduje się mleczarnia, po dziedzińcu biegają kury, a gdzieś z jakiegoś chlewka dolatują wesołe chrzankania sybarytów, których życie jest nieprzerwanem pasmem jedynych uciech, jakie są w stanie ocenić.

To też w młynku w każdej porze dostać można nabiału, świeżych jaj i dobrej wędliny.

Bardzo mi się ten zakątek podoba; będę tu często przychodził z książkami i farbami.

Wszyscy mieszkańcy młyna młodzi, weseli i mają twarze poczciwe. Gawędzą chętnie i w gościu prócz turysty umieją widzieć człowieka, który się nudzi.

Młynarz i jego żona, brat jego młodszy, Franz, i ładna służąca, Anna, składają kolonij-

kę przy młynie. Dwoje dzieci bawią się, śmieją albo płaczą w ogródku.

Franz i Anna niezawodnie muszą się kochać. Byliby głupimi, gdyby się nie kochali. Tacy ładni oboje, tacy zdrowi, normalni, a w tym zakątku tak wesoło i świeżo. W dodatku pod jednym dachem mieszkają, jedna zajmuje ich praca, jeden chleb jedzą.

Wszyscy weseli i z życia zadowoleni. Będę tutaj powracał, bo mnie ich widok orzeźwia.

15 lipca.

Odpowiedź od Maryni. Zygmunt nie może gospodarstwa porzucić.

Śmieszni są doprawdy z temi skrupułami. Im się wydaje, że to jakieś zasady!

Czy Zygmunt będzie gospodarstwa pilnował, czy nie, — interesa jego zawsze źle iść będą. Co dzisiaj chcę dla nich zrobić, tego może jutro nie zrobić. Zamiast korzystać z tego wolą siedzieć na wsi i kopy rachować.

A wiem, że Marynia oddawna marzy o Szwajcaryi, którą zna tylko z rysunków.

Ha! Niechże robią, jak się im podoba. Ja przecie nie mogę poleskiego majątku razem z nimi przенosić do Brienz.

Znowu się zasłociło. Zamiast przechadzki do młyna — musiałem grać w kręgle. Hans

nie da mi wygrać jednej partyi. Wkrótce rzuci służbę i pójdzie na bankiera.

Przed wieczorem zjawilo się dwóch starych Szwajcarów w kręgielni. Jeden z nich jest szewcem, a drugi — kowalem. Hans ustąpił im miejsca, i wzięli mnie w obroty.

Ale ściemniło się. Nie miałem ochoty powracać do pustego mieszkania, więc godzinę jeszcze spędziłem w gospodzie. Popijając piwo, gawędziłem z moimi pogromcami w kręgle. I Hans przysiadł się do nas.

Uparli się, chcąc koniecznie za piwo zapłacić.

Staję się straszliwie sielankowym.

Wyobrażam sobie, jakby się śmieli moi znajomi, jak sam kiedyś będę się śmiał z tego knajpowania z szewcem, kowalem i *Hausknechtem* z gospody.

A jednak to śmiesznem nie jest. Ja zgóry wiem, co mi powie każdy ze znajomych. Tu zaś wędrowałem w krainie nieznaney.

Od szewca, który szyje buty, od kowala, który robi podkowy, od posługacza, który się po gospodzie krząta, mogę się czegoś dowiedzieć i nauczyć.

Od człowieka, który nie robi nic, niczego się nie dowiem.

W dodatku — my, ludzie wykształceni, wiel-

bimy sztukę o tyle, o ile się zbliża do wyższej od siebie natury.

Szewc, kowal i parobek — czyż to nie natura?

16 lipca.

Znowu dziś deszcz i kręgle, potem gawęda i piwo.

I nie mogę się na to uzalać; w gospodzie się nie nudziłem.

Za to rozleniwiam się do czytania. Książki mnie męczą.

17 lipca.

Świetna pogoda.

Marynię tknął jakiś skrupuł. Znowu od niej depesza. Pyta mnie, czym nie chory. Pi-sze, że niespokojna.

Przyszło mi na myśl zatelegrafować, że chory. Sądzę, że w takim razie by przyjechała, bo ja *sierlota*.

Nie żałowałyby tego, najprzód, bo zastałyby mnie zdrowego, a powtóre, bo poznałyby Szwajcaryę.

Ten ostatni wzgląd zachwiał mnie w mojej zachciance. Onaby chciała poznać Szwajcaryę, a nie samo tylko Brienz. Zamiast spokojnie siedzieć na miejscu, chciałyby zwiedzać, latać, robić wycieczki.. Jabym jej nie towa-

rzyszył i zyskałbym w rezultacie, to co już mam i teraz, — samotność.

Spędziłem parę godzin w młynie, gdzie bliżej przypatrzyłem się Annie.

To bardzo ładna dziewczyna. Oczy jej robią wrażenie fioletowych bratków. Dwie zaznaczone pod oczami żyłki dopomagają w złudzeniu. W oczach tych jest coś aksamitnego, miękkiego.

Spytałem ją, czy chodzi w niedziele na tańce.

— Naturalnie, — odrzekła.

Powiedziałem jej żartem, że, jeżeli nie ma tańców zamówionych, ja będę jej tancerzem następnej niedzieli.

Uśmiechnęła się, trochę poczerwieniała, ale zupełnie naturalnie przyjęła to, co uważałem za żart.

— Dobrze, — odrzekła prosto.

Tak ładna była w tej chwili, że postanowiłem słowa dotrzymać.

Mam nadzieję, że Aurelka albo księżna Hortensya nigdy nie dowiedzą się o tem.

21 lipca.

Byłem na tańcach, gdzie już zastałem Annę,

odświętnie ubraną i promieniejącą. Śliczniej było w berneńskim kostiumie.

Przywitałem się z nią i zaraz zacząłem się nad jej strojem unosić.

— Podoba się panu? — rzekła z widoczną przyjemnością.

— Bardzo! — zawołałem, pożerając ją oczami.

Poczem, czasu nietracąc, puściłem się w płąsy, przebijając się przez tłumy tańczących wieśniaków, ja, który na balach nigdy nawet nie wchodzę do balowej sali.

Bawiłem się.

Na nieszczęście znalazłem w karczmie znanych, — kowala i szewca z kręgielni. Obaj nieco podpici, zaczęli mocno przyjaźnić się ze mną i klepać mnie po ramieniu.

Sielanki dobre są, ale w miarę. Równowaga potrzebna we wszystkim. Widząc przeto, że jej brakło moim partnerom z kręgielni, cichaczem wyniosłem się z karczmy.

23 lipca.

Dzisiaj widziałem Annę.

— Dobrze się na tańcach bawiłaś? — zapytałem ją wesoło.

— Nie, — rzekła i, jakby z wymówką, spojrzała na mnie pięknymi fioletowymi oczami.

— Dlaczego?.. tak było tłumno.

— Nie tańczyłam... Pan odszedłeś. Myślałam, że pan wróci, i czekałam na pana.

Popatrzałem na nią.

— Jak można robić takie rzeczy! — zawołałem. — Teraz będziesz musiała kilka dni czekać na nową zabawę.

— Pan przyjdiesz? — spytała Anna.

— Nie... strasznie gorąco i bardzo dużo dymu. Mnie głowa boli od tego.

Anna spuściła oczy.

Nie rozumiem, czego chce ta dziewczyna. Czyżby to się dla niej zaczynał romans?

Ale nie! to być nie może. Jestem prawie dwa razy od niej starszy. Jestem wątły, bładny skwaszony... a Franz taki młody, rumiany, barczysty i tak się szczerze śmieje!

28 lipca.

Ładna, urocza dziewczyna...

Coraz więcej łąnie do mnie. I ja też od niej nie uciekam... Przychodzę, gawędzę, żartuję, zaglądam w cudne jej oczy; czasami się kłócimy, potem się znowu godzimy... A potok szumi bez przerwy, wierzchołki drzew kołyszą się cicho, alpejskie szczyty na nas patrzą, ich skały odbijają nasze rozmowy i śmiechy...

Anna oswaja się coraz więcej.

Gdybym się o to postarał, byłaby moją, bo

jeżeli mnie jeszcze nie kocha, pokochać może...

Przy niej znalazłbym kilka chwil zapomnienia, utkanych orzeźwiająca poezią.

Czuć uderzenia młodego, czystego serca, patrzeć na rumieńce prostego dziewczęcia, co delikatnością barwy przypominają zorzę, z jej ust spijać świeże pocałunki, przez oczy jej patrzeć aż w głębiny jej duszy... to są rozkosze, które, chociażby chwilę tylko trwać miały, niezatarte po sobie muszą zostawić wspomnienia...

A ja bym potrzebował świeżości, sił nowych, wrażeń, zapomnienia...

Jednak waham się, nie wiem... Żał mi oiednego kwiatka... chwilami góruje we mnie postanowienie zrobienia z siebie ofiary... chcę przejść obok niej, jak człowiek obcy, nieznany, niezostawiając nawet wspomnienia.

Ale jeszcze nie czas na wielkie czyny... Mogę z nią bezkarnie rozmawiać i patrzeć w te głębokie oczy fijołkowego koloru.

29 lipca.

Siedziałem koło młyna pod kasztanami, które mnie chroniły od nieznośnego upału. Leniwo, nie śpiesząc się, podmalowywałem wodnymi farbami ładny widoczek, roztoczony przedemną.

Anna gospodarowała, — co chwila, wchodząc do młyna albo z niego wybiegając. Czasem podbiegała do mnie, aby rzucić okiem na rozpoczęty obrazek, który był jej obiecany.

— Bardzo ładnie! — powtarzała radośnie. — Każę to ładnie oprawić i zawieszę nad komodą tuż obok mojej pięknej ryciny.

Rycina, którą się tak pyszniła Anna i którą mnie raz przynosiła pokazać, jako znawcy, przedstawiała Wilhelma Tella. W teatralnym stroju i niemniej teatralnej postawie z łukiem, wymierzonym wprost naprzeciw syna, twarz miał, zwróconą do publiczności, i robił do niej słodkie oczy.

Anna stawiała mi rozmaite pytania, dotyczące mojej pracy, i robiła estetyczne uwagi.

Było bardzo parno i pomimo cienia — gorąco. Żaden listek nie poruszał się na wysokich drzewach, i tylko niezmordowany potok szumiał, protestując przeciw powszechnej senności, rozlanej w naturze.

— Jak pan powoli maluje, — zauważyła Anna.

— Tak... i zdaje mi się, że nic z tego malowania nie wyjdzie.

— O! Czemu!

— Gorąco... zapach przeminął...

— O! Proszę! Niech pan to skończy.

— Przyjdę tu jutro i zrobię ci co innego.
Portret.

— A czyj?

— Naturalnie mężczyzny. Postaram się, aby był podobny.

— Któż to taki?—spytała.

Wskazałem jej Franz'a, który w tej chwili wchodził do młyna.

Anna zaczęła się śmiać.

— I tak już go codziennie widuję,—rzekła swobodnie.

— Jesteś niewdzięczna.

— Czemu?

— On musi ciebie kochać.

— On?.. On się w jesieni ma żenić. Może pan uważał na tańcach... duża taka, czerwona dziewczyna, Gertruda... na jedno oko ślepa?..

— On z nią się żeni?

— Tak.

— A to cymbał!

— Gertruda ma dziesięć tysięcy franków. Jak się pobiorą, założą sklep w Brienz, a może nawet i w Thun.

Był to dla mnie zawód szkaradny! Nie patrzałem na Franz'a inaczej, jak na bohatera ładnej i świeżej sielanki. Nie! On się sprzedawał tak samo, jak panicz z wielkiego świata.

Żal mi się zrobiło mojej Arkadyi. I młynek, i potok, i drzewa, wszystko mi się naraz wydało wymuszone, brzydkie, pozbawione prostoty.

Tylko Anna ocalała w tej zmianie dekoracyi. W tem wykrygowanem otoczeniu była zawsze zdrowym i ładnym kwiatkiem.

— Skończ pan swój widoczek,—rzekła.

— Spróbuję, — odpowiedziałem i na nowo wziąłem się do roboty.

Nastało milczenie. Ja malowałem, a Anna, pochylona nademną, śledziła każde pociągnięcie pędzla.

Nagle rozległy się tuż za nami wesołe i hałaśliwe śmiechy.

— Co to?—spytałem Anny. Ale, nim mi odpowiedzieć zdołała, już obok mnie stała Indyanka z Interlaken, otoczona przez gromadkę młodzików.

— Nietaki pan dziki, jak się zdawało,—zawołała.—Zaczynają pana przyswajać.—To rzekłszy, popatrzała na Annę i szybko od stóp do głowy przebiegła po niej oczami.

Ubrana w suknię ciemno-zieloną rozmaitych odcieni, w tym gaju wyglądała, jak leśna dryada.

Mówiła po angielsku, ale Anna zrozumiała znaczenie jej spojrzenia i lekko się zarumieniła. Te dwie kobiety, obok siebie stojące, two-

rzyły dziwny kontrast. Jedna pewna siebie, wyzywająca, wspaniała,—druga tylko ładna, ale potulna cicha i dobra. Lubowałem się tym kontrastem —i w duchu—bez chwili wahania pierwszeństwo przyznałem Annie. Przy niej —Indyanka wydała mi się brzydką... bo jednej iskierki dobroci niemożna było wygrzebać w wyrazie jej twarzy.

Kazałem Annie przynieść nam mleka, sera, owoców.

— Kto to?—spytała pani Bird, gdy Anna odeszła.

— Służąca. Zaraz pani przyniesie prawdziwie sielski posiłek.

— Dziękuję i przyjmuję, — rzekła Indyanka.—Okropnie gorąco.—To mówiąc, ognista kometa usadowiła się na trawie. Za jej przykładem poszedł i jej ogon.

— Gdzie się pan ukrywasz? Gdzie mieszkaś?—zaczęła mnie pytać.

— W Brienz.

— Al.. tam bardzo ładnie.

— Ładnie. Mam ogród, widok na jezioro...

— Ślicznie! Jutro odwiedzimy pana całą bandą. Prawda, panowie? Będzie bardzo wesoło!..

— Doskonale, — odrzekłem. — Niechże się pani tylko wcześniej wybierze, bo ja jutro rano odjeżdżam.

Pani Bird spuściła oczy, ale czuć było ich ogień. Patrzała na trawę, i zdawało się, że ją spojrzaniem wypali.

Tymczasem Anna już była zastawiła śniadanie. Pani Bird od czasu do czasu rzucała na nią oczami.

Rozmowa niebardzo się kleiła. Było gorąco, a w dodatku pani Bird zdawała się być w złym humorze.

— Szkoda! — rzekła, wstając, a tym razem mówiła po niemiecku.—Pan stanowczo odjeżdżasz jutro?—To mówiąc, uważnie popatrzała na Annę.—Jutro?

— Jutro o dziesiątej.

Anna z niepokojem spojrzała na mnie. Podniesione jej brwi i oczy były zanadto wymowne.

Pani Bird zaśmiała się.

— Bywaj pan zdrow,—rzekła.—Ja panu przeszkadzać nie będę.—I znowu znacząco popatrzała na Annę.

— To niemożliwe,—odrzekłem z uprzejmym ukłonem. — Pani niezdolna jesteś przeszkadzać.

Usta jej poruszyły się, pobladła, ale nie powiedziała słowa; szeleszcząc suknią, odeszła wolnym krokiem, wyprostowana i sztywna. Wyglądała, jak zirytowany indyk, gdy, wy-

przeżywszy się cały, kroczy, trąc piórami po ziemi.

— Kto jest ta pani?—zapytała Anna.

— Nie wiem... jakaś awanturnica z hotelu...

— Pan jej nie lubisz?..

— Nie...

— Musi być zła.

— Zdaje się.

Nastąpiło milczenie. Wziąłem znów pęze do ręki. Było coraz parniej; w powietrzu wisiała burza.

— Nie chcesz portretu Franz'a?—spytałem.

— Nie.

— Więc mi wskaż swój model.

— Ja nie mam modelu.

— Nie sztuka zapierać się ze spuszczonei oczami,—odrzekłem.

Anna podniosła głowę i popatrzała na mnie dziwnie pięknem spojrzeniem. Ciemne fijołkowe jej oczy zdawały się głębokie — bez dna, aż się robiło straszno i zarazem błogo. Ładny jej nos i świeże usta harmonizowały z temi oczami. Niemożna sobie było wyobrazić jednych bez drugich.

Ubrana była odświętnie, może na moją intencję. Aksamitny gorsecik ładnie zarysowywał jej kibić. Białą, obnażoną po łokieć ręką bawiła się srebrnym łańcuszkiem, zdobiącym jej gorsecik.

Popatrzała na mnie, ale nie mogła długo mojego wzroku wytrzymać. Znowu spuściła oczy, —i zobaczyłem dwie krople, które jej z pod rzęs wypadły.

— Co to jest!—zawołałem.

— Nie! nie! — odrzekła i spróbowała się uśmiechnąć.—Kończ pan swoją robotę,—dodała z udaną swobodą.

— Ach, nie, moje dziecko. Jutro już ją skończę.

— Jutro!—zawołała.—Więc pan jutro nie jedziesz?—I weselej na mnie spojrzała.

Wzięłem ją za rękę; nie odebrała mi jej. Byłem także wzruszony, czułem, że i mnie łzy w oczach się kręca.

— Prawda,—szepnąłem,—ja muszę jechać.

— Ale niejutro? nie?..—pytała Anna i błagalnie na mnie patrzała.

Było coraz parniej i duszniej. Niemoc zaczynała mnie zwolna ogarniać. Czułem w sobie dziwny brak woli, sprężystości, siły. Małe dziecko mogło w tej chwili kierować mną według swojego kaprysu. .Wszakże jeszcze spróbowałem się bronić.

— Nie mogę,—rzekłem,—muszę,—i popatrzałem na jej rękę, którą ciągle trzymałem. Ręka ta znała pracę, ale formy jej były kształtne. Była czysta, zdrowa, a wyżej ku łokciowi odtoczona cudownie.

Podniosłem ją do ust.

— Co pan robisz?—szepnęła Anna,—ale ręki mi nie odebrała.

— Bywaj zdrowa, — odrzekłem, całując tę śliczną rękę.

Anna milczała, zarumieniona, jak zorza.

— Bywaj zdrowa, — powtórzyłem i popatrzałem na nią. Cudną miałem przed sobą istotę; serce jej biło dla mnie, całkiem mnie oddane.

Objąłem ją, usta moje dotknęły świeżych jej ust.

W tej chwili — ściemniło się, a chłodny wiatr, raczej wichur, zeskokczywszy z jakiegoś lodowca, wpadł do kotliny i wstrząsnął drzewami ogrodu. Błysnęło raz po raz.

Ten wiatr mnie orzeźwił. Uczułem się nagle silny.

Trzymałem w objęciach wątłą istotę, którą mogłem za chwilę zgnieść, zmiąć, stratować...

Czy miałem postąpić, jak z biedną Zosią? Czyż już nie pamiętałem łez Zosi? Miałem znów niszczyć, co było piękne, aby po niewczasie żałować i gryźć się?

Ale się jeszcze wahałem. Anna była cudowna, kochała mnie, tuliła się do mnie...

W wężozie rozległ się straszliwy łoskot piorunu. Zdawało się, że wałę się góry, że drzewa się łamią, że pękają skały. Echo roz-

nosiło ten łoskot, powtarzało je z zaciekłością.

I naraz runął ulewny, szalony deszcz, który mnie od razu wytrzeźwił.

— Bywaj zdrowa,—rzekłem stanowczo.—
Jadę. Będzie to lepiej dla ciebie i dla mnie.

I, niepatrzając na nią, nieczekając na jej odpowiedź, ścisnąłem ją tylko za rękę i uciekłem.

Deszcz lał, oddychałem coraz swobodniej, było mi lżej na sercu. Byłem rad z mojej ucieczki, chociaż ta Anna—w ładnym kostiumie, w otoczeniu gór, wody, zieleni—była to niby zaciszna przystań, mogąca na długo nawet zatrzymać po burzach, których życie nie skąpi.

Powróciłem do domu, zupełnie przemoknięty. Cały wieczór zeszedł mi na obsuszaniu się i pakowaniu manatków. Jutro rano koniecznie ztąd odjadę.

Biedna Anna! Co robi w tej chwili? Płacze, ale chwala Bogu nietak płacze, jak płakała Zosia w Wenecyi.

Za rok tutaj powrócę i zastanę ją zaręczoną albo zameżną.

31 lipca. Lucerna.

Uciekłem! A to baba piekielna.

Wczoraj rano kończyłem się ubierać. Mój kufer już się znajdował w biurze dyliżansów; miałem zamówiony *coupé* do Lucerny; wiązałem na szyi krawat i miałem zamknąć podróżny worek, gdy wtem do pokoju weszła moja gospodyni. Na twarzy jej igrał poczciwy uśmiech.

— Już teraz pan nie pojedzie! — zawołała.

— A to dlaczego?

— Zgadnij pan, kto do pana przyjechał, — rzekła.

— Chyba sam Wilhelm Tell... Pani tak uroczyście wyglądasz...

— Nie, panie, ale pańska siostra.

— Marynia! — pomyślałem uradowany. — Narzeczcie!

Choć o niej od kilku dni nie myślałem, — w tej chwili rad byłem ją zobaczyć. Po wczorajszych wzruszeniach, po walkach, jakie z sobą stoczyłem, towarzystwo Maryni mogło mnie tylko ukoić. Chciałem jej opowiedzieć o Annie; czułem, że mnie pochwali, a zarazem litować się będzie nademną.

Do tej pory nie mogłem zapomnieć wczoraj-

szej sceny, do tej pory czułem, jak się do mnie biedne dziewczę tuliło, widziałem fijołkowe jej oczy, takie głębokie...

— Siostra?—zawołałem, —gdzież jest?

W pół rozwarte drzwi otworzyły się zupełnie, a w nich zamiast Maryni ukazała się pani Bird.

— Tak, siostra,—rzekła z podniesioną głową, paląc mnie swojemi oczami.

Gospodyni wyszła z pokoju i zamknęła drzwi.

Miałem przed sobą wspaniałą samice, która mi przynosiła czarę, pełną narkotycznych upojen. Patrzała, pewna tryumfu, wyzywająca, zwycięska. Lekki uśmiech po jej ustach przebiegał.

W tej walce, którą od paru tygodniżze mną toczyła, na kartę swą kładła ostatnią stawkę.

Nie mogłem się wahać. Jeszcze żadnej kobiecie nie dałem siebie pokonać. Jeśli raz powiedziałem: „nie chcę“, potrafię to powtarzać do końca, bo nie znam woli, któraby moją ugięła. Przedwczesny tryumf tej głupiej kobiety, i to —tryumf nademną, oburzał mnie, jakby obelga.

— Siostro,—rzekłem z głębokim ukłonem,— pozwól, że i ja bratem dla ciebie zostanę.--

I, schwyciwszy worek, wcisnąwszy kapelusza na głowę, wybiegłem z mieszkania.

Wpół godziny potem już byłem na drodze do Sarnen.

W tej kobiecie brak równowagi. Gdyby jej miała choć trochę, mogłaby się podobać.

2 sierpnia. Rigi-Kulm.

Niemcy, Francuzi, Anglicy.

4 sierpnia, Schaffhausen.

Anglicy, Francuzi, Niemcy... Nudzę się.

5 sierpnia, Zürich.

Co mam z sobą robić? Nudzę się, do Warszawy wracać zawczasie, nikogo tam jeszcze niema, pustki, pustki..

Ale zresztą gdzież na świecie niema tych pustek?..

6 sierpnia.

Ja zanadto mózgiem pracuję.

Myśl często nas zadaleko zapędzi. Nietrzeba zbytecznie mędrkować.

Brak harmonii! Brak równowagi!.. Co to za czcze słowa, co za marne rozumowania!..

Czyż może być pod słońcem istota, łącząca

w sobie wszystkie doskonałości? Niel takiej niema,—zatem w żadnej niema harmonii.

Pocóż więc odtrąciłem tę wspaniałą Indyankę, która sama się do mnie na niewolnicę wpraszała?

Czy i tu mogły wyniknąć kłopoty, przykrości, łzy?.. Niel takie Indyanki nie zostawiają po sobie żadnych wspomnień. Po roku rozstania można je spotkać i nie pamiętać nawet, czy się je bliżej znało.

Brak równowagi! Ależ to właśnie jej urok ten brak równowagi, ta zwierzęca dzikość, ta piekielna namiętność...

Drugiej takiej Indyanki może już w życiu nie spotkam. W dodatku sama szła do mnie, szukała mnie, prosiła...

Jeśli komu brak równowagi można zarzucać, to chyba mnie.

Zanadto mędrkowałem i wpadłem w manierę. Szkoda!.. Taka kobieta w życiu—to jak ostre angielskie sosy przy jedzeniu.

7 sierpnia. Interlaken.

Pani Bird kilka dni temu wyjechała do Bern. To szczęście, że adres zostawiła w hotelu.

8 sierpnia. Bern.

Niema jej. Pojechała z mężem do Genewy.

Ha! pojedę tam i ja. Gdy czuję, że nie miałem słuszności, umiem do tego się przyznać. Zresztą nie mam nic lepszego do robienia w tej chwili.

9 sierpnia. Genewa.

Wyjechała; przepadła bez śladu. Szkoda!

10 sierpnia. Genewa.

Mniejsza o nią. Do Indyi za nią nie pojedę. Niech ją djabli wezmą.

Zostanę tu parę dni. Genewa—to dobre miasteczko. Potem wybiorę się do Kaltenleutgeben.

Po moralnych wstrząśnieniach, jakie tego lata przeżyłem, kuracya mi się należy.

18 sierpnia. Kaltenleutgeben.

Od kilku dni już siedzę w tej modnej kotlinie.

Nacierają mnie mokremi prześcieradłami, każą chodzić, nie pozwalają jeść, słowem bawią się ze mną, ale mi to służy.

W mieszkaniach i na korytarzach—wszędzie czuć zapach parującej wody.

29 sierpnia.

Przyjechałem tu na parę tygodni, ale zaba-

wię dłużej. Z każdym dniem przybywa mi sił. Czuję się rzeźwym, młodszym i ciągle głodnym.

Dzień składa się z niewinnych zachcianek, których zaspokojenie jest jedynym celem.

Zastałem tu trochę znajomych i nie mogę powiedzieć, aby mi zawadzali. Nie uciekam od nich, witam ich uprzejmie, gawędzę z nimi dość chętnie. Jest łączność pomiędzy nami, wspólny interes,—zimna woda i dobry apetyt.

Hydropatya godzi z życiem i ludźmi, prowadząc do tej konkluzji, że, ponieważ świata przerobić niemożna, należy się zadawałać drobnostkami, jakich nam on dostarcza. Przedewszystkiem zimna woda gasi wszelkie piramidalne, a zawsze nieokreślone pragnienia duszy i tęsknoty myśli.

3 września.

Czuję się bardzo dobrze. Ba! nawet do pewnego stopnia zajmują mnie ploteczki, jakie mi znoszą usłużni znajomi.

Dzisiaj się dowiedziałem, że Zosia jest na wsi i tam zimę spędzi.

Zosia! Jakież to piękne, ale już dalekie i nieco zamglone wspomnienie!

Gdzież moje łzy, trwogi, wyrzuty?..

A piękna Wenetka Marya? a urocza Anna?

Wszystko to już ginąć zaczyna w niewyraźnym mroku.

A tygrysica Indyanka?

Tę widzę wyraźnie, bo niczem dla mnie nie była.

To, co mnie unosiło, co moją miłość albo zachwyty budziło, dzisiaj już niewyraźne. To, co było mi obojętnem, widzę jeszcze jasno.

Dlaczego?

Pamiętam doskonale pokój mojego ojca, biurko, przy którym pisał, pamiętam jego ubrania, nawet ich krój...

A twarzy jego dziś prawie nie pamiętam.

5 września.

Trąbakiewicz jest niezrównany!

Czując wrodzoną potrzebę zajmowania sobą rodu ludzkiego, pod postacią korespondencyi z Paryża albo Londynu zasila od czasu do czasu dzienniki nowinkami, w których zawsze całe światło umie skierować na siebie.

Wiemy naprzykład, że przejeżdżający ulicą udzielny książę X. poznał go, kazał stanąć i zaprosił go do swojego powozu.

Wiemy, że królowa Y. przysłała jego żonie śliczną szkatułkę z cukierkami, jakie umyślnie dla niej wyrabia Boissier w Paryżu.

Słyszeliśmy, że król Z. w poufnej z nim roz-

mowie wyrażał swoje obawy, co do kataru cesarzowej X. Y. Z.

I tam dalej, i dalej.

Dziś wyczytałem rzecz tego rodzaju:

Działo się to w Biarritz.

Nasz Poraj-Trąbakiewicz, stojąc na brzegu morza, z upojeniem przyglądał się kąpieli jakiejś bardzo dostojnej osoby.

Był to obraz, pełny grozy,—te trzy ze sobą zestawione majestaty,—Trąbakiewicz, dostojna osoba i wreszcie — ocean.

Nagle wśród fali ukazał się czwarty, nie mniej imponujący.

— Rekin! — wrzasnęły jakieś damy, które z lornetkami przypatrywały się falom i tym, którzy się w nich pluskali.

Otóż zamiast uciekać do miasta, do hotelu, gdzieś na poddasze, zamiast wrzeszczeć, że płynie całe stado tygrysów morza albo i wielorybów, niewahając się nawet, Trąbakiewicz wskoczył w spienione nurty rozhukanego żywiołu i, mężnie odrzuciwszy na stronę wszelką etykietę, pochwyił dostojną osobę i zaczął ją na brzeg wyciągać.

W krótkim dodatku umieszczono wyjaśnienie, że później przekonano się, iż rekin był zwyczajnym delfinem.

Co do mnie, wiem, że jest po prostu kaczką.

Ale oprócz mnie dużo jest jeszcze ludzi,

którzy czytają gazety. Niejeden całej tej bajce uwierzy i gotów podziwiać Trąbakiewicza.

15 września. Wiedeń.

Pogoda popsuła się, więc z wolna powracam do swego kąta. Coś ciągnie do Warszawy, choć tak z niej uciekałem tej wiosny. Prawda, że zima za pasem, a z nią budzi się potrzeba tysiąca wygodek, które tylko w domu mieć mogę. Ciało bierze górę nad duchem.

Niebardzo jednak się śpieszę i jeszcze się za Włochami i Szwajcaryą oglądam. Z Wiednia do nich bliżej.

2 października. Warszawa.

Wszystko tutaj zastałem w porządku. Czysto, posadzki wyglądają, jak lustra, lustra, jak szklanki, szklanki, jak panińskie dusze.

Dobrze mi tu będzie przez zimę. Szkoda tylko, że deszcz pada, i wiatr wieje.

5 października.

Bądź, co bądź, człowiek jest stworzony na to, aby obcował z ludźmi. Myślę z niejaką przyjemnością, że zobaczę tę lub ową figurę, która mi podczas wiosny drażniła nerwy. Przyzwyczajamy się do ludzi, jak się przy-

zwyczajamy do mebli albo do pantofli, choć meble czasem niewygodne, a pantofle stare i popękane.

6 października.

Zrobiłem dziś kilka wizyt. Cała ta znienawidzona w kwietniu menażerya wydała mi się dosyć znośną obecnie, lubo nienasycony nigdy ząb czasu na wszystkich zostawił ślady. Wiadać je szczególnie na tych, którzy nie zakosztowali małżeństwa.

Oczy Julki wyblakły, Lolowi górny ząb wypadł, Cesia troszeczkę utyla, u Gucia naliczyłem siedem białych włosów na skroniach; podczesany do góry czubek Tota wydał mi się przezroczysty, a głupi Józio wręcz mi powiedział:

— Ależ się zestarzał! — jakgdyby nie widział, że sam chodzi ostrożnie i nogi stawia szeroko.

Słowem w mojej wycieczce po mieście widziałem rzeczy brzydkie i smutne.

Dziwny to objaw doprawdy, że ja, który wечно szukam piękna i za niem się uganiam, przedewszystkiem widzę rzeczy brzydkie, których inni nie umieją dostrzedz. ≠

8 października.

Już i Hortensya w Warszawie. Pytała się

o mnie. Niemając powołania do dobrowolnych umartwień, nie pójdę do niej.

9 października.

Dziś przy goleniu prowadziłem sam z sobą estetyczny proces.

Dlaczego ludzie się golą?

Każdy na to narzeka, a połowa dobrowolnie poddaje się tej operacyi; myślą, że przez to będą piękniejsi.

Tymczasem natura, która jest większym artystą od człowieka, daje mężczyznom brodę, zatem wąsy, hiszpanki, faworyty—to wszystko jest tylko manierą.

Od jutra zapuszczam brodę.

Będę piękniejszy, co mi zupełnie obojętne, i będzie mi z tem wygodniej,—co bardzo jest ważne.

16 października.

Zredukowałem liczbę znajomych, pozostawiając sobie tylko tych, z którymi można rozmawiać albo nawet pokłócić się. Narachowałem ich pięciu. To mi na zimę wystarczy.

Choć lubię nawet kłócić się z człowiekiem inteligentnym, w świecie potakuję wszystkiemu i każdemu. Trudno bo dysputować z cybuchem, wazonem albo stołem.

Jest nas sześciu. Będziemy się wieczorami zbierali na gawędy. Aby zaś świata nie gorszyć, powiemy, że się schodzimy na „winta“.

Wczoraj przegawędziliśmy do drugiej w nocy. Lubimy literaturę, malarstwo, muzykę,— potraściliśmy nawet o filozofię, ale zamiast cytować Hegłów, Kantów i tym podobnych mędrców, jak prawdziwi samouczkowie, komunikowaliśmy sobie własne ciepłe wrażenia, poglądy, wywody.

Do teatru prawie nie chodzę.

Zamiast sztuki—widzę salę, natłoczoną ludźmi; na prawo ktoś szepcze, na lewo wachluje się jakaś pani i rozsyła dokoła zapach miętowych cukierków, przedemną—kapelusze z dziwacznie zadartem piórem, za mną ktoś kichnął albo zakaszłał, owdzie znów gruby bankier, chcąc tłumowi pokazać, że muzyka nie jest mu obca, w takt głową kołysze albo palcami coś na lornetce wygrywa.

Przytem gorąco, a powietrze takie misterne, żeby go nie zanalizował sam Bunsen.

I jakże tu z namaszczeniem słuchać muzyki?

Wreszcie najgorzej jej szkodzą sami artyści.

29 października.

Odczytałem dzisiaj „*la Confession d'un enfant du siècle*“ Musset'a. Czytałem to, jakby rzecz nową, i nie mogłem zrozumieć, jakim sposobem ta książka zrobiła na mnie tak silne wrażenie przed laty.

Prawda, że to było przed laty.

Od początku do końca mowa w niej tylko o kobiecie i o miłości. Czyż to być może prawdziwe?

Nie! To sztuczne, romantyczne, przebrzmiałe.

I dzisiaj miłość niepoślednią w życiu gra rolę, ale jest raczej dodatkiem, poetycznym jego uprzyjemnieniem.

Dzisiaj jesteśmy trzeźwiejsi i umiemy patrzeć krytycznie nawet na miłość. Widzimy jasne jej strony, ale widzimy także plamy. Ani Musset, ani tysiące adwokatów nie przekonają nas o tem, że plamy te są światłami.

Klasycy tworzyli rzeczy piękne, zatem musieli mieć przekonanie, że odkryli prawdę.

Tymczasem zaświtał romantyzm i powiedział im:

— Kłamięcie! Jesteście sztuczni, fałszywi. Przy nas jest prawda.

Dzisiaj my to samo zarzucamy romantyzmowi.

Kiedys dzieci nasze i nam powiedzą, żeśmy kłamali.

Zatem będziemy mieli już cztery prawdy, gdy prawda powinna być jedna.

Kiedyż nareszcie świat się do niej do-
wlecze?

14 listopada.

Spotkałem Hortensyę.

Powiedziała mi, że nie chce mnie znać, ani widzieć, ani do mnie gadać, gdyż do tej pory u niej jeszcze nie byłem.

Poczem mnie chwyciła pod rękę, bo dużo się kręciło powozów, i bała się sama przejść od Królewskiej do kościoła Wizytek.

A ona modli się tylko u Wizytek i tam zbiera nowinki.

— Wiesz?—rzekła.—Zosia...

— Co?

— Znasz Zosię?

— Mniejwięcej.

— Zosia w poważnym stanie,—rzekła.—No, teraz pójdę już sama; nie bywasz n mnie: znać ciebie nie chcę.



Zosia w poważnym stanie!

To dobra, to błogosławiona wiadomość.
Ogromny ciężar spada mi z serca.

Niebędąc romantykiem, jasno zeznawałem,
że kilka chwil upojenia Zosia okupywała łza-
mi, których nic osuszyć nie mogło.

Teraz się horyzont rozjaśniał.

Niema smutku, którego nie ukoi uśmiech
dziecięcia. Zosia będzie miała co kochać i co
pieścić. To dziecko pojedna ją z życiem, pod-
niesie ją i we własnych oczach uświęci. Du-
ma i miłość matki zatrą w niej wyrzuty su-
mienia żony. Prowadząc dziecko za rękę, obok
mnie nawet przejdzie z podniesioną głową i nie
już pamiętać nie będzie.

Skończyły się jej cierpienia,—skończyły się
i moje. Zdaje mi się, że z ciemnej i ciasnej
jaskini wydostał się na powietrze i słońce.

3 grudnia.

Ciągle myślę o Zosi.

Natura nie znosi zastoju. Dobija albo
uzdrowia.

Niema bólu, który się nie ukoi; niema
chmury, której słońce nie przebije promie-
niem.

I słuszne to, i mądre.

Jedna chwila zapomnienia, szału, osłabienia

nerwów nie może, nie ma prawa poniżyć kobiety na wieki.

Z dzieckiem na ręku Zosia może być jeszcze ładna, święta, harmonijna!

10 grudnia.

Słota! Siedzę, otoczony nowymi książkami. Czytam i przeglądam ryciny. Tysięczne projekta snują mi się po głowie. Zacznę od tego, że po Nowym-Roku wybiorę się do Paryża. Tam niema czasu na nudy. Wszystko zajmuje i każe myśli pracować.

Od pewnego czasu bardzo mi jakoś dobrze. To mnie poprostu myśl o Zosi tak cieszy.

12d grudnia.

List od Maryni. Przesyła mi życzenia na święta. Dzieci jej zdrowe, Zygmunt zawsze zajęty, interesa poprawiają się nieco. Zapytuje mnie, czy też nigdy nie zechcę jej odwiedzić. Zaraz jednak dodaje, że na to nie liczy. Doskonale rozumie, że taki wielki i kapryśny pan, jak ja, nigdy się nie da namówić na odwiedzenie smutnej puszczy poleskiej.

Ma rację, nazywając mnie wielkim panem. Od kiedy jestem spokojny i wesół, czuję się panem ogromnym. Co się tyczy drugiego przy-

miotnika,—odrzućcam go stanowczo, — kaprysy — to wyłączna właściwość kobiet

Zresztą liścik jej bardzo poczciwy. Do reszty rozpędził niemiłe wrażenie, jakie na mnie zrobiła jej odmowa. Ja tak serdecznie zapraszałem ją do Szwajcaryi!

Ale są osoby, na które gniewać się nie umiem.

13 grudnia.

Mróz. Na kominku wesoło pali się ogień. Drzewo pryska i trzeszczy. Śniadanie i obiad zjadłem przy ogniu—w pantoflach i szlafroku.

14 grudnia.

Zercio przyjechał do Warszawy. Naturalnie przywiózł z sobą Aurelkę. Chce ją trochę zabawić, rozerwać. Mają tu spędzić cały karnawał.

Biedny ten mąż, którego żona musi szukać rozrywki za domem.

Wpadł do mnie na chwilę i zabawił przeszło godzinę. Prawda, że opowiadał mi o Aurelce.

Biedak porzucił w domu dosyć ważne zajęcia, ale dla dogodzenia żonie gotów jest wszystko porzucić.

Aurelka tak się cieszy! Od wczoraj już

z księżną Hortensyą objeżdża magazyny i przygotowuje stroje na zimę. Między innymi będzie miała jedną suknię *réseda*—na rauty. Bardzo jej w tym kolorze do twarzy.

Rozkoszowałem się, patrząc na tego olbrzyma, który z taką dokładną znajomością rzeczy opowiadał mi o kolorach materyi i krojach damskich strojów.

Zercio mi sprawił przyjemność swoją wizytą. Obiecał często przychodzić.

15 grudnia.

Dawno nie miałem już takiego kucharza. Zadziwił mnie dzisiaj baraniami kotlecikami. Prawdziwy z niego artysta.

16 grudnia.

Ostrygi w tym roku wcale niezłe. Zjadłem ich dwa tuziny i żałowałem, że nie było trzeciego pod ręką.

Nie ruszam się od kominka.

Mój *Chambertin* coraz lepszy. I koniak się wystał.

Przed wieczorem wpadł Zercio.

Zaczynam już Aurelkę umieć na pamięć i na wyrywki.

18 grudnia.

Porządkując papiery, znalazłem ołówkiem naszkicowany portrecik Anny. Podobna jest bardzo.

Przymknąłem oczy, i dzięki rysunkowi po chwili stanął przedemną wyraźny i śliczny jej obrazek. Ujrzałem ją, stojącą pod cienistym kasztanem. Na obnażonych jej rękach i białych rękawach koszuli igrały fantastyczne plamy światła, co się przekradło przez gałęzie i liście. To się ścigały, to wydłużały, łączyły się albo rozbiegały, uciekając od siebie.

Bawiąc się łańcuszkiem od gorsecika, Anna rumieni się, — zpod rzęs staczają się dwie duże łzy, podnosi fijołkowe oczy, drgnęły jej świeże usta, prosi, chciałaby mnie zatrzymać... Kocha mnie, gotowa na wszystko, poświęci wszystko bez zastrzeżeń.

O! jakież ja byłem głupi.

Zamiast jedną bogatą kartą wzbogacić księgę wspomnień, odtrąciłem kochającą dziewczynę, uciekłem od niej, myśląc, że są łzy, które nigdy nie wyschną, że jest ból, którego nic nie złagodzi.

Ona mnie kochała, a ja rozumowałem, rachowałem...

Nad tym potokiem, który miejscami pieni

się wściekły albo znów, przystanawszy na chwilę, zamienia się w bryły szmaragdu, w tym świeżym gaju mogłem przez chwilę mieć raj.

Ale uciekłem, bo rozum przegadał serce. Rozum jest tylko idyotą, gdy chce krzyki serca przytłumić.

Chyba serce wówczas milczało? Nie! Czyż można było nie kochać tego cudnego stworzenia?

I dziś, słuchając wycia wiatru w kominie, patrząc przez okno na całun zimowy, którym się ziemia okryła, samotny i opuszczony, żałuję i powtarzam, że byłem głupi.

19 grudnia.

Nie mogę siebie poznać.

Czyżby to były skutki hydropatycznej kuracji, która, odbudowawszy i wzmocniwszyciało, zabiła we mnie ducha?

To, co mnie niedawno rozczulało albo we mnie budziło odrazę, dzisiaj pozostawia mnie zimnym. Żałuję, że nie skorzystał z miłości biednego i niewinnego dziewczęcia.

To zima, to wiatr i ślota temu przyczyną. Kazań zajmować się ciałem, dogadzać mu, ochraniać je... i zwolna człowieka przekształcają w zwierze. To zwierze objawia się we

wszystkiem, co chwila. Latem chętnie zebrakom daję jałmużnę. Zimą,—gdy ich położenie sto razy cięższe,—już się ociągam. Nie chcę futra rozpinąć, szukać po kieszeniach, bo zimno. Strona myśląca człowieka służy już tylko na to, aby obmyślać uciechy dla ciała.

W lecie roztkliwiałem się nad Anną, teraz sędzę, że popełniłem głupstwo.

Jeszcze parę miesięcy zimy, wygódek, kominka, ostryg, starego Burgunda i dobrego koniaku, a zejść do poziomu ludzi, których uważam za niższych od siebie. Wtedy mnie będzie mogła lada Aurelka porównywać do Koka. Na herbatkach będę opowiadał matronom francuskie dwuznaczniki i tłuste anegdoty, a im mniej w nich będzie dowcipu, tem się więcej będą podobały słuchającym papugom.

I upojony własną błyskotliwością, jak drugi Koko, gdy będę powracał do domu, w uszach dźwięczeć mi będą pochwały słuchaczek:

— *Charmant! charmant!*

To obrzydliwe.

Błoto nigdy nie miało dla mnie uroku; nigdy przeto nie zejść do niego! Jestem spokojny o to, że, chociażbym nawet i upadł, jeszcze mnie będzie dzieliła szeroka granica od tych salonowych brudasów, którzy zatrute powie-

trze roznoszą dokoła i młodym nawet kobietom w uszy śmiecie wciskają.

To zanadto jest brzydkie.

20 grudnia.

Zercio jest nieoceniony.

Nie może zrozumieć, że się nie ruszam z domu i nigdzie nie bywam. Pomimo adwentu, odbyło się już kilka rautów. Czyż mnie nic nie skusi pójść zobaczyć, jak jego Aurelka wygląda, jak się bawi, jak się ubiera?..

Cytowano jej suknię w jednym z *Kurjerów*.

Jaki ten Zercio szczęśliwy!

Wszakże mu dałem radę, aby w ten sposób nie częstował Aurelką wszystkich swoich przyjaciół.

— Dlaczego?—zapytał.

Trudno mu było powiedzieć, że wszystkich z miasta wypłoszy.

— Tylko ludziom sprawiasz oskome, — odrzekłem.

— Prawda?—zawołał Zercio. — O! ty nie wiesz, jak ja się pysznię tem, że Aurelka jest moja, jaki czuję się wyższy od was wszystkich.

Biedak! Oby nie prorokował prawdy. Jeżeli

rogów dostanie, przerośnie wszystkich najwyższych kawalerów.

21 grudnia.

Dawno nie byłem w klubie, więc tam dzisiaj zaszedłem, ale niedługo bawiłem. Zastałem tam Henryka, który tu wczoraj przyjechał z Krakowa. Choć się nad nim powszechnie unoszą, a szczególnie panie, — nigdy dla niego nie miałem sympatii. Los dał mu wszystko, co na tym świecie dać może: nazwisko, pieniądze, zdolności, swobodę i piękną powierzchowność, ale pan Henryk jeszcze niekontent i zawsze skwaszony. Niema rzeczy, którejby nie skrytykował, świętości, którejby nie wyszydził. Można boleć nad jednym, płakać nad wadami drugiego, ale niegodzi się szydzić. Dzięki tym ciągłym drwinom Henryk ma wielkie powodzenie u kobiet, które bałamuci, choć niemi pogardza. Fantastyk i arogant, chciałby każdemu swoje sofizmata narzucać, chociaż w nie sam nie wierzy i zbija je nowemi. Zdaje się, że i on mnie nie lubi. Pozornie — bardzo z sobą dobrze jesteśmy, ale jestem przekonany, że, gdybyśmy w jednym mieście mieszkali, prędkoby między nami doszło do awantury. Niech sobie durzy Zerciów i Koków, ale niechaj mnie przypadkiem nie zalicza do ich szeregu.

22 grudnia.

Hortensya zaprosiła mnie na wilię, ale, ponieważ i Henryk tam będzie,— nie pójdę. Odpisałem, bardzo jej dziękując za pamięć i dowodząc, że zawiniła przeciw własnej godności. Skoro u niej jeszcze nie byłem z wizytą, niepowinna mnie zapraszać. Przecie jest księżną!

25 grudnia.

Byłem u Hortensyi na wili, niechcąc, aby Henryk przypuszczał, że on mi może zawadzać. Zawieleby mu to zrobiło przyjemności.

Było kilkanaście osób, między innymi Zerociowie. Przy stole Henryk chciał prowadzić rozmowę, ale wziąłem na kiel,— i okazało się, że tylko ja rozprawiałem.

Odezwał się z kilku paradoksami, z których niejedyn już mi był znany, ale ja występowałem z innymi, wobec których to, co mówił, wydawało się niewinną homeopatyczną miksturką.

To też panie były stanowczo po mojej stronie, a Henryk wcześniej wyszedł od Hortensyi.

28 grudnia.

Muszę być niezdrów, bo humor zaczyna mi się psuć, śpię niedobrze i jem bez apetytu.

31 grudnia.

Za kilka godzin rozpoczynamy rok nowy. Wartoby zamknąć rachunki z roku dogorywającego.

Otwieram więc moją księgę.

Jedna jej strona czerni się od złego jakie, moje istnienie przez rok napłodziło, choć żadnej nie popełniłem zbrodni. Zosia, ona nawet już pocieszona i zapomniała.

A jednak złego jest dużo, — tyle, ile dni w roku, ile w dniu godzin.

Nie potrzebuję nawet patrzeć na siebie z punktu surowego katechizmu. Prosta świecka moralność tutaj wystarcza.

Nie mogę być ślepym na to, że każda chwila mojego życia jest złem, działającym ujemnie, skoro nie przynosi nikomu pożytku. To samo, że żyję, że mnie stworzono, dowodzi już, że na coś jestem potrzebny, że na coś przydać się mogę i muszę. Gdybym nie był potrzebny, nie byłoby mnie, bo wszystko, co jest, — ma swój cel.

Gdzież jest mój cel?

Patrzę na świat: Jakby w mrowisku roją się karły rozmaitych kolorów. Jeden coś drugiemu wydiera, gniewają się, biją, pracują, dźwigają, krzyczą, piszą, drukują, przelewają krew, wywieszają chorągwie, błękitni gryzą

czerwonych, pomarańczowi wypędzają białych, fioletowi uciekają od czarnych... i z tego co? Nędze coraz są większe, od łez coraz wilgotniej... aż się lekki wietrzyk podniesie, rozdmucha ich i rozproszy bez śladu, a z nimi drobny ich światek, ich dzieła, wszystko, co wczoraj jeszcze nie istniało, a jutro już istnieć przestanie.

Gdybym mógł widzieć, że cały ten ruch przynosi rzeczywiste korzyści, jakżebym chętnie przyłożył rękę do powszechnej pracy.

Ale ja nic nie widzę.

Mój ojciec był szczęśliwy. Pracował i widział, że jest potrzebny.

Gdybym poszedł za jego przykładem, — podwoiłbym, potroiłbym majątek, z którym już dziś nie wiem, co robić... Cóż z tego?

Zrobiłbym miliony, miliardy... Cóż z tego?

Nic... Ciemności i pustki.

O! pokażcie mi jakiś cell..

Przejdźmy teraz do karty dobrego: Biała, jak stepy, które zima nakryła śniegiem.

Nic!

A moje jałmużny?.. ten krawiec, obarczony rodziną?..

Nie! tutaj nie miejsce na żarty; teraz chwila poważna.

Dobrem może nazywać się tylko to, co od

nas wymaga wysiłku, co nas kosztuje, co nam przychodzi z trudnością.

Jałmużna wdowy była dobrym uczynkiem.

Milionowy skąpiec, dający grosz ubogiemu, ma zasługę, bo wolałby i ten grosz w kieszeni zachować.

Nie jestem biedny, jak wdowa, nie Kocham złota, jak skąpiec.

Dając, — nie ujmuję sobie ani dobrego obiadu, ani artystycznych zachcianek, nie!

Mam dużo. To, co mi zbywa, rozdaję, bo mi jest niepotrzebne, jak niedopalony koniuszek cygara.

W dodatku — dogadzam przedewszystkiem własnym nerwom, które nie znoszą jęku i płaczu. Jest to uczucie zwierzęcej samo-ochrony. Sięgam instynktowo do kieszeni, jak instynktowo chory pies gryzie trawę. Nie czuję nawet potrzeby pochwalenia się z tem, co jedni nazywają dobrym uczynkiem,—a drudzy—ubezpieczeniem od ognia piekielnego.

Więc ja nic nie mogę zapisać na białej kartce pod rubryką dobrego?..

Prawda!..

Biorę pióro do ręki i śmiało wielkimi literami wypisuję:

„Anna.“

To był prawdziwy dobry uczynek. Ręka mi

ani razu nie drgnęła, litery tego imienia, jakby utoczone.

A jednak... Czy niezrobienie złego można już nazwać czynem dobrym? Niezrobienie dowodzi tylko braku czynu. W tym wypadku było to tylko przejściem pomiędzy dobrem a złem, jak zero jest przejściem pomiędzy minusem a plusem.

Nadto, bawiąc się, pozwoliłem jej zachać się we mnie, — a potem, gdyby nie wiatr i deszcz, które mi wróciły przytomność, czy byłbym tak samo od niej uciekł?..

Wątpię.

I sam nie wiem, czy mam imię Anny wykreślić z karty dobrego...

Ale za to zaczynam widzieć, że jest na świecie jedna rzecz wieczna, która się nie zgubi, nie przepadnie, której ukraść, spalić, zniszczyć niemożna; — to dobry uczynek.

Dla niego jednego warto żyć.

Północ bije, — rok stary już skonał.

Rok, który upłynął, zawsze wydaje się najgorszym. Ludzie wesoło witają nowy, który niezawodnie okaże się lepszym.

I ja go witam z ufnością.

Nim dojdzie do swego kresu, karta dobrego w mojej księdze powinna być zapisana od góry do dołu.

Warto jest żyć.

1 stycznia.

Doprawdy ten rok wydaje się weselszym. Dobrze mi na myśl, że jest coś wiecznego na świecie, a wieczna ta rzecz dla każdego dostępna.

Każdy może coś dobrego zdziałać. Pozostaje tylko kłopot znalezienia do tego sposobności. Szukając, można się z nią rozminąć. Najlepiej jest czekać i brać to, co nam przynosi życie, a ono pod tym względem nieskąpe.

Dziś, gdy wywołuję w pamięci dawne obrazki, widzę, że tu i tam mogłem na coś się przydać, coś dobrego uczynić. Grzeszyłem albo przez niewiadomość, albo też przez wrodzone lenistwo i tchórzostwo wobec fatygi, jaka mnie czekała.

Czemże jest ta chwilowa fatyga, którejbym już dziś nie pamiętał, w porównaniu do przyjemnego wspomnienia, jakie po sobie zostawia dobry uczynek? Czyż i bez tego każdy dzień nie składa się z całej wiązki drobnych, nieuniknionych trudów?

Cóż znaczy jeden więcej?

Pod wrażeniem porannych rozmyślań wybrałem się do Zerciów z wizytą. To był dobry uczynek.

Przyjęli mnie z uniesieniem, Zercio nie wiedział, gdzie mnie posadzić, tak się cieszył. Omal mnie nie posadził na kolanach Aurelki.

Nagadałem jej tysiące grzeczności, zachwycając się jej suknią, dowcipem, urokiem...

Zercio zacierał ręce i patrzył na mnie z wdzięcznością. Zdawało się, że, lada chwila, wskoczy mi na szyję i zadusi w serdecznych uściskach.

Od Zerciów pojechałem do Hortensyi.

— Brawo! — zawołała. — Zaczynasz się cywilizować! — I była szczerze zadowolona.

Spędziłem u niej czterdzieści trzy minuty.

To też z zadowoleniem dzień dzisiejszy wspomnam. Czuję się bohaterem.

2 stycznia.

Biedna Marynia! Zygmunt zachorował, i niespokojna o niego. Nie wiem, o ile jest przywiązana do męża, ale, bądź, co bądź, gdy się wspólnem życiem żyje, — wspólne się ma kłopoty i troski, — trudno nie przywyknąć do siebie.

3 stycznia.

Musiałem się wczoraj zaziębić, bo czuję dreszcze i kłócie.

17 stycznia.

Jutro będę już mógł wyjść na świeże powietrze. Chorowałem bardzo ciężko. Była nawet chwila, kiedy zwątpiono o mojem życiu, i termometr pokazywał romantyczną temperaturę.

Kiedym po silnej gorączce powrócił wreszcie do przytomności, ku wielkiemu zdziwieniu zobaczyłem przy mojem łóżku Hortensyę i Zercia. Pokazało się, że kolejno przy mnie czuwali. Ona zarzuciła świat i kościoły, on — tylko od czasu do czasu zaglądał do Aurelki.

Pocziwe stworzenia.

Przewracając się w łóżku, przy słabych promieniach nocnej lampki mogłem kolejno każde z nich studyować. Ale z łaski gorączki wszystko wydawało mi się przesadnie powiększone.

Okrągła twarz drzemiącego w fotelu Zercia, ogromna, zaczerwieniona, gładka, wprawiała mnie w zdumienie. Nad szeroko otwartymi ustami sterczały twarde, sumiaste wąsy, których silny oddech śpiącego nawet nie poruszał. I zastanawiałem się nad tem, czy delikatna Aurelka może lubić, gdy Zercio te snopy wąsów przyciska do jej twarzy.

Wszakże pomimo nienaturalnych rozmiarów, jakie Zercio przybierał, nie wydawał się

straszny, choć leżałem w gorączce. Raczej mnie śmieszył. Nie mogę zapomnieć jego otwartej gęby i grubego języka, który z jej wnętrza czasem na świat wyzierał.

Za to biedna Hortensya wyglądała okropnie. Zmarszczki na obwisłej jej twarzy zdawały się liczniejsze i głębsze.

Przytem pełna była pretensyi.

Nim usiadła w fotelu, długo się przed lustrem mizdrzyła, układając wstążki czepeczka albo fałdy szlafrocza, naszytego jedwabnemi karkadkami. Ten szlafroczek był dobrze mi znany, nawet jego kolory. Przed kilku laty słynna włoska śpiewaczka w takim samym szlafroczku występowała w ostatnim akcie Traviaty. Niemogąc naśladować jej śpiewu, który ją silnie unosił, Hortensya starała się przynajmniej przypominać ją strojem.

Zdawało mi się w gorączce, że, lada chwila, załamując ręce, Hortensya zacznie śpiewać:

„Addio del passato...”

I chciałem zrywać się z łóżka, pochwycić ją za ręce i pocieszyć aryjką:

„Warszawa, o, cara! noi lasceremo...”

Bo miałem tyle przytomności, że rozumiałem, iż nie byłem w Paryżu.

A chciałem ją koniecznie pocieszyć. W tym szlafroczku, blada, jak trup, i pokryta zmarszczkami, wyglądała rozpaczliwie. ✕

Wkońcu, dowiedziawszy się, że mi niczego nietrzeba, Hortensya, jakby mgła jaka, powiewnie rozplywała się na fotelu. W tej mgle — jedną rzecz tylko dokładnie mogłem rozróżnić: jej bladą, pomarszczoną twarzyczkę.

Po niejakiem czasie zwolna jej opadały powieki, usta się sznurowały, prawa ręka opuszczała się na serce, i w najśliczniejszej pozie Hortensya zasypiała.

Nawet we śnie nie umiała być naturalną. Przytem spała dziwnie spokojnie, nie ruszała się, nie było słycać jej oddechu.

I robiło mi się straszno. Zdawało mi się, że trup siedzi naprzeciw mnie i szydzi.

Rozumiałem teraz wyraźnie, dlaczego jej mąż umarł. Bałem się, chowałem głowę pod kołdrę i dzwoniłem zębami.

I oto dwoje ludzi czuwało nademną, rzuciwszy wszystko, co lubili, a w nocy — zamiast wypocząć w dobrem łóżku — przy mnie znosili niewygody, aby być na moje posługi. Kto wie, czy nie ich poświęcenie uratowało mi życie?

Ja zaczynam od tego, że ich wyśmiewam.

I po co to robię?

Czy moje uwagi takie niezbędne? Czy może takie dowcipne?

A chociażby mi tych żartów pozazdrościł sam Voltaire, czy to może mnie tłómaczyć?

Jestem wstrętny.

A jednak złym nie jestem. Lada rzecz mnie porusza, rozczula; płacę bez trudu nad ludzką niedolą.

Więc czemuż mi usta wykrzywia szatański jakiś śmiech?

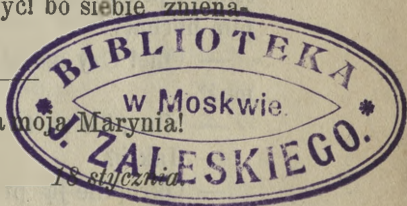
Ładnie rok nowy zaczynam!

Ale ja się odmienię, a tymczasem dzisiaj spisane wrażenia chcę zakończyć aktem miłości dla dwojga pocziwych serc, które dla mnie tyle zrobiły.

Czyż rzeczywiście zrobiły *tyle?*..

A dosyć już, dosyć! dosyć! bo siebie znienawidzę.

Zygmunt umarł. Biedna moja Marynia!



Hortensya mnie dziś odwiedziła. Chcąc ją uraczyć, kazałem podać herbaty.

Ale odmówiła, choć ją zapewniałem, że ta sama, jaką lubi; zauważyłem atoli, że z pewną zazdrością patrzyła na mnie, gdym ją popijał.

— Czy to jakie *votum?*— spytałem.

Hortensya trochę poczerwieniała, zagadła

o czem innym i wkrótce potem mnie pożegnała.

Popołudniu zjawił się Zercio. Zmieniony do niepoznania. Okropnie przybity śmiercią Zygmunta, z którym kolegował niegdyś.

Siedział dość długo, ale gadał niewiele. Wszakże nieobeszło się bez wzmianki o Hortensyi.

Spytałem go, czy nie wie, dlaczego nie pije herbaty, tylko patrzy w gębę tym, którzy ją piją.

— *Votum*,—odrzekł Zercio.—Odprawia *novennę* i przez cały czas jej trwania nie będzie piła herbaty.

— Oho! Czy możeby babka chciała pójść za mąż?

— Nie... To na twoją intencję...

— Jakto?

— Okropnie ją przestraszyłeś swoją chorobą.

— Na moją intencję?.. *novenna*?—pytałem.

— Tak... to już druga.

— Ależ ona nie może żyć bez herbaty!—zawołałem, okropnie wzruszony. — Poczciwa!..

I zacząłem dzwonić gwałtownie. Alfred wpadł do pokoju.

— Futro! Dorożkę!—wołałem.

W kilka minut potem wchodziłem do salonu Hortensyi.

Stała przed lustrem i poprawiała perły na szyi. Wybierała się na bal.

Przestraszyła się, zobaczywszy mnie.

— Jak można być tak nieostrożnym!—zawołała.—Znowu się zaziębisz.

Słowa niemówiąc, ze łzami w oczach podbiegłem do niej, schwyciłem w objęcia i wycałowałem w oba wywiedłe policzki. Biedaczka dawno już na takiej uczcie nie była.

— Guciu!—mówiła.—Co robisz?—i broniła się odemnie.

— Zercio powiedział, dlaczego nie pijesz herbaty,—rzekłem wkońcu.—A ja zawsze myślałem, że twoja religia tylko na ustach... przychodzę cię przeprosić...

— El dzieciństwo! — powiedziała.—Jak ci się podoba ta suknia?

— Śliczna, i twoje perły śliczne! i sama jesteś śliczna!

— Chwała Bogu, że zdrow jesteś, to główne, — odrzekła Hortensya. — Ale teraz się szanuj. Ja cię swoim powozem odwiozę.

Do tej pory łyzy mi się w oczach kręcą na wspomnienie Hortensyi. Nie znałem jej; będę teraz często do niej chodził.

20 stycznia.

Dziś rano był u mnie Zercio. Wyglądał jeszcze więcej markotny, niż wczoraj.

— Co ci jest? — zapytałem.

Zercio westchnął.

— Wyjeżdżam dzisiaj, — odrzekł.

— Dokąd?

— Na Polesie. Miałem list. Zygmunt wyznaczył mnie opiekunem.

— A twoja żona?

— Wraca na wieś.

— A te projekta zabaw, te piękne stroje?..

Zercio machnął ręką.

— Żona ciebie nie puści.

— Ty jej nie znasz, Guciu. Aurelka nie wahała się chwili. Sama powiada, że jechać muszę.

— Hm! ty może nie wiesz, — rzekłem, — że interesa Zygmunta bardzo zawikłane. Ja myślę, że zrobiłbyś lepiej, gdybyś tam posłał swojego plenipotentą. On interesa rozpatrzy, uporządkuje papiery, przygotowuje ci wszystko, a tymczasem twoja żona mogłaby się trochę zabawić. Ona się tak z karnawału cieszyła.

Żal mi było pustej Aurelki.

— Pojadę sam, — odrzekł Zercio. — Mam przekonanie, że, czego człowiek nie zrobi sam,

to będzie zawsze źle, a przynajmniej gorzej zrobione.

— To zarozumiałość...

— Nie. Każdy jest najlepszym stróżem własnych interesów.

— Nie mógłbyś zrzec się opieki? Polesie od ciebie tak daleko...

— Daleko! — powtórzył Zercio. — Cóż robić? Trzeba. Zygmunt tak chciał. Wierzył mi, i ja jego zaufania nie zdradzę.

Zercio przedstawiał mi się, jako bohater. Bohaterstwo jego było może nie w miejscu — zbyt czyste, jak dziewięć dziesiątych wszelkich bohaterstw; nie było przytem piramidalne, homeryczne... jednym cięciem pałasza nie płatał zaklętej skały, nie stawał jeden przeciw stu zbrojnym rycerzom, ale w granicach, jakie mu zakreślone zostały, — robił to, co mógł zrobić największego. Zamykał na wsi żonę, choć marzył o tem, aby się bawiła, — a w dodatku — rozstawał się z nią na długo na to, aby się drugim poświęcić, aby się gryźć ich kłopotami więcej, niż własnymi...

Odwiedzić na krótko strapioną rodzinę — to sztuka niewielka, ale rzucić to, co się kocha, i oddać jej na długie lata czas, zdrowie, siły, energię, spokój — to bohaterstwo.

Uściskałem Zercia serdecznie.

— Jesteś wielki! — rzekłem.

Uśmiechnął się.

— Tylko ze mnie nie żartuj, — odpowiedział z prostotą. — Już mnie Aurelka przestrzegala... a teraz niegodzi się żartować... Zygmunt nie żyje!

Pocziwy, głupi, kochany chłopiecu!..

Cóż on jednak robi takiego wielkiego? Jedzie na miesiąc, na dwa — na Polesie i rozstaje się z kobietą, która się wiecznie mizdrzy. Nic więcej.

Ale, gdy zważymy warunki, w jakich się znajduje, zmierzymy jego siły i zdolności, — czyn jego olbrzymieje, — a z nim i on sam urasta.

25 stycznia.

Nudno. Nasze męskie wieczorki ustały; nie mamy już nic sobie do powiedzenia.

Ta Warszawa jest bardzo małą miasteczką. Mam wielką ochotę zupełnie się wynieść do Paryża.

Bądź, co bądź, Paryż jest sercem świata. Do niego wszystko się zbiega, z niego się rozchodzi, gdy tu jedno nie dochodzi wcale, a drugie — dostaje się zmienione i wykoszlawione.

Pomimo nieustających przewrotów, a raczej — dzięki łamanym sztukom, jakie Francja wyprawia, nowe wciąż rodzą się myśli,

nowe się budzą zapały... i w jej stolicy najwygodniej studyować możemy owe szalone skoki i wyścigi do niepochwytanego ideału. Monarchia, rzeczpospolita, anarchia... obrazki, kolory, myśli, wszystko ciągle się zmienia, a na tym nudnym świecie to jeszcze rzecz najciekawsza — ten garnek, pełny walczących z sobą żyjątek, z których każde dąży do tego, aby wyleźć ze swego więzienia.

Nie wylezie z nich żadne, ale ta cała gimnastyka bawi.

To też, choć mnie polityka nigdy nie zajmowała, zajmują mnie akrobaci, biorący w niej udział, i wyznaje, że, jeżeli którego dnia Boulanger nie występuje, albo Crispi nie skacze, znajduję, że nudniej na świecie.

Paryż—to łoża, z której najwygodniej mogę się przypatrywać przedstawieniom, jakie dla mnie ludzkość wyprawia.

Dla mnie więc kuglarstwa trybunów! Dla mnie wysiłki artystów i wynalazki uczonech!..

Wynoszę się z Warszawy.

Będą na mnie krzyczeli?

Nie mogę przecie trzymać się jej za spódniczkę, jak dziecko trzyma się niańki. Mnie czasem ciasno na ziemi, a miałbym, jak dewotka, trzymać się jednej parafii i jednego księ-

dza? Nie! Ja jestem człowiekiem, więc cała ziemia do mnie należy.

Ja jestem parafianinem świata.

27 stycznia.

Byłem dziś z pożegnaniem u Hortensyi. Zazdrości mi, że jadę do Paryża.

— Czemuż także się nie wyniesiesz?—pytam.

— Nie... trudno... Mnie tutaj znają, ja tutaj przyjmuję, zgromadzam towarzystwo u siebie, mam swoje ochronki... a zresztą ja lubię Warszawę... Tutaj się wychowałam, tutaj mego męża poznałam... Ja tutaj się czuję u siebie...

Ruszyłem ramionami.

A zresztą co mi do tego? Jeżeli jej dobrze w Warszawie, niechaj siedzi w Warszawie.

28 stycznia.

Odebrałem od Zercia list, który mi dużo krwi napsuł. Pisze, abym przyjechał uspokoić i pocieszyć Marynię.

Nie lubię, kiedy się kto wtrąca do rzeczy, które nie należą do niego. Gdyby Maryni doprawdy o to chodziło, samaby do mnie napisała. Zanadto z sobą jesteśmy dobrze, abyśmy jeszcze ceremonie robili.

Tego lata w Brienz nie potrzebowałem przecie pośrednictwa Zercia, aby Marynię do Szwajcaryi zapraszać.

Marynia doskonale rozumie, że trudno jest wymagać od kogoś, aby się narażał wśród zimy na daleką podróż na głębokie Polesie. Tam, Bóg wie, jakie drogi, do kolei mil kilkanaście, trzeba nocować po żydowskich zajazdach... Byłoby to kaprysem, dziką fantazyą, a Marynia zanadto jest rozsądna.

Wkońcu Zercio, który niedawno widział mnie chorego, powinienby skombinować, że taka podróż mogłaby mi zaszkodzić. Nowe zaziębnienie, i jużbym się chyba nie wylizał. Zamiast mieć przyjemność Marynia tyłkoby się o mnie niepokoiła.

Przy Maryni musi już być matka, a tam, gdzie pociesza matka, każdy obcy jest natretem.

Kto wie? Może już Marynia spokojna? Była przywiązana do męża, ale wielkiej miłości tam być niemogło. Zygmunt był ciężki, ospały, a Marynia inteligentna i żywa...

Napiszę do niej list czuły, długi, serdeczny. To jej zrobi przyjemność.

29 stycznia.

Wyprawilem list do Maryni i czuję się spokojniejszy.

Ten list, napisany serdecznie, więcej jej zrobi dobrego, niż moja głupia wizyta. Gdym pisał, parę razy mnie samemu łzy się w oczach kręciły.

Byłem szczery i prosty.

31 stycznia.

Czy nie zrobiłbym lepiej, gdybym sam na Polesie pojechał?

Trudno rzeczy naprawiać. Marynia musiała już mój list odebrać.

1 lutego.

Marynia ciągle siedzi mi w głowie.

Aby już raz z tem skończyć, poszedłem do notaryusza, u którego mój testament złożony.

Posiadam bardzo piękne perły po matce. Zrobiłem dodatek do testamentu, którym je zapisuję Maryni. W ten sposób kiedyś się dowie, że o niej nie zapomniałem, że ją kochałem więcej od najbliższych kuzynek, które może na perły liczyły.

Niech, bawiąc się temi perlami, kiedy mnie już niebędzie, wspomina nasze dawne, drogie, dziecinne lata.

Kochana Marynia!

2 lutego.

Władzio powrócił z Paryża. Spotkałem go na ulicy. Odrazu po nim poznać można, z kąd przybywa. Odmłodniał, ożywił się, zrobił się prawie dowcipny.

Nie poznał mnie w pierwszej chwili, tak mnie broda zmieniła.

— Oto kłaki!—zawołał wkońcu.

Sam zaś nosi bródkę, krótko przystrzyżoną i zaostrzoną u dołu.

— Czemu jej nie przystrzyżesz?—zapytał.— Trzeba nadać jej jakąś formę. Wszyscy noszą dziś takie brody, jak moja.

— Maniera!—odrzekłem.

Począłem go wypytywać o rozmaite nowinki z Paryża.

— Cóż tam Trąbakiewicz porabia?—zapytałem wreszcie.

— Nic! Złapał dekorację i kontent.

— Dekorację? Za co?

— Nie słyszałeś o tej historii z rekinem?— spytał Władzio.

— Czytałem... to kaczka.

— Właśnie że nie kaczka.

— Co ty mówisz!

— Sam byłem świadkiem... i muszę wyznać, że Trąbakiewicz zasłużył na order.

Hrabia August.

14

Zgłupiałem.

Czyż ja się doprawdy nie umiem poznać na ludziach?

Trąbakiewicz—to przecie tchórz i fanfaron. Zresztą w podobnym wypadku i odważnyby się zawahał.

Prawda, że miejsce, w którym ukazał się rekin, znajdowało się dosyć daleko od tego, w którym się kąpała dostojna osoba; prawda, że rekin okazał się delfinem, ale Trąbakiewicz o tem nie wiedział i bez zastanowienia wskoczył do wody.

Tłómaczy go chyba to, że się nie zastanowił nad tem, co robił, bo on nie zastanawia się nigdy.

W każdym razie to dziwne, nawet heroiczne.

Zły jestem na niego i na siebie. Na niego, —bo mnie tak zawiódł, na siebie, —bo na nim się nie poznałem.

Wszakże mam tę pociechę, że, gdyby nie chodziło o dostojną osobę, ale o biedną sierotę albo wdowę, Trąbakiewicz zostałby na brzegu.

Tak, poprostu, odurzony wielkością dostojnej osoby, pod magnetycznym jej wpływem sparaliżowane miał wrodzone tchórzostwo.

I nagle stał się odważnym.

Ciekawa zagadka!

Ta przygoda z rekinem zupełnie mi psuje
mojego Trąbakiewicza.

Ale on wszędzie wcisnąć się musi!

Chciał mieć znajomości z wielkościami?

Zgodą!

Chciał sam zostać znanym?

I na to zgodą!

Ale jemu zachciało się teraz zostać porzą-
dnym człowiekiem.

O! panie Trąbakiewicz!..

Cóż pozostanie dla ludzi porządnych? Co
mają robić? Dokąd się wynosić?..

Nie mogeż zostawać tam, dokąd już wlaźł
Trąbakiewicz!

Nieznośna figura.

6 lutego.

Rzecz niesłychana, okropna! Nie mogę się
uspokoić, zapomnieć, chociaż dwa dni przele-
żałem w łóżku. Piorun we mnie uderzył!..

O! czemuż ja nie pojechałem do Maryni, kie-
dy mnie wzywał Zercio!

Anglik wie wszystko! wszystko!

Byłem gotów już do wyjazdu. Interesa mia-
łem w porządku, kufry pozamykane, paszport
w kieszeni. Zostawało mi parę godzin do
opuszczenia mieszkania.

Wtem rozległ się dzwonek, a po chwili
wszedł Alfred, meldując męża Zosi.

Zadrzałem.

Czego mógł chcieć odemnie ten człowiek?

Albo chciał złożyć mi zwyczajną światową wizytę, albo też przychodził się upominać o swój honor męża. Jeżeli wiedział wszystko, akże biedna Zosia musi teraz ciężko pokutować, cierpieć, płakać.

Drzałem też i o własny spokój. Byłem już gotów do drogi, tymczasem sprawa podobnego rodzaju mogła mnie na długo zatrzymać w Warszawie i popsuć wszystkie projekta. Mogła dla mnie skończyć się raną albo nawet kalectwem.

Człowiek flegmatyczny i zimny, jak Anglik, nie chciałby mnie zastrzelić, bo to pociąga za sobą tysiące nieprzyjemności. Ale z pewnością pragnął mnie ranić, gdyż według ludzkich praw o honorze jedna kropla krwi wystarcza do obmycia hańby. Ja zaś nie mogłem myśleć o tem, aby się bronić. Uwieść porządnemu człowiekowi żonę, a potem jeszcze do niego strzelać, to już zanadto brzydko.

Zatem — mogłem rachować na pewne zranienie i długie wyleżenie się w łóżku. To było bardzo nieprzyjemne. Ja przecie do Paryża jechałem!

Alfred stał i czekał.

Na samem wyjeździe nikogobym nie przyjął. Anglika przyjąć musiałem.

Jeżeli rzeczywiście przychodził w roli pokrzywdzonego męża, nie miałem prawa uchylić się od jego wizyty. Mógłby pomyśleć, że od niego uciekam.

— Prosić!—rzekłem.

Alfred wyszedł z pokoju.

Nie! To nie mogła być sprawa honorowa! Zamiast przychodzić osobiście przysłałby tradycyjnych „dwóch przyjaciół“.

Anglik wszedł i zlekka mi się uklonił. Wyglądał zupełnie spokojny, trochę może blady, nic więcej. Pomimo wzruszenia zauważyłem, że w rękę trzymał niegustowną żółtą laseczkę, a na szyi miał szkaradny krawat w drobne kratki.

Uklonił się, ja wstałem z krzesła i bardzo powoli zrobiłem parę kroków ku niemu, nieryzykując wyciągnięcia ręki.

I on mi swojej nie podał.

— Mam do pana interes,—rzekł spokojnie.

— Służę panu,—odpowiedziałem i wskazałem mu fotel.

Anglik obejrzał się dokoła.

— Jesteśmy sami?—zapytał.

— Sami.

Anglik usiadł, ja—także.

Nastąpiła chwila milczenia.

Wreszcie Anglik, który zdawał się zbierać myśli, podniósł głowę i popatrzał na mnie.

Nie wytrzymałem jego wroku, spuściłem trochę oczy, i znowu mnie uderzyło, że krawat miał, dziwnie brzydki.

— Pan uwiodłeś moją żonę,—rzekł Anglik, niewdając się w prologi.

Spróbowałem zaprzeczyć.

— Pan uwiodłeś moją żonę, — powtórzył Anglik, niepodnosząc głosu. — Zapierać się niewarto, bo wiem o tem od niej samej, a ona kłamać nie umie.

Tak! Zosia kłamać nie umie. Niepytana nawet, w chwili żalu i skruchy była zdolna wszystko opowiedzieć mężowi.

Milczałem, szukając słów.

— Co mi pan możesz na to powiedzieć?—zapytał Anglik.

— To chyba,—odrzekłem,—że ja sam jeden tylko jestem tu winien...

— Jak zwykle w sprawach podobnych...

— Jestem na pańskie rozkazy,—zawołałem. Anglik smutnie się uśmiechnął.

— Jaką satysfakcyę pan mnie dać możesz?—zapytał.

Dotychczas miałem przed sobą doskonale poruszający się i mówiący automat. Teraz mi się objawił człowiek, bo zrozumiałem, że cierpi, że cierpi bardzo. Zrobiło mi się żal tego człowieka.

I rzeczywiście jaką mogłem dać satysfakcyę, jakim sposobem mogłem mu wrócić to, co mu wydarłem?

— Przypuszczam,—rzekł Anglik, — że pan się nawet bronić nie zechcesz, że ja pana zabiję... Czy będzie to satysfakcya? Niel.. tylko trochę skandalu.

To rzekłszy, spuścił głowę, a ja ciekawie popatrzałem na niego... W twarzy jego czytałem wolę, energię, odwagę. Jeżeli pojedynek odrzucał,—nie czynił tego ze strachu.

Bardzo mi było żal tego człowieka. Ile to siły musiał zużywać na to jedno, aby na mnie patrzeć i ze mną spokojnie rozmawiać.

On swoją żonę ubóstwiał.

Cierpienie nadawało wielkości jego pięknej i szlachatnej postawie. Wobec niego czułem się brzydkim i drobnym.

Ocknął się wreszcie i zapytał:

— Pan wiesz, w jakim stanie znajduje się moja żona?

Spuściłem głowę potakująco.

— To pańskie dziecko,—rzekł Anglik.

Serce zaczęło mi bić okropnie. Ja o tem nie wiedziałem.

— Satysfakcya tu niemożliwa,—dodał Anglik po chwili.—Strzelać się można o nastąpienie na nogę, o kłótnię karcianą, ale nigdy o

kobietę, która nosi uczciwe nazwisko.

— Cokolwiek pan rozkażesz, zrobię, — powiedziałem pośpiesznie.

— Słowo?

— Słowo.

— Dobrze, — rzekł Anglik i, wstawszy z fotelu, przeszedł się po pokoju.

— Dobrze, — powtórzył. — Pan będziesz przy połogu tej biednej kobiety. — Mówił twardo i głucho.

— Warjat! — przyszło mi na myśl.

— Mam pańskie słowo, — rzekł Anglik.

— Tak... ale podobne żądanie... to podejście...

— Pan cofasz słowo? — zapytał Anglik i ścisnął w dłoni swoją żółtą laseczkę.

— Nie! nie!.. Ale...

Język mi się splątał.

— Warjat! warjat! — myślałem, patrząc na niego. Trząsałem się i nie mogłem powstać z fotelu.

Przeszedłszy się po pokoju, Anglik stanął naprzeciwko mnie. Pomimo pozornego spokoju było widocznem, że się w nim wszystko burzyło.

— Pan ją w młodości kochałeś, — rzekł, — i byłeś kochany. Mogłeś ją wziąć i nazwać swoją. Pan wolałeś uciec, stchórzywszy przed

obowiązkami, jakie wkłada małżeństwo. Czy tak?

Spuściłem głowę w milczeniu.

— Każdemu wolno zenić się albo nie zenić, —mówił dalej Anglik.—Ale, czego niewolno, to wciskać się, jak złoczyńca, do cudzych gniazd, aby z nich spokój, uczciwość i szczęście wykradać.

— Niewolno,—powtórzyłem pokornie.

— Uciekłszy od niej, gdy była wolna i kochała pierwszem, najpiękniejszym uczuciem, pan powróciłeś dopiero wtedy, gdyś sądził, żeś wolny od wszelkich obowiązków, bo na to jest mąż, aby je dźwigał.

Anglik znowu się przeszedł po pokoju, mocując się ze swoim wzburzeniem. Wkońcu dalej mówił:

— Kto wcisnął się w prawa męża, ten powinien ponosić skutki swoich czynności i nie ma prawa opuścić uwiedzionej kobiety i od niej uciekać w chwili, kiedy największej potrzebuje pomocy. Niech patrzy na jej męcznie, niech słucha jej krzyku, niech wspiera ją w chwilach zwątpienia i rozpacz, chociażby miał piekło przecierpieć.

Anglik mówił spokojnie i patrzył na mnie. Zdawało mi się, że się rozrastał, potężniał, że mnie ogarniał i dusił tysiącem silnych rąk. Zaczynałem pojmować, że nie mam przed sobą

warjata, ale człowieka z żelazną energią. który mnie musi nagiąć do swojej woli. W miarę jak mówił, czułem jakieś pęknięcie i rwanie się w głowie, a w uszach słyszałem szum wielki.

— Użyć i rzucić?— mówił,—to wygodne, ale się w ten sposób niepostępuje z uczciwą kobietą. Małoż jest awanturnic na świecie, że wam się chce jeszcze kruszyć świętości?

Głos mu zadrżał.

— Strzelać się! On się chciał strzelać! On chciał błazeństwem rozwiązać dramat!

Anglik zaczynał się unosić.

— Dawałem życie,—odrzekłem.

— Życie!.. Nie, panie, tego, coś mnie skradł, już mi nie zwrócisz nigdy. Ale ja dopilnuję, abyś swój obowiązek wypełnił względem tej kobiety. To pan jesteś teraz jej mężem, pan jesteś ojcem jej dziecka, opiekunem... i zostaniesz przy niej do końca.

Litość, jaką był we mnie obudził, słabła. Zaczynałem buntować się całą duszą, każdym nerwem przeciw tym dziwnym wymaganiom. Czułem, że nie wytrzymam podobnej próby, bałem się..

— Nie, panie,—odrzekłem wreszcie,—ja tego zrobić nie mogę. Pomyśl pan, ile ta nieszczęsna ofiara wycierpi, gdy mnie zobaczy..

— Dziękuję za to współczucie.

— Przez litość dla niej samej... Ja tam być nie mam prawa.

— Czy pan może sądzisz, że w podobnej chwili *ja* powinienem być przy niej?

Co mogłem mu odpowiedzieć?

Anglik znowu przeszedł się po pokoju.

— Mam pańskie słowo, — rzekł wkońcu, — i liczę na nie. Domagam się rzeczy słusznej, a gdybyś się pan próbował od tego wykręcić, możesz być pewnym, że nietylko w moich oczach, ale nawet we własnych pokażesz się, jako podły...

— Nie mogę, — jęknąłem, — nie mogę...

Anglik chwycił mnie za rękę i ścisnął ją tak, że doznałem wrażenia, jakgdyby ją gniotły zamykające się coraz szczelniej kleszcze z żelaza.

Postać jego pochylała się nademną dużą, niezgrabną masą. Był to wprawdzie atleta, imponujący siłą, ale jakże niepodobny do owych zapasników o wspaniale wykształconych mięśniach, którymi się słusznie chlubiła kultura pogańska.

— Słuchaj... Jak cień, ścigać cię będę, — wycedził Anglik. Cienka, żółta laseczka zadrgała mu w rękę.

Milczałem.

— Zgadzasz się? — zapytał zdławionym głosem.

— Zgadzam się.

.....
Po odejściu Anglika chciałem powstać i zemdlałem.

.....
Kiedym powrócił do przytomności, leżałem w łóżku. Nie potrzebowałem zbierać myśli. Rzeczywistość w całej ohydzie odrazu mi przed oczami stanęła.

Ponieważ nie chciał się strzelać, mogłem i ja na niego z kijem się rzucić i zmusić do przyjęcia tego, co odrzucał. Mogłem go za drzwi, jak szaleńca, wyrzucić, mogłem...

Nie! wobec niego nie miałem siły i nie mogłem nic. On jednak miał prawo dyktować mi swoje rozkazy.

Jutro wyjeżdżam do Wiednia, gdzie mi wskazał swój adres. Boję się go i szukam razem. Buntuję się przeciw niemu, a jednak zrobię to, czego się domaga.

11 lutego. Wiedeń.

Widziałem się z Anglikiem. Wskazał mi Ansbach w Bawaryi, jako miejsce, dokąd mamy się udać. Ansbach leży na boku; wszystko się w największej tajemnicy odbędzie.

To istny potwór.

Chwile największego zwątpienia, rozpaczy,

zniechęcenia, jakie przechodziłem, dotychczas wydają mi się dniami pogody w porównaniu do stanu, w jakim się obecnie znajduję.

Chciałbym uciec, powiesić się... a ten człowiek mnie trzyma i prowadzi do swojego celu.

Na chwilę nie przestaję się dręczyć, nie mogę zapomnieć... O Zosi rzadko pomyślę... Ona ma przebywać męczarnie, na jakie jest skazana każda kobieta,—uczciwa żona, zarówno jak i niewierna. Stworzone są na to, natura im daje siły...

Ale czemuż ja mam być tego świadkiem? Na to potrzeba być mężem, na to potrzeba specjalnych sił!

Ja mężem nie jestem, nie byłem, nie mogę być... Więc buntuję się przeciw jego tyranii, nienawidzę go...

A jednak jutro wyjeżdżam do Ansbach.

Jakiem prawem ten obcy człowiek może narzucać mi więzy, od których się zawze instynktowo chronilem? Czy jest na świecie władza, mogąca zmusić mnie do zrobienia tego, do czego czuję odrazę? Czemu nie pilnował żony? Dlaczego puścił ją samą, choć była młoda, piękna i słaba? On też głównym jest sprawcą wszystkiego! Niechaj na niego spada odpowiedzialność.

Dawałem mu swoje życie, — nie chciał..
A teraz dręczy mnie, karze... On nie ma prawa mnie karać.

Nie pojedę do Ansbach. Co mnie jego sąd o mnie obchodzi? Czyż mało jest warjatów na świecie? Trudno się na wszystkich oglądać i każdemu dogadzać.

Niech sobie jadą sami.

Mówią, że jazda koleją szkodzi kobietom w poważnym stanie. Kto wie?.. Jedno wstrząśnienie wagonu...

O! ten człowiek nie ma sumienia. Jego piekielna natura oddziaływa na innych zaraźliwie... Przychodzą występne myśli do głowy...

13 lutego. Paryż

Uciekłem. Jutro jadę do Havru, a ztamtąd do Nowego-Jorku.

Co mnie ten warjat obchodzi?

14 lutego.

Nie mogę. Dziś rano, ubierając się, stanąłem przed lustrem i zaraz oczy spuściłem.

Anglik wszystko przewidział, przepowiedział wszystko.

Przechodząc koło księgarni, wstąpiłem, aby kupić wszystko, co mogłem znaleźć o akuszeryi.

Wracam z teatru. Nie wiem, co dawali ani jak grali. Obok mnie siedział jakiś barczysty jegomość; uśmiechał się z miną zadowoloną.

Pilnie przysłuchiwał się sztuce i w pewnej chwili syknął z niezadowolaniem.

Chciałem mu zrobić awanturę. Francuzi są odważni, o pojedynk z nimi nietrudno; biją się na szpady, a ja nigdy się nie uczyłem fechtunku. Pojedynk mógł mnie uratować i zatrzymać w Paryżu.

— Proszę pana nie sykać, — rzekłem do Francuza.

— Co panu do tego?—odpowiedział.

— To, że chcę, abyś pan bił w dłonie.

Francuz popatrzał na mnie z osłupieniem, poczerwieniał trochę, pobladł. Nie spuszczałem go z oczu.

Francuz zawahał się, ale się rozmyślił i zaczął bić w dłonie. Trafiłem na tchórza!..

Kiedy spuszczone kurtyne, wyszedł i już nie pokazał się więcej.

17 lutego. Ansbach.

Przyjechałem tu. Niema ich jeszcze. Nie mogę dłużej już walczyć z tym człowiekiem i składam broń.

18 lutego.

Jeszcze ich niema. Może w drodze co zaszło?

Błąkałem się trochę po mieście, niepatrzając, niejedząc, niemyśląc. Poszedłem zobaczyć zamek; potem zwiedziłem galerię obrazów.

Nic nie widziałem. Co mnie to dzisiaj obchodzi?

Przez cały dzień padał deszcz. Wilgoć i błoto wszędzie.

19 lutego.

Od rana świeci słońce, i mnie jakoś zrobiło się weselej.

Będę świadkiem chwili okropnej, to pewne, ale nie ja pierwszy nim będę i—nie ostatni.

Zresztą to wszystko przemienie; przemęcę się tu dwa, trzy tygodnie, a potem będę już wolny i pojedę, dokąd mi się podoba.

Wystawiam sobie, jaki będę szczęśliwy, kiedy wszystko się skończy.

Idąc na spacer, wstąpiłem do jakiegoś lekarza, prosząc, aby mnie opatrzył.

Kazał mi dużo chodzić, nacierać się zimną wodą, jeść mało i przeważnie mięso. Zdawał się lekceważyć moje dolegliwości. Prawda, że nie miałem prawa za dużo mu opowiedzieć o sobie.

Powracam z bardzo długiej przechadzki. Dzięki fizycznemu zmęczeniu moralna strona trochę wypocznie. Czuję się silniejszym i zdrowszym. Nim czas strasznej próby nadziei, podreparuję się o tyle, że będę mógł ją mężnie wytrzymać...

.
Głupi z niego dziwak i doktryner. Mógł mnie zastrzelić,—nie chciał. Woli co innego. Jeżeli mu to sprawia przyjemność,—niechże ją ma.

Za trzy tygodnie będę już wolny.

Przyjechali. Anglik już był u mnie, pilnuje mnie.

Może być spokojny. Nie ucieknę mu.

Ale popsuł mi humor. Już sam jego widok wystarczy na to.

20 lutego.

Od rana pada zimny, drobny deszczyk. Wziąłem się do czytania książek, kupionych w Paryżu.

Cóż robić! To prawo natury, którego zmienić niemożna. Każda kobieta przez te same męczarnie przejść musi. Zosia nie jest wyjątkiem.

Popołudniu pomimo deszczu wyszedłem trochę na miasto. Zdawało mi się, że każdy ciekawie mi się przypatrywał, niemogąc zrozumieć, co też ja robię w tej lichej mieścinie?

A jednak ta pozycja jest haniebna.

Gdybyż choć Zosia była sama, gdybym ja tylko mógł przy niej czuwać.

Ale nie! Anglik pilnować nas będzie, będzie na nas patrzył, nas śledził...

Ohydne!

Gdyby przynajmniej nie to!.

Ten mąż, ten człowiek, którego skrzywdziliśmy, krępuje mnie, ogarnia, dławi, gnębi...

22 lutego.

Słota nie ustaje. Czytam.

Bądź, co bądź, bywają wydarzenia okropne. Mrowie przebiega po skórze na myśl, jak się te biedne kobiety męczą.

24 lutego.

Jeszcze słota. Nie wychodziłem z domu.

Tylko wczoraj wieczorem nie zdołałem oprzeć się niezdrowej pokusie i zakradłem się pod okna Zosi.

Anglik wynajął pod miastem mały parterowy domek z ogródkiem. W ten sposób nie ma

współlokatorów i zawsze ciekawych sąsiadów.

Domysłów i plotek przynajmniej niebędzie.

Widząc okno, z którego biło światło na ogród, zajrzałem do niego. W niewielkim saloniku na kanapie siedziała Zosia. Na twarzy jej widać było znużenie i smutek, ale ten smutek był spokojny.

Rozmawiała z mężem. Zdawał się do niej mówić łagodnie. Uśmiechnął się parę razy, podsunął jej stołeczek pod nogi i nawet ją po jasnych włosach pogładził.

Zosia schwyciła go za rękę i do ust ją podniosła. Chciał rękę odjąć, ale jej nie puściła od razu.

Wkońcu wziął jakąś książkę, usiadł i zaczął głośno czytać.

Wtedy Zosia podniosła głowę i patrzyła na męża.

Była bardzo zmieniona, blada, wychudła.

Długo, długo na niego patrzyła, aż jej łzy z oczu płynąć zaczęły.

Anglik zatrzymał się, popatrzał na nią i coś jej mówił. Musiał ją uspokajać. Uśmiechał się, jak matka do dziecka, które ma zmartwienie.

Tak postępował z nią ten, któremu ona wy-

rządziła największą krzywdę, jaką człowiekowi można wyrządzić.

Uczułem się bardzo nędznym w porównaniu z nim i zawstydzony odszedłem.

Jednak czułem się spokojniejszym o Zosię.

Pomimo sztywności i chłodu ten Anglik ma bardzo dobre serce.

A jak silnie umie kochać!

Zhańbiony, jako mąż, potrafił z męża przemienić się w ojca.

Co ja byłbym zrobił na jego miejscu?

Tylko mnie nie chciał przebaczyć. Nade mną się mści i pastwi.

I to nawet pytanie, czy on się nademną mści, czy też, uniesiony doktryną, mając prawo rozporządzać moją osobą, każe mi robić to, co uważa za słuszne?

Gdyby żony nie kochał, gdyby nie wierzył w szczerść jej żalu, opuściłby ją, a dobry z natury, przez litość pozostawiłby mnie przy niej, aby nad nią ktoś czuwał. To rozumiem.

Ale dzisiaj widziałem, że kocha ją, że wierzy w prawdziwość jej skruchy, skoro ją pociesza. Niechże przy połogu nie będzie sam, ale niechże mnie w takiej chwili nie wpuszcza do pokoju tej, którą kocha, która nosi jego nazwisko, której przebaczył.

To jest dziwactwo.

Tak... ale istota, która wkrótce przyjdzie na

świat,—to moje dziecko. Kto nad niem czuwać powinien?

Ojciec!

On się nie mści, on się nie pastwi, on tylko wszystkiemu nadaje kierunek, jaki mu się wydaje najlogiczniejszym...

25 lutego.

Czytam, czytam z coraz większem zajęciem, coraz mi trudniej oderwać się od książki. Czuję, jak mnie ogarnia gorączkowa ciekawość, odczytuję po parę razy ważniejsze ustępy.

26 lutego.

Te książki mnie przerażają. Boże, ile to cierpienie dla jednego dziecka! W nocy mi się śniło, że już stanowcza chwila nadeszła.

Był u mnie Anglik.

— Czy pan pomyślałeś o mamce?—zapytał.

— O mamce? Ja? — odrzekłem zaniepokojony.

— A któż ma o tem myśleć? Czy ja?

Miał słuszność.

Odgadłem. Chce zostawić mi dziecko. O! będę ją kochał, tę biedną sierotę — bez matki. Będę ją pieścił, wychowywał...

Oby to dziecko było szczęśliwsze ode mnie!

28 lutego.

Byłem u mego lekarza, który mi obiecał zająć się wyszukaniem mamki, i znowu powróciłem do książek.

1 marca.

W dzień nawet widzę sceny okropne... trupy, słyszę krzyki rozpaczy...

2 marca.

Rok temu śmiałem uskarżać się na życie! Boże! Co ja o życiu wówczas wiedziałem?

3 marca.

Czuję nieznośny ból głowy, ogień w mózgu, ale czytam, wciąż czytam.

4 marca.

Przez całą noc miałem okropne widzenia.

Wybiegłem na miasto. Na ulicy spotkałem Anglika. Zatrzymałem go.

— Zabij mnie pan,—rzekłem, — ale dłużej nie dręcz... ucieknę.

— Uciekaj pan,—powiedział Anglik i wzruszył ramionami.

— Pozwalasz?—zapytałem.

Patrzył na mnie. W jego oczach wyczytałem tylko pogardę.

— Pozwalasz?—powtórzyłem ciszej.

— Nie, — odrzekł spokojnie.

— Pan zgotowałeś mi piekło!

— Czy pan sądzisz, że panu zawdzięczam raj?

Miał słuszość.

— O! pan się mścisz straszliwie!

— Ja się nie mszczę, bo w moim wypadku niema zemsty. Uważam tylko za właściwe, aby przy narodzeniu dziecka obecnym był ojciec, jedyny jego naturalny opiekun.

— O! dajcie mi je! —zawołałem,— a zaopiekuję się niem i pokocham. Ale nie żądaj pan...

Anglik nie dał mi skończyć.

— Wiem, że pan za właściwsze uważasz, abym to ja czuwał nad chorą i pańskie dziecko wprowadzał w świat. To bardzo wygodne... Albo... to może tylko żarty? Pan niedarmo w naszych salonach uchodzisz za miłego dowcipnisia, którego żarty cały świat potem powtarza.

Zabijał mnie swoją ironią.

Spytałem go, kiedy ma rozwiązanie nastąpić.

— Zdaje się, że jutro.

— W jakiejże roli pan mnie do swego domu wprowadzisz?

— Zobaczymy.

— A ona... ona wie?—zapytałem.

— To nie należy do pana, —odrzekł sucho, odwrócił się i poszedł.

A więc jutro?.. już?..

Boże! daj mi umrzeć przed jutrem.

6 marca.

Ta niepewność straszniejsza od najgorszej pewności.

Dotychczas nic.

Mamka już jest.

8 marca.

Nic jeszcze!

Może się ulitował nademną? Może już po wszystkim? To dobry człowiek. Nie mógł nie zauważyć, w jakim znajduję się stanie.

Dobry! Wszak i ja złym nie jestem, a jednak najmniejszego względu na niego nie miałem.

A! niechże przyjdzie i, jak psu, w łeb mi palnie.

Tyle męczarni za jedną chwilę zapomnienia. Tego zawiele.

Czemu jej nie pilnował? Czemu ją niemal sam trącił w moje objęcia?

A teraz... teraz będzie na nas patrzył!

9 marca.

I jeszcze nic!

Czemuż sam sobie w łeb nie palnę?

Nie mogę. Za grobem ścigać mnie będzie widmo tego człowieka, aby mi powtarzać, żem podły.

Za kilka dni będę już wolny.

W głowie znowu czuję ogień.

19 marca. Kaltenleutgeben.

Już po wszystkim!

Dziesiątego przed wieczorem zjawił się Anglik.

— Chodźmy...—rzekł.

Ubrałem się. Wszystko się dokoła kręciło, w głowie szumiało i piekło.

— Chodźmy,—powtórzyłem.

— A mamka?—zapytał Anglik.

— Mamka?.. jaka mamka? — byłem napółnieprzytomny. — Mamka!.. A tak, już znalazłem. Poślę do niej.

Wyszliśmy na ulicę. Deszczyk padał; slyszalem, jak woda, splywajac, dzwoniła w metalowych rynnach.

Pomimo swiezego powietrza ból glowy nie ustawal; kaszlam, a wtedy sie wzmagal. Czulem sie bardzo niedobrze i szedlem, jak na scięcie.

Serce mi uderzalo mocno i nierowno. Chwilami robilo mi sie goraco, czulem dziwna zewnetrzną suchosc ciala, albo znów—wydawalo mi sie, ze wewnatrz zasycham az w szpiku kosci.

Bylem nieszczesliwy, osamotniony, nędzny i chcialem plakac.

Przechodnie mijali mnie obojetni. Kazdy spieszyl, zajety soba, gadali, smieli sie, nucili... Na mnie nikt uwagi nie zwroutil, nikt nie pokrpeil, chocby jednem spojzeniem.

Widzialem, ze sie nikt za mna nie ujmie, nikt nie ulituje nademna. Mialem towarzyza, ale to nie byl czlowiek, to bylo *fatum* nieublagane, logiczne, ktore mnie za soba ciagnelo. Samotnosc moja byla okropna.

Stanawszy w ogródku Anglika, jęknalem.

— Puśc pan... ja jestem chory... bardzo chory.

— To ta kobieta chora,—odrzekl zimno.—
Wejdźmy.

— Nie chcę! nie chcę! — krzyknąłem.—Pan nie masz prawa nademną się pastwić.

Anglik delikatnie wziął mnie za rękę i poprowadził, jak dziecko. Byłem bezsilny.

Weszliśmy.

Anglik opuścił mnie w saloniku i udał się do przyległego pokoju, zostawiając za sobą drzwi otwarte.

Zacząłem słuchać.

Doleciały mnie ciche jęki, przerywane paузami. Jęki te były takie żałosne, że za każdym z nich czułem, jak się coś we mnie rwało.

Ale Anglik nie wprowadzał mnie do pokoju chorej. Więc i dla mnie znalazł trochę litości. A może to robił przez wzgląd na żonę?

Słyszałem, jak chodził, zdawał się coś przedstawiać w pokoju, nosił coś, posłyszałem brzęczenie lampy.

W pół godziny potem ukazał się we drzwiach i skinął na mnie.

— Co?—zapytałem.

— Proszę pana,—rzekł po niemiecku.

I wprowadził mnie do pokoju. Przy drzwiach stał rozwany parawan, który mi łóżko chorej zasłaniał.

— Siadaj pan tu i nie ruszaj się,—rzekł surowo,—abyś był gotów na każde zawołanie.

Usiadłem. Anglik podszedł do chorej. Zajrzałem przez szczelinę parawanu. Zosia le-

żała na łóżku. W kącie pokoju siedział młody mężczyzna, zapewne doktor, przy nim stała kobieta, którą o coś wypytywał cichym głosem. Twarzy Zosi nie mogłem wyraźnie zobaczyć, bo przy łóżku światła nie było. Na środku pokoju na stole stały dwie osłonięte lampy.

Wszystko to wyglądało ponuro.

— Kto to wszedł z tobą?—zapytała Zosia męża.

— Felczer do pomocy,—odrzekł Anglik.

— Czy może ze mną niedobrze?—jęknęła trwożliwie.

— Nie, dziecko, ale czasem potrzeba na prędcie coś podać albo przyrządzić.

Anglik pogłaskał żonę po twarzy i chciał się oddalić.

— Dokąd? Dokąd idziesz?—zapytała Zosia niespokojnie.

— Na chwilę...

— Wrócisz? Prawda, ty wrócisz?

Anglik zawahał się.

— O! Ja rozumiem!—zawołała Zosia.—Ja nie mam prawa ciebie zatrzymywać...

— Nie, nie, dziecko,—przerwał jej mąż.—Po prostu nie mogłem się zdobyć na to, aby patrzeć na twoje męczarnie.

— Ja się tak boję! tak boję! tak boję!—po-

wtórzyła Zosia kilka razy. Głos jej był cichy, drżący, ale wyraźny i krajał po sercu.

— Bez ciebie głucho i ciemno,—dodała.

— Zostanę,—rzekł Anglik stłumionym, ale stanowczym głosem.

Zrobiło mi się straszno. Anglik zostawał; teraz nad nami miały się rozciągać jego sądy.

— Dziękuję!—powiedziała Zosia.—Ty jesteś mój święty.

Wkrótce znów jęczeć zaczęła.

Zatkałem sobie uszy. Po chwili ujrzałem przed sobą Anglika; zdawał się na mnie patrzeć z pogardą. Odjąłem ręce od uszu. Anglik był blady, widać było, że i on się męczył, ale panował nad sobą...

— A co?—zapytałem.—Czy koniec już bliski? Ruszył ramionami.

— Dlaczego nie każecie jej chodzić?

— Lepiej, aby leżała,—odrzekł.

— Ależ nie... ona powinna chodzić.

— Zdarzają się wypadki... — zaczął i, niekończąc, ręką tylko machnął.

— Co? Czy może co złego?

— Niedobrze... Ja tutaj zostanę, ale i pan się ztąd nie ruszysz. Możesz być potrzebny, choćby na posyłki.

— Zostanę,—odpowiedziałem mężnie. Praw-

da, że chora miała chwilę wypoczynku i nie jęczała. Anglik powrócił do niej.

— Dlaczego z nim rozmawiałeś tak długo?
--zapytała.

— Nie!.. Chciał się przedemną popisać ze swoją nauką. Powiedziałem mu, że już mamy doktora.

Zosia znowu jęczeć zaczęła, teraz trochę mocniej. Znowu sobie zatkałem uszy.

W ten sposób upłynęło może ze cztery godziny. Od czasu do czasu odejmowałem ręce od uszu, chcąc podsłuchać, czy może już cała rzecz skończona.

Nie!

Jęki nie ustawały. Kobieta znajdowała się przy łóżku, doktor się przybliżył ze swem krzesłem. Kiedy następowały pauzy, kobieta monotonnym głosem opowiadała mu jakieś stosowne do okoliczności wspomnienia.

Nie mogłem tego słuchać, i znowu uszy zatkałem.

Byłem wolny, Anglik mnie już nie pilnował, ale sam pragnąłem zostać, niemogąc się od tej okropnej sceny oderwać.

Nagle pomimo palców, które sobie całą mocą wciskałem w uszy, usłyszałem krzyk rozdzierający.

Odjąłem ręce,—było już cicho.

Wszystko zapewne już się skończyło.

Nie.

Podniósłszy głowę, ujrzałem przed sobą Anglika. Był bledszy, ale spokojny.

— Pan jesteś silny?—zapytał.

— Dosyć.

— Potrafisz ją pan trzymać?

To nie był koniec mojej tortury. Zacząłem się trząść.

— Pozna mnie,—szepnąłem.

— Niema obawy,—odrzekł,—chodź pan.

I poszedłem za nim.

— Stań pan tutaj,—rzekł do mnie po niemiecku i pokazał mi ciemny kąt przy łóżku.— Będiesz pan podtrzymywał głowę.

Tyle się naczytałem o akuszeryi, że zrozumiałem, o co chodziło. Dzwoniąc zębami, po ramie wsunąłem rękę pod poduszkę Zosi. Co ze mną się działo, nie potrafię opisać. Musiałem wyglądać, jak upiór, ale kto na mnie wówczas mógł patrzeć?

Zosia nawet okiem nie rzuciła na mnie. Nie było obawy, aby mnie poznać mogła. Stałem w ciemnym kącie, gęsta broda zmieniała mnie do niepoznania, a wkońcu od dnia pierwszej rozmowy z Anglikiem zestarzałem się okropnie.

Twarz chorej wykrzywiła się strasznie; zaczęła krzyczeć tak, jak dotąd nie krzyczała.

Ucichło.

Anglik, który po drugiej stronie łóżka stał pochylony, podniósł się i otarł pot z czoła. Wydało mi się, że nawet ukradkiem lzy otarł.

Płakał?

Ale nie nad sobą, — nad swoim złamanem życiem, nad swoim zawodem... Nie!.. to nie człowiek, ale Herkules.

Zamiast uciekać został przy żonie, która moje dziecko rodziła.

W ten sposób do rana zostałem przy łóżku chorej.

Omdlewała, co chwila. Trzeba było ją cucić.

Naczytałem się tyle! Sądziłem, że wiedziałem, co to jest przyjście na świat dziecka.

Nie wiedziałem nic.

Tych krzyków nikt opisać, nikt powtórzyć nie w stanie.

Płakałem, trząsałem się, szlochania ścisnęły mi gardło. Wierzyłem w Boga, błagałem Go, aby na mnie wszystkie zwałił męczarnie, a Zo się od nich uwolnił.

Potem wrzał we mnie bunt przeciw Bogu za to, że skazał kobietę na takie cierpienia.!

Życie całe, poświęcone kobiecie, nie starczy na to, aby jej wynagrodzić męki jednego położu.

I już mi przez myśl nie przychodziła chęć

do uciezki. Pierwszy raz może w życiu rozumiałem wyraz: „niemożna.“

W pewnej chwili zadziwiona mojem łkaniem, nad którym zapanować nie potrafiłem. Zosia zwróciła się do mnie i uważnie na mnie spojrzała.

Nie poznała mnie, bo się znów wić poczęła w boleściach. Trzymaliśmy ją całą mocą.

Potem znowu na mnie długo patrzyła.

— Zosiu,—rzekł mąż,—chcąc jej uwagę odwrócić.

Ale ona patrzyła na mnie.

Pomimo ciemności, pomimo mojej brody, — poznała mnie.

— To on!—rzekła.—To on!

W tejże chwili na nowo ją porwały boleści; szarpnęła się.

— Trzymaj!— krzyknął Anglik. — Ale pomimo naszego oporu zerwała się, usiadła na łóżku i, konwulsyjnie zaciskając pięści, patrząc na mnie obłąkanemi oczami, wyjęczała przez zaciśnięte zęby:

— Ja ciebie nienawidzę! nienawidzę!..

I opadła na poduszki bez czucia.

Kiedy zaczęła przychodzić do siebie, Anglik rzekł do mnie:

— Wyjdź pan. Przyślij kogo innego.

Wybiegłem, przysłałem kucharkę, a służącą

wyprawilem po doktora. Sam zaś powróciłem do saloniku, gdzie przez otwarte drzwi mogłem słyszeć wszystko, co się działo.

— Poszedł?—pytała Zosia.

— Poszedł,—odrzekł Anglik.

— Dziękuję,—rzekła.

Po chwili znowu mówiła:

— O! czemuż ja tak nie cierpię dla ciebie. To byłaby rozkosz!

Zacząłem łkać:

— Dla ciebieym z ochotą umarła sto razy!—dodała chora.

Posłyszałem, jak ją mąż całował.

Ostatnie godziny były przerażające. Co chwila, zdawało się, że rozwiązanie już bliskie, —co chwila, mnie zawód spotykał.

Były to dzikie krzyki, potem żałosne i rozpaczliwe jęki, wołania do Boga, do ludzi...

Zosia często pytała:

— Jesteś?.. Przy mnie?

— Jestem,— odpowiadał mąż.

Potem znowu wzywała matki.

— O, mamol mamol—wołała.— Nie mogę!.. nie mogę!..

Raz nagle zapytała męża:

— Co ty z dzieckiem chcesz zrobić?

Nie odpowiedział jej.

— Co ty z dzieckiem chcesz zrobić? — powtórzyła.

— Jest ojciec,—odrzekł mąż.

— O! nie! nie!—zawołała Zosia.—Nie dawaj mu! nie dawaj... wysuszy serce, zabije... '

Anglik milczał.

— Zostawisz mi dziecko? — zapytała Zosia.

Po długiej pauzie Anglik jej coś odpowiedział, ale głos jego taki był głuchy, że nie posłyszałem, co mówił. Zaraz potem nastąpiły znów krzyki biednej chorej.

Przyprowadzono jeszcze dwóch lekarzy.

Wieczorem wszystko już było skończone.

Anglik wszedł do salonu. Był okropnie biały, zataczał się, jak pijany. Rzuciwszy się na fotel, ukrył twarz w dłonie i długo tak pozostał bez ruchu.

I ja nieruchomy na niego patrzałem.

Zdawało mi się, że miałem przed sobą trupa. Nie słyszałem nawet jego oddechu.

Pod podłogą mysz pracowała zębami. To ciche skrobanie wydawało się hałasem wśród tej ciszy. Ukazała się wreszcie, wybiegła na środek pokoju, zatrzymała się, powąchała, obejrzała się, wróciła; potem znowu wybiegła, znów powąchała i potoczyła się w stronę, w której siedział Anglik. Zatrzymała się przed jego nogami, obiegła je wkoło, aż wre-

szcie, zupełnie spokojna, po nodze mu się przesunęła i znikła pod niską kanapą.

Nie ruszał się. Robiło mi się straszno.

Nareszcie się ocknął, podniósł głowę i zobaczył mnie.

— Czy pan tu jeszcze? — zapytał zdziwiony.

— Nie mogłem się oddalić, nie mogłem...

— Możesz pan iść. Wszystko skończone.

— I cóż?.. jak?..—zapytałem nieśmiało.

— Chora żyje, — odrzekł i powstał z fotelu.

— Ale stan jej... jaki?

— Bardzo groźny.

— A... a... dziecko?— szepnąłem, niepodnosząc oczu.

— Żyje,—powiedział sucho Anglik.

Chciałem go jeszcze pytać o to dziecko, ale nie śmiałem. Oczu ze mnie nie spuszczał, i bałem się go.

— Uprzedzam pana, — wycodził wkońcu, — że to moje jest dziecko. Rozumiesz pan?

Spuściłem głowę jeszcze niżej. Odbierał mi istotę, którą już chciałem kochać, którą już kochałem. I teraz nawet był w swoim prawie.

— Możesz pan odejść, — rzekł. — Jesteś wolny.

Wahałem się.

— Czy... mógłbym raz jeszcze zobaczyć chorą?

— Ha! zobacz pan.

Przez wpół otwarte drzwi rzuciłem w głąb pokoju lękliwe spojrzenie.

Nieruchoma, blada Zosia wyglądała, jak umarła.

Przerażony, cofnąłem się.

— A teraz już idź pan,— rzekł Anglik i ręką pokazał mi drzwi.— Tam pewnie już gdzieś na pana nowe zdobycze i laury czekają.

W milczeniu wyszedłem, jak fagas, którego wydalają za kradzież.

Byłem wolny!

Chciałem zostać jeszcze, aby się dowiedzieć czegoś o zdrowiu Zosi i dziecka, ale wspomnienie ostatniej rozmowy z Anglikiem kazało mi uciekać.

Każdego innego byłbym wypoliczkował sto razy. Anglika tknąć nie śmiałem, zanadto mi imponował, zanadto mnie przygnębiał.

Tego samego dnia jeszcze wyjechałem z Ansbach.

Instynkt tutaj mnie zagnał...

Niechaj mnie leczą, ratują... pali mnie w głowie coraz silniej, serce zamiera albo

bije gwałtownie... płaczę całymi godzinami albo znów wpadam w złość.

Jestem wolny, chcę żyć, muszę żyć, naprawić... ja chcę...

20 marca.

Napisałem dzisiaj do Ansbach do mojego doktora, aby się koniecznie wywiedział o zdrowiu Zosi i dziecka.

Ciągle mnie dręczy myśl, że może oboje umarli.

21 marca.

Niema odpowiedzi. Czy jeszcze żyją?

24 marca.

Niema listu z Ansbach. Musiałem zły dać adres. Znowu napiszę...

25 marca.

Jest list. Doktor nic nie wie, ale obiecuje dowiedzieć się.

A ja tu czekam i zamieram!..

27 marca.

Nie pojmuję, co to znaczy. Wzięto odemnie adresa moich krewnych. Czyżby ze mną było niedobrze?

Powarjowali!

Wszak chodzę, jem, czuję się nawet lepiej.

Ja żyć chcę, będę, muszę... Jestem potrzebny, mogę dużo jeszcze zdziałać dobrego...

Umierają tylko ci, którzy są na nic niezdatni.

29 marca.

Zosia i dziecko żyją jeszcze... Jeszcze!..
Więc z nimi źle?.. Więc umrzeć mogą?

Boże! Boże!

Głupi, nikczemny Niemiec. Mógł napisać wyraźniej. Znowu do niego list wysyłam.

30 marca.

Ludzie mi się przypatrują. Czyż mam jakie piętno, wyciśnięte na czole?

A może Zosia nie żyje, i oni o tem już wiedzą?..

Toby było okropne!..

31 marca.

Doktór dziwne mi dzisiaj stawiał pytania. Spojrzenie ma mętne.

Boję się, czy się nie oddałem w ręce warjata.

4 kwietnia.

Ratujcie mnie! Ratujcie!

Boże!..

9 kwietnia.

Czuję się znacznie lepiej.

To wiosna—ciepła, łagodna, wonna!.. Witam cię, wiosno!..

Natura wszystko uzdrawia.

Das Ewigweibliche gra we mnie i płynie pełnemi zdrojami.

Kaltenleutgeben, 15 kwietnia.

Szanowny panie doktorze!

Największym i najbieglejszym Eskulapom świata figlarna Fortuna czasem psotę wyrządzi, i chory, którego ocalenia byli zupełnie pewni, umiera im, jak *amen* w pacierzu.

Takiż sam zawód spotkać może i akuszerkę.

Pogłoska, jakobym ja była winną śmierci angielskiej damy, jest fałszem, zmyśloną potwarzą. Ta dama żyje, jej dziecko żyje, a mąż najlepszem cieszy się zdrowiem, bo to człowiek ze stali.

Wiem, z kąd się ta pogłoska rozeszła. Usnuł ją Trąbakiewicz, a rozniosły zawistne mi koleżanki w nadziei, że mi kawałek chleba odbiorą.

Przerachowały się. Zanadto dobrze jestem znana w kraju i we Włoszech, abym się mogła obawiać tych głupich plotek.

Wszakże otoczono mnie tutaj dozorem, który mi jest bardzo dotkliwy.

Pan możesz mnie od niego uwolnić.

Cierpi na tem nietylko moja osoba, ale i nauka. Niegodzi się dobroczynnego słońca przyćmiewać. Tem słońcem jest mój system, który Koledze przedstawię w dwóch słowach.

Zarzuciwszy systemy romańskie i gotyckie, gardząc wszystkim, co tchnie wymuszonymi poglądami *rococo* albo *barocco*, obrałam sobie jeden, bo ten jeden jest tylko dobry, gdyż jego programem są: natura, prostota i harmonia.

Takim jest system odrodzenia.

Nie znoszę maniery, a Kolega, jako człowiek wykształcony, uznasz, że znajduję się na drodze właściwej.

Do tego stopnia posuwam wstręt do wszystkiego, co krępuje, że, dawno już zarzuciwszy stroje, właściwe płci mojej, chodzę w ubraniu męskim.

Nauka nie znosi spódnicy.

O doskonałości mojego systemu, o moich osobistych zdolnościach nie mam potrzeby się rozpisywać. Za mnie lepiej to zrobi stugębny rozgłos. Od Warszawy do Masowy, od Wenecyi do Paryża znają mnie i do mnie wyciągają ręce.

W Wenecyi byłam wzywana do księżnej Hortensyi. Doktor *Fu-cze-fu*, który umyślnie

na jej połów przyjeżdżał zdaleka, podziwiał mnie tylko i chwalił.

Pan Silberfisch, który chciał koniecznie urodzić gotycką katedrę w stylu *rococo*, dopiero wskutku moich perswazyi zaniechał swojego zamiaru.

Kiedy hrabina Idalia powiła papugę, którą dla piękności piór w ogonie nazwano Koko, ja jedna przy niej byłam.

Słowem, w którą stronę Pan rzucisz okiem, wszędzie znajdziesz mnie i mój system.

Zwalczona zawiścią, jestem strzeżona, jakby sama Brinvilliers. Nie wiercie nigdy Trąbakiewiczowi ani Aurelce. To akuszerka, która nie ma nawet dyplomu. Strzeżcie się także Henryka. On w swoją naukę nie wierzy. Możecie zresztą mnie więzić i dręczyć. Ja będę powtarzała tylko swoją dewizę:

„E pur si muove!”

Wszakże radzę wam wrócić mi wolność w imię prawdy, nauki i w imię wstydlivosti, właściwej płci mojej. Choć zarzuciłam spódnicę, wiem, czem być powinna niewiasta.

Oddajcie mi przytem fajkę. Ona daje nam sposobność do obserwacyi, bo, gdy ciało spoczywa, myśl i dusza łatwiej pracują.

Wkońcu nie radzę wam nademną się znęcać, bo Anglik może nadjechać i, widząc, co się

dzieje, w proch was zniweczy swoją żółtą la-
seczką.

Zercio także się ujmie. Zagryzie was ja-
dem swoich argumentów.

Dobiję was, gdy wam powiem, że Marynia
—to moja matka. Ona nie da zrobić nic złego
swojej kochanej córeczce.

Ufna w pomyślną odpowiedź, zostaje z po-
ważaniem.

Sługa i koleżanka,

Augusta Sierlotti,

akuszerka Fakultetu Odrodzenia.

K O N I E C.

Sahinka, kwiecień, 1889.





21

<http://rcin.org.pl>

F
2132